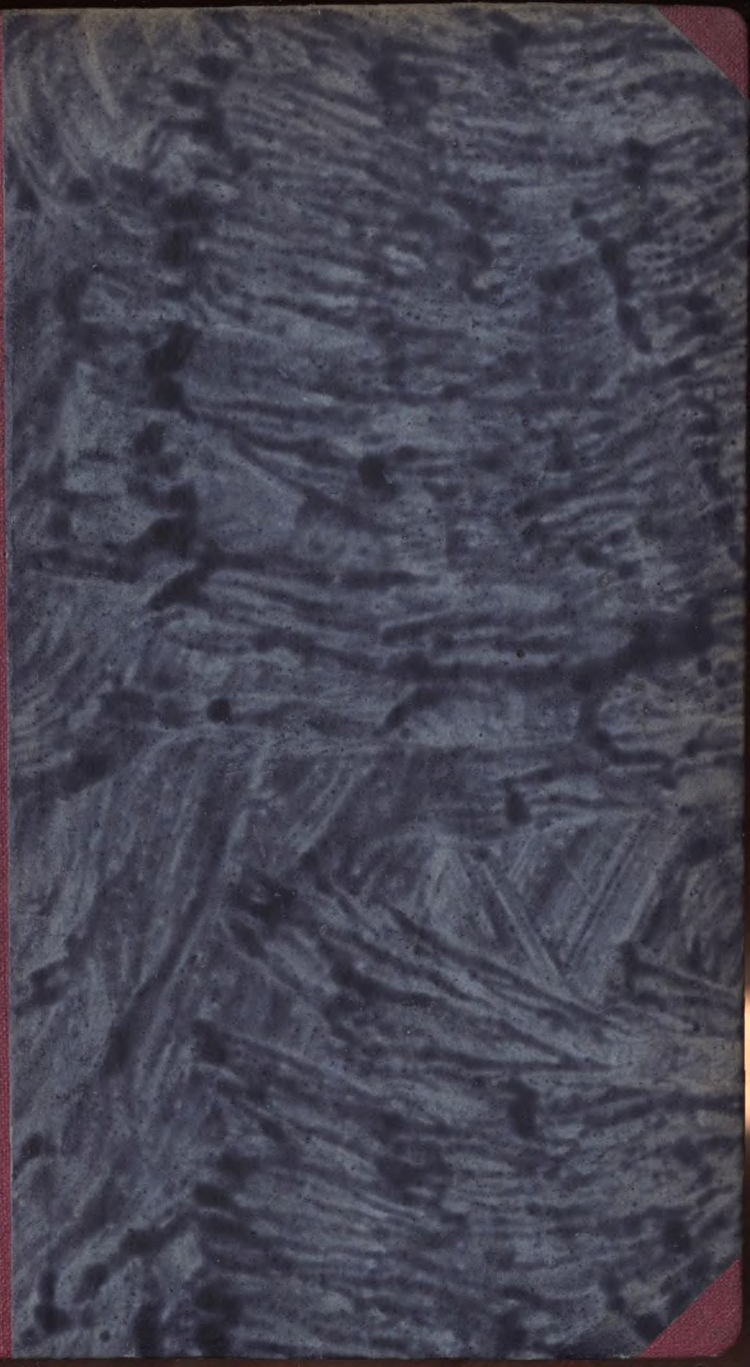
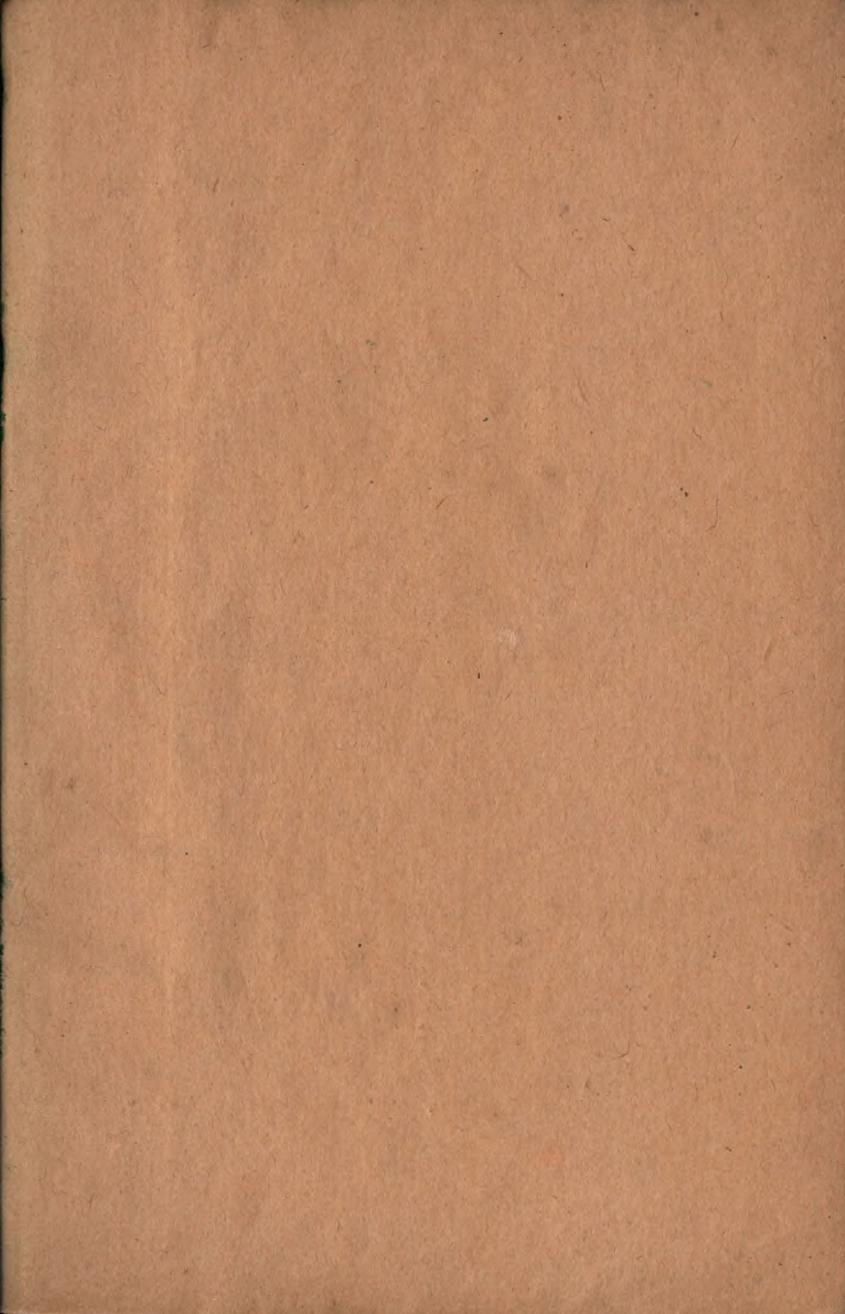


J. Kamocka * TEORIA STYLÓW





JÓZEFÀ KAMOCKA

TEORYA 'STYLU

według pisowni

uchwalonej przez Akademię Umiejętności w Krakowie

UŁOŻONA

WYDANIE DRUGIE



KRAKÓW

•NAKŁADEM ASTORIA

W KOMISIE, KSIĘGARNI G. GEBETIEN I SPOŁKI.

1894



TEORYA STYLU



JÓZEFA KAMOCKA

TEORYA STYLU

według pisowni

uchwalonej przez Akademię Umiejętności w Krakowie

UŁOŻONA

WYDANIE DRUGIE



KRAKÓW

NAKŁADEM AUTORKI.

W KOMISIE KSIĘGARNI G. GEBETHNERA I SPÓŁKI.

1894

2980/
166

L1c2

160870

I

D. K.,
Antykw. Nauk.
Krajev
7.3.66 60. v



WSTĘP.

O sztuce pisania.

Sztuką, w umysłowem znaczeniu wyraz ten uważając, nazywamy pewną umiejętność, czyli sztuczność, w wykonaniu dzieła jakiegoś w sposób niezwykły, wymagający osobiwej ku temu zręczności. Kto więc umie myśli swoje wypowiedzieć nietylko jasno i zrozumiale, ale tak, aby trafnem i dobitnem dowodzeniem przekonały umysł innych, a zjednały serca udatną formą wyrażen, o tym mówimy, że posiada sztukę pięknego wysłowienia, lub pięknego pisania. Piękno ma dla nas niepojęty urok, bo w piersi naszej żyje dusza nieśmiertelna, która z samego źródła piękności istnienie swe wzięła, więc je zna, tęskni za niem, i ku niemu kieruje wszystkie skłonności swoje. Stądto pochodzi, że wszystko co piękne, ma dla nas niepojęty urok, że tego piękna szukamy naokoło siebie, że się niem radzi otaczać jesteśmy, że jego wpływowi ulegamy częstokroć bezwiednie, i że w niem rozkoszy dla swego serca i dla swych zmysłów szukamy. Stąd także wynika, że nie wystarcza człowiekowi proste zadośćuczynienie potrzebom codziennego życia, i że jeżeli każdą

z nich pragnął owiać wyższego uroku powabem, tem więcej dbał o ten urok, gdy mu szło o wyrażenie swych własnych myśli i uczuć. I niedość mu było powiedzieć do drugich: kocham cię, słuchaj mię, zawierz mi, choć te wyrazy myśl jego jasno już wyrażały, bo własne uczucie porywało go i skłaniało do chęci przelania w nich tegoż uczucia. Więc kiedy kochał, kiedy był uniesiony jakim bądź uczuciem, kiedy pragnął zapewnić sobie nad innymi przewagę, to starał się, aby wyrazy jego nie tylko były zrozumiałe i jasne, ale aby pieszcząc ucho słodkimi i łagodnymi dźwięki, wdzierały się przez nie do duszy i budziły w niej rzewne uczucie; by ciskając gromy wzburzonych namietności i myśli, piorunem uderzały w serce, i niem do gruntu wstrząsały; by błyskawicą prawdy przenikały do rozumu innych i dla jego przekonania zjednać ich potrafiły. Stosownie więc do własnego uczucia, człowiek tworzył sobie ową mowę tak wdzięczną a rzewną, co jest językiem matki do dziecięcia, modlitwą słabej istoty do Boga, wylaniem przywiązania jednego do drugiego serca; i ową mowę, co się stawiała bronią podbijającą całe masy ludu pod władzę jednego człowieka, i ową — która dla ciemnych była światłem prawdy i do źródła wiedzy, do enoty i do Boga ich wiodła.

Nie wszyscy jednak ludzie są obdarzeni ową piękną zdolnością tworzenia takiej mowy: bo nie licząc już tych, co nie umiając swych własnych myśli powiązać logicznie, nie umiają także zdać z nich sprawy nikomu, jest bardzo dużo takich, co z sercem pełnem uczucia, z głową bogatą w gruntowną nawet naukę, tak są, albo niezasobni w słowa, albo w ich układaniu niezręczni,

gdy o ustne wypowiedzenie ich idzie, że urywaną i niegładką mową, ani połowy moralnych swych zasobów na korzyść swoją ni drugich wykazać nie umieją, i zając, a tembardziej przekonać nie mogą w niczem nikogo.

Są inni znowu, co z głębokiem uczuciem i żywą wyobraźnią łączą jeszcze takie bogactwo myśli i wyrazów, że lada drobnostka, która ich zajmuje chwilowo, i dla innych także staje się przedmiotem silnego nieraz zajęcia: bo gdy są prądem własnych myśli porwani, to wtedy słowa płyną im lekko, swobodnie i bez namysłu żadnego, i życia nabierają w ich ustach, i owładają całą istotą słuchaczy, i stają się chwilowo panami ich uczuć i uwagi.

Więc własnem doświadczeniem przekonani ludzie, jak nieopowiedziany wpływ na umysł i na serca piękna mowa wywiera, dążyć także poczęli do wydoskonalenia swojej i utworzyli nawet w tym celu osobną naukę, *retorykę* (od wyrazu *retor* mówca) nazwaną, ażeby *sztuką* zdobyć ową tajemnicę podbijania serc i umysłów bliźnich, która to tajemnica była przyrodzoną własnością ludzi wyższego umysłu, wielkiego serca, lub namiętności głębokich. I poczynili różne nad mową uwagi; ułożyli przepisy i zasady, które stosowali do owych naturalnych wzorów; a lubo sztuka przyrodzonemu darowi nie wyrówna nigdy, lubo nawet w dawniejszych czasach zbytęcznie polot myśli krępowała, narzucając jej swoje prawidła, to przecież nawet dziś, gdy stanowczo za główny warunek dobrego pisma i mowy położono gruntowność myśli i jasność w ich wyrażeniach, znać nam tę sztukę wypada dlatego: abyśmy przy wielkich od natury zdol-

nościach idąc za własnego serca natchnieniem, nie przekroczyli granic swobodzie tej wytkniętych, lub przy ich braku — w nauce tej nie tylko kierownika dla siebie, ale i takie wzory znaleźli, do którychbyśmy przy dobrej woli i usilności nagać, i podług nich urobić własne swoje wyrażenia zdołali.

Dziś, nauka ta nie ścieśnia bynajmniej uczuć naszych ni myśli; nie każe im się koniecznie w takiej lub owakiej formie przedstawiać; nie wymaga wyszukanych wyrażen do ich określenia, i nie *przepisy* swoje, ale *wykształcenie naukowe i estetyczne* daje im za podstawę jedynie.

Pierwsze, przynosząc zasoby z różnych umiejętności zebrane, przygotowuje umysłowi bogaty do obrobienia materiał, bez którego i najwyższy talent nie dokonać nie może; — drugie, da nam środki ku temu, byśmy ten materiał w tak ponętne urabiali formy, żeby one pociągając czy to oko, czy to ucho bliźnich, działały na ich duszę i zapewniały nam wpływ przeważny nad niemi.

Małeńkie dziecię chętniej ręczyny wyciąga do choćby cierpkiego, lecz rumianego jabłuszka, niż do soczystej, ale szarawej barwy gruszki; a dowodząc tem najlepiej, że *piękno* jest najpierwszym przewodnikiem instynktów i usposobień jego, tłumaczy zarazem, dlaczego wola chętniej poddaje się ciepłemu duszy wpływowi, aniżeli zimnym pewnikom nauki, i dlaczego tylko jej technieniem owiany, rozwinać się może ku prawdziwej korzyści i chwale społeczeństwa całego.

Otóż nauka estetyki uczy nas właśnie czuć i po-

znawać to *piękno* i otwiera przed duszą naszą całe jego skarby; a nie dlatego tylko, aby ona niemi własne swe umilała życie, ale aby się w nie dla dobra bliźnich stroiła, wabiąc ich swym urokiem i wiodąc tem łatwiej do Boga, z którego wszystko, co tylko piękne, wypływa. Więc kształcić i rozwijać pojęcie tego piękna, jest to kształcić duszę, a uszlachetniać serce, ku wyższym celom dążenia jego kierować i trafiać na źródło najwyższych umysłowych rozkoszy.

I wobec wielkich korzyści naukowego wykształcenia, stokroć jeszcze wyższe estetycznemu przyznać należy; bo jeżeli pierwsze otwiera człowiekowi wszystkie skarby wydoskonalonej wiedzy, to drugie uczy w nich szukać i znajdować Boga; jeżeli nauka nasz własny rozum bogaci, to estetyka daje środki do jej użytkowania na chwałę Bożą i pożytek bliźnich. Ludziom, którzy przy gruntownej nauce i dar słowa posiadają jeszcze, dostaje się zwykle najpiękniejsze stanowisko w kraju, najpiękniejszy udział w pracy ogólnej na świecie. Tacy to jako znakomici mówcy — najwyższą, bo moralną potęgą wpływają na czyny i przekonania współbraci; jako utalentowani pisarze — przyczyniają się do rozpowszechnienia oświaty i umoralnienia obyczajów; jako zdolni profesorowie, budzą życie ducha i myśli w młodych pokoleniach, a w zwykłym nawet towarzyskim życiu łatwiej od innych pozyskują ludzi dla siebie pięknem wysłowieniem, które jest zawsze starannego wychowania dowodem.

Na takiej podstawie rozwijający się umysł nie troszczy się wiele o formy i przepisy stylu; w sobie ma

naukowych materiałów zapasy, a poczucie piękna uporządkować i należycie wydać je nauczy.

Że dwie drogi do tego celu prowadzą: jedna objaśniająca nam po szczególe główne zasady i główne cechy piękna, a druga praktycznego z niemi oswajania się przez przestawanie z ludźmi w ten sposób wykształconymi i czytanie dzieł napisanych przez tychże, obie więc te drogi zestawimy razem, abyśmy na żywych przykładach najpierwszych naszych pisarzy lepiej pojęli to, co sztuka, właściwie ich naśladownictwem będąca, za piękne i stosowne w mowie i piśmie uznała.

O stylu.

Wypowiadać myśli swoje według zasad logiki jest koniecznością dla każdego, kto chce być zrozumianym przez drugich, a takiej logiki w porządkowaniu wyrazów i zdań uczymy się z pierwszej części nauki języka, to jest: z gramatyki i składni.

Ze jednak nie wystarcza to człowiekowi, aby był tylko *zrozumianym*; że swoją mową pragnie on zniewolić, przekonać i wzruszyć; więc mając już wyrobioną logiczną jej stronę, to jest: układ wyrazów i zdań odpowiadających wymaganiom rozumu, zajmuje się żywo i formą, w jakiej wypowiada swe myśli, stara się o jej piękno działające na wyobraźnię i na serce drugich, a wskazówkę do schwycenia tego piękna znajduje w drugiej części nauki języka, nauką stylu nazwaną.

Styl — (nazwa pochodząca od łacińskiego *stylus*) oznaczał niegdyś narzędzie na jednym końcu zaostrome dla rycia niem liter na korze drzewnej lub tabliczkach napuszczonych woskiem, a na drugim spłaszczony dla zacierania ich w razie potrzeby; dziś oznacza on *sposób*, jakim wydajemy swe myśli, i inaczej *wystawieniem* go zwiemy.

Rodzaj tego wysłowienia jest przerozmaity i zależy: od stopnia wykształcenia, od siły i kierunku uczucia, od wrodzonych zresztą zdolności piszącego, i z tych względów starożytni dzielili styl na *prosty* czyli *naturalny*, *średni* czyli *ozdobny*, i *górnym* czyli właściwiej mówiąc, *wzniosłym*.

Stylem *naturalnym* zwali owo wysłowienie, co malowało myśli i uczucia dokładnie, ale nie podnosząc znaczenia tychże bynajmniej; co oddawało je jasno, ale tak po prostu i bez żadnych upiększeń, że wcale innych nie wymagało warunków, prócz znajomości przedmiotu i gramatycznych zasad języka.

Stylem *średnim* czyli *ozdobnym* wyrażali się tacy, co obok znajomości obranego przedmiotu i języka, w jakim opowiedzieć go chcieli, posiadali jeszcze i piękny, przyrodzony dar słowa; co umieli za pomocą porównań i przenośni ubarwić i ożywić rzecz każdą, jednym słowem ci, co nie tylko umysłowo, ale i estetycznie wykształconymi byli.

Styl zaś *wzniosły*, właściwym był ludziom wielkiego ducha i serca, którzy z tego źródła czerpiąc myśli głębokiego znaczenia, własnem uczuciem porwani, mimowolnie prawie stosowali do niego i wysłowienia swoje: bo to, co piękne, szczytne i święte było w pojęciu, nie mogło się w prostej, pospolitej formie przedstawiać, i wymagało zarówno wyrazów, jak i wyrażań takich, któreby odpowiadając *rzeczy*, w niezwykłej postaci przedstawiały to, co przechodziło poza zwyczajności granicę. Co tylko więc najwspanialszego w ozdobach i porównaniach wynaleźć można było; co tylko najsilniej mogło uderzyć

umysł, a poruszyć serce; co najwyżej ducha podnieść było w stanie: wszystko to składało się na odmalowanie tego, co z wyższego świata czerpane, było nieskończoności pojęciem.

Oprócz takich podziałów stylu, rozróżniamy dziś i inne jeszcze rodzaje ze względu na indywidualność pisarza, na charakter narodów, na przedmiot mający się opisać, a także i na epokę, która właściwą sobie cechą każdy ten rodzaj znaczyła.

Co do pierwszego względu indywidualności pisarza, wiemy dobrze wszyscy, że jak mimo ogólnego podobieństwa zewnętrznej postaci, człowiek jeden od drugiego różni się szczegółowymi rysami, tak i moralnie uważani, nawet mimo jednych i takich samych darów umysłu i serca, różnią się między sobą małymi odcieniami, lub innemi tychże przymiotów barwami.

Różnicę rysów dostrzegamy własnem swoim okiem; różnicę usposobień, uczuć i myśli człowieka, on sam odsłania nam w swej mowie.

Im kto był wyższych zdolności i głębszego uczucia, tem więcej styl jego różnił się od stylu innych, i wtedy odmiennym, sobie tylko właściwym *sposobem* (czyli *stylem*,) myśli swe w pismach swoich malował, kładąc na nich wybitną cechę usposobienia swego; a od takiej cechy osobistości czyli indywidualności styl i język takiego pisarza — jego nazwisko przybierał.

W złotej epoce literatury naszej, łatwo jest rozróżnić *styl* Reja, często rubaszny w swej prostocie, zdobny w przypowieści i dosadne porównania, pełny zdrowych

i zacnych myśli wypowiedzianych naturalnie, bez sztuki, mający jedrność, siłę i wewnętrznego piękna znamiona.

Styl Górnickiego wytworny doborem wyrazów ogłędnych na przyzwoitość i doskonałą ogładę; wyzwolony z szorstkości niewyrobionego jeszcze języka, zdobny w formy przyswojone z obcych wzorów, lecz zachowujący własną jedrność i siłę wysłowienia.

Styl Skargi indywidualny w całym znaczeniu tego wyrazu, jemu jednemu tylko właściwy, nie naśladowany przez nikogo, bez żadnej sztuki, bo wypływający z jego serca przejętego zapalem; wykształcony na łacińskich wzorach, w dowolnej składni nagina się do ich szyku wyrazów i tworzy mowę silną, jędrną, pełną precyzyjnych przenośni, i w krótkich, z prostotą wyrzeczonych zdaniach, głębokie i wielkiej piękności myśli wypowiada.

W naszej epoce wyróżniamy *styl Kraszewskiego*, który malowaniem idealnego piękna, z prozaika poetą go czyni; *styl Korzeniowskiego* więcej obrazowy, niżli poetyczny, pod względem czystości języka, doskonałej budowy okresów jest wzorem do naśladowania. *Styl Kremera* kwiecisty, przeciążony nieraz bogactwem przenośni i porównań, wyłącznie jemu tylko właściwy.

Styl Gabryeli Żmichowskiej, Zygmunta Krasińskiego, głębokością myśli, dosadnością wyrażań, pięknnością uczuć, bogactwem obrazów, w formie prozy tworzy rzeczywistą poezję itd.

Każdy z nich był człowiekiem podniosłego ducha, ale każdy z nich był w innych warunkach życia postawiony, więc też i myśli jego inną barwę i kierunek

obierać musiały i inną drogą go wiodły do wspólnego im celu: służenia Bogu i ludziom.

Co do drugiego względu na charakter narodów, to najprzód zrozumieć potrzeba: że naród cały, to niby człowiek zbiorowy, tychże samych warunków do życia swego wymaga co i pojedynczy, a więc: geograficzne położenie kraju, klimat, roślinność miejscowa, jaka za pokarm mu służy, rząd jakiemu ulega, instytucje polityczne i naukowe, z jakich korzysta, składają się na wyrobienie charakteru jemu szczególnie właściwego. I jak pojedynczy człowiek, tak i cały naród ma swoje osobiste przymioty i wady, swoje własne uczucia i myśli, swoje zapatrywanie się na rzeczy i swoje o nich pojęcia i sądy, i, tak samo jak pojedynczy człowiek, w odpowiedni swemu charakterowi sposób wypowiada swoje uczucia i myśli, a sposób ten czyli styl znowu swą nazwę od nazwy narodu przybiera.

I tak styl francuski odpowiednio do charakteru narodu będzie żywy, lekki, żartobliwy, pełen igraszki dwojakiego znaczenia wyrazów.

Angielski, szwedzki, poważniejszy w treści, stosując się do niej, jest oględniejszym w malowaniu i uczuć i myśli.

Styl l a k o n i c z n y zwięzły, treściwy, właściwy ludom rycerskim jak: Rzymianom i Grekom, w krótkich zdaniach, a nieraz pojedynczych wyrazach wydawał myśli wielkie, jakimi sławne jest owo Horacyuszowskie „*umrzeć*“, i owo: „*przyjdź i weź*“ i jak to upomnienie: „*z nią albo na niej*“, jakim matka Spartanka żegnała

syna, dając mu tarczę na boje. Styl wschodni, ¹⁾ w którym odbija się całe bogactwo przyrody, kolebkę świata otaczającej, i tryska poezją, jaką wykarmiła i rozkołysała człowieka w krainie cudów i piękna. Pełno tam jaskrawych porównań, przenośni, fantazyi; u nas w prozie używany jest tylko jako tłumaczenie, lub naśladowanie mowy wschodnich ludów, którym jest ona właściwą. W naszych ustach byłaby przesadą rażącą i śmieszną, bo odpowiednio do usposobienia naszego, do tego, co nas otacza, i co wewnątrz nas żyje, styl nasz jest w wyrażeniach dobitny i jędrny; w określaniu myśli treściwy, a małoowniczy; uczuciem i pojęciami wzniosły, w porównania i w poetyczne obrazy w właściwych barwach bogaty.

Wreszcie ze względu na przedmiot styl najliczniejszym przemianom podlega; bo jakkolwiek niema przed-

¹⁾ Przykłady takiego stylu znajdują się w powieści Zyg. Krasińskiego *Agay-Han*, w której on sam, jako syn Wschodu — tak opowiada o swych rodzicach i kraju: „Na rozańcu mego ojca tyle rubinów, ile tysięcy go słuchało; tyle dyamentów, ile miast pod nim; w haremie tyle dziewic ile gwiazd na niebie, a jedna tylko królowa — biała jak miesiąc, z oczyma jak szafiry, z rzędem pereł w kielichu ust różanych — matka moja... Namioty ojca, jak fale wielkiego morza bieleją na stepach kiedy Azarela wezwie do boku. Stada koni hordami rycerzy obsiadłe, latają gdyby simimum wiry. Złote ostrza spis, tleją przy jego namiocie w nocy, jak zbiór gwiazd na straży przy świętej jego głowie; a mnie dziecku, zmiatają kurz z drogi czoła Hanów i Paszów; powietrze chłodzą wachlarze dziewic i brzmią u wchodu do życia poetów lutnie, wieszczby proroków, wśród chmur z kadzideł w ogrodach z róż, gdzie fontanny biją tęczami, gdzie motyle -- drogimi kamieniami, a kwiaty — motylów kochanki,

miotu tak obojętnego, którego by własnem uczuciem ożyć się nie dało, i niema tak prozaicznej nauki, przez którą by promyk piękna przedostać się i ubarwić jej nie mógł: to jednakże uważając na cel, w jakim przedmiot ten podnosimy, stosować doń wypada wysłowienie swoje baczając na to, czy on do serca, czyli też tylko się do umysłu odnosi. Inaczej się więc pisze rzeczy naukowe, płynące z rozumu, a inaczej — chwytane z życia ludzkiego i czerpane z serca; inaczej się obrabia przedmioty przeznaczone dla osób wyższego już wykształcenia, a inaczej, gdy chcemy nieumiejętnych nauczyć; inaczej jeszcze nareszcie, gdy albo sam przedmiot, albo własne usposobienie nasze pobudza nas do wesołych lub smutnych, do spokojnych i słodkich, lub gwałtownych i pełnych goryczy wyrażań. Stosując więc styl do tych potrzeb myśli

piasek złotem połyska i każde źdźbło trawy nad szmaragd jaśniejsze“.

W listach Józefa Kremiera przytoczone są wyjątki z pieśni perskich, w których poeta tak maluje noc:

„Noc była, noc cudna jak żywota jasny dzień; noc szczególna jak młodości błogi wiek. I ptaszek śnił, i rybka w wodzie spała snem, a umilkły nawet spracowane wieści dienne. W świecie całym, w tej przedziwnej altance Bożego ogrodu, same gwiazdy, same jedne z oczkiem otwartem chodziły po niebie. Noc ukradkiem uniosła baczność czujną i milczały dzwonów zawiazane usta. Nocny ptak roztoczył lotów śmiałych miecze, a maki zasypały grodowej straży oczy. Jeszcze nie wzywają minaretów głosu na modlitwę Panu!

W tej nocy wdzięcznej spoczywała na łożu Sulejka, mioudousta, snu słodyczne pokryły jej oczu nareczy. Dziewica użyczała wezglowiu włosów wonnych fale, a łoże ustroiła postacią, jakby zwojem wdzięcznym róż“.

i pobudek serca, rozróżniamy w nim następnie styl urzędowy, naukowy, w rzeczach odnoszących się do umysłu przeważnie; historyczny, obrazowy, poetyczny, w pismach malujących świat zewnętrzny i życie nas otaczające; — patetyczny, sarkastyczny, krasomowczy, w którym się świat czysto duchowy względnie do naszego uczucia odbija, a każdy z nich odpowiednich sobie warunków i przymiotów wymaga.

I tak: styl sądowy, administracyjny i urzędowy wogóle, w raz na zawsze stanowczo przyjętej formie wypowiada rzecz główną dobitnie, zwięźle, bez żadnego względu na piękno i harmonię. Idzie w nim głównie o gruntowność zasady i jasność twierdzenia, a więc żadne ozdoby stylu miejsca tu mieć nie mogą, jako odrywające uwagę od tego, co ją głównie i jedynie zajmować tylko powinno.

Styl naukowy czyli dydaktyczny ma na celu również przekonanie rozumu, więc nim przeważnie zajęty, ogranicza się także na jasnem wypowiedzeniu swych zasad i logicznem ich uporządkowaniu, ale jest staranniejszy pod względem dobrania i szykowania wyrazów, przez co o wiele gładszym i harmonijniejszym się staje. Np.:

— „Woronicz i Niemcewicz doczekali się najświetniejszego rozwoju literatury narodowej, kiedy poezja polska zajaśniała całem gronem geniuszów poetycznych.

Zwrócono myśli i uczucie do ojczystych progów: zrozumiano, że tylko rozwój narodowej literatury może być głównem w położeniu naszym pytaniem, a jego rozwiązanie okazało potrzebę wielkich sił i żelaznej pracy, głównie w gałęzi polskich dziejów. I nagle, w krótkim lat przeciągu, ogromne skarby przeszłości pojawiły się

tak dla historyi jak literatury, nieznane dotąd, z pleśni niepamięci dobyte.

Historycy i badacze objęli nietylko dzieje królów panujących, ale dzieje swego narodu, żywot domowy, stan umysłowości. Uczczono gruzy wielkich grodów i zamków, jak ruiny *Odrzykońskiego* zamku uwiecznione najpiękniejszymi wspomnieniami. W silnych zarysach wystąpiła stara *przeszłość*; po raz pierwszy może ukazała poważne swoje oblicze, dotąd tajemnicze i obce.

Ci, co zbierali nieznane dotąd pieśni ludu, podania i pamiątki ludowe, szli za natchnieniem Bożem: przeczuwali, że gdy postawią na jaśni umysłowej skarbnice ludu, obudzą dlań większe współczucie. Od kiedyżto głos większości rozległ się w kraju za ludem? Wtedy nabrał siły i rozgłosu, gdy zbieracze zaniedbanej literatury kmiecej, przechowanej *żywem słowem* jedynie, pokazali ją narodowi, a ten poznał i zajrzał bliżej w to serce ludu, pełne rzewnego uczucia, szlachetności i prostoty szczerej, a ukochanej. Oni-to, za wykradzione skarby z pod wiejskiej strzechy, zjednali dla niej cześć i obudzili myśl praw obywatelskich dla ludu.

Nie zgłębiliśmy należycie tej niepiśmiennej literatury naszego plemienia, bo tak tu, jak w każdej gałęzi, tylko pojedyncze poświęcenia przyciśnione chudobą, a częściej ubóstwem działały. Wiele jeszcze pracy i trudów zostało do przełamania, zanim zdobędziemy cały skarbiec literatury ludowej: tych pieśni licznych jak ptaki naszej ziemi, tych powieści i podań, które każde gruzy, zwaliska, kopce, kamienie, rzeki i jeziora, urokiem swoim osnuły, cudownością lub przestraczem ubarwiły“.

„Literatura“ Wójcickiego t. 4. st. V.

Styl historyczny oprócz powyższych przymiotów już i innych także wymaga, bo daje obraz życia, bo sprzężniami opisywanego działania są ludzie obdarzeni uczuciem, a działanie to miało źródło w ich bohaterskich

cnotach, lub namiętnościach nagannych. Stosownie więc do faktów opowiadanych musi być obok powagi stylu i żywość obrazowania; obok prostoty i naturalności dobitność i zwiezłość; obok zwiezłości wyrażen, rozmaitość uczucia i myśli. Np.:

— „Już czterdzieści i pięć dni oblegali Muzułmanie Wiedeń, z którego cesarz Leopold oddalił się do Linzu, i już opanowało Niemców zwątpienie, gdy król Jan Sobieski przybył w 20,000 rycerstwa. Objąwszy zaraz naczelnictwo sił połączonych, sprawił Sobieski wojsko do bitwy, poruczając prawe skrzydło hetmanowi Jabłonowskiemu, a lewe księciu Lotaryńskiemu. Sam dowodził środkiem. Nazajutrz dnia 12 września 1683 o świcie słuchał Sobieski mszy świętej i modlił się z podniesionemi rękoma ku niebu. Późem pełen ufności w pomoc Bożą siadł na swego bułanego konia i przejrzał szeregi. Widząc, że wobec nieprzyjaciela niemal sześć razy liczniejszego Niemcy chwieją się, Sobieski przywołał ze swoich wiarusów rotmistrza chorągwi pancерnej i pokazując mu zdaleka świecącą gałkę na namiocie wezyra, rzekł: „Tam waszmość z towarzyszami swoimi dotrzesz i uderzysz kopiami w ten namiot“. Dzielny rotmistrz wysunął się z garstką walecznych, kazał im kopie nastawić do kłócia i z okrzykiem: „Jezus! Marya!“ rzucił się na Turków, którzy jak rój pszczoł otoczyli chorągiew. Tuman kurzu wzbił się nad rycerzami i raz po raz tylko chorągiew z białym orłem zabłysła, a Sobieski żegnał walczących relikwią krzyża świętego i wzywał Boskiej pomocy. W pół godziny wrócił rotmistrz do króla, straciwszy za ledwie kilkunastu rycerzy, lecz narobiwszy wielkiego zamieszania wśród Turków. Niemcy wydali okrzyk podziwienia i w serca wszystkich wstąpiła otucha zwycięstwa.

Wtem — Sobieski dał znak do bitwy i rozpoczął się wszędzie zacięty, srogi bój. Sobieski był wszędzie

po między pierwszymi, za przykładem niegdyś Machabeuszów modlą się i walcząc. O godzinie piątej z południa już Turcy na głowę pobici poszli w rozsypkę, zostawiwszy na pobojowisku ogromne mnóstwo trupów: cały obóz, a z nim niezmierne bogactwo dostały się w ręce króla. Nazajutrz po bitwie Sobieski wjechał uroczyście do Wiednia na czele wojsk sprzymierzonych. Lud cisnął się, aby widzieć Obrońcę i płakał z radości. Matki unosiły dzieci swe do góry, pokazując im Sobieskiego. Król Jan prosto zmierzał do kościoła i tam zaśpiewano: „Te Deum laudamus“. Poczem wszedł ksiądz na ambonę i zaczął mówić od tych słów Ewangelii: „Był człowiek posłany od Boga, któremu imię było Jan“. Oczy wszystkich zwróciły się na Sobieskiego; wszyscy uważali w nim zbawcę zesłanego przez Pana Boga. Chora gwie zdobyte na Turkach przesłał król Jan Papieżowi Innocentemu XI. z temi słowy: „Przybyłem, widziałem, a Bóg zwyciężył“.

Z „Hist. oblężenia Wiednia“.

Styl o b r a z o w y jest mniej więcej: wiernem lub pięknem malowaniem postrzeganych przedmiotów i uwag poczynionych nad nimi. W wiernem obrazowaniu piszący nie ubiega się wcale o to, aby rzecz przedstawić ze strony samego tylko piękna, lecz pokazując nam ją taką, jaką jest w istocie, choćby nawet niepowabną wcale, już przez to samo zajmującą ją czyni, iż ją tak żywo naszej wyobraźni przedstawia, jakobyśmy na nią własnymi oczyma patrzyli.

Np. — „Nad drogi poleskie nie znam nic straszniejszego, chyba poleskie karczmy. Ah! wszystkie pięć zmysłów i drugie pięć, gdyby je miał człowiek, cierpiałyby męczarnię najwyrafinowańszą w tych jaskiniach śwedu i niechlujstwa.“

Już widzę, jak się podróżny z daleka cieszy, gdy mu powiedzą, że będzie wkrótce karczma. Wygląda on, niepokoi się, i widzi nareszcie światło błyszczące z daleka przez okno pobite, pozaklejane, pozatykane. Stój! Dach się chyli, komin wali, wjazd zawalony błotem, stajnia bydłem, wozami i saniami. W izbie dymią okropnie fajki poleskie, słychać gwar, głuchy pijackiej rozmowy. Pytasz o osobną izbę; Żydzi ci się w oczy śmieją.

Rad nie rad, ciemno, błoto, późno, słota, wchodzisz, do jedynej! Ah! pod nogami twojemi płaczą się bachury, gęsi, kury, błoto; głowa twoja zawadza o lichtarz siedmioramienny wiszący u pułapu, a kapiący łojem; w nos twój wpada zapach gorzałki, dymu fajek, swędu właściwego Żydom, kwasu, czadu, łoju, dziegciu i błota; uderza o uszy twoje gwar pomieszany beku dzieci, krzyku kur, kaczek, gęsi, Żydówek, brzęku kwart i pieśni chłopskich. Na dobitkę w jednym kącie Żydzi rzną kozę wśród izby; w drugim szpektor uczy dziecko, ponuro powtarzając: *geher!* Uciekasz do alkierza. W alkierzu na betach i piernatach żydzi mieszczą bułki i łokszyn, wisi kołyska, stoi stół kulawy, włóczy się kotka z kociętami, skaczą kozy po ławach, zawala drogę worek z owsem, w kącie śmierdzi rzepa i brukiew, a w drugim leży kupa kartofli. Ani sposobu! Gdzież ja będę nocował?... myśli biedny podróżny. Żyd, jako bardzo przebiegły, wybiega naprzód do stajni zobaczyć, czem podróżny przyjechał. Od tego zależy przyjęcie. Jeżeli parą końmi, niekrytym wózkiem, a Żyd ma kilkasiet rubli, traktuje podróżnego *de puissance en puissance, en égal*; kładzie ręce w kieszenie, pluje, zapala fajkę, (tu wszyscy Żydzi fajki palą) i chodzi w czapce. Jeżeli konie zaprzężone w szwarc, z trochę większą dystynkcyą; jeżeli jedziesz ze dzwonkiem, największy respekt; jeżeli masz kocz i brykę, wypędza chłopów i oczyszcza ci pierwszą izbę. Daje ci świecę chorą, leżącą na bok w lichtarzu; gospo-

dyni zamiata stoły i ławy fartuchem, podłogę posypują piaskiem. Ale któż cię wybawi od całej historyi naturalnej, wijącej się po ścianach, jakby naumyślnie do obserwacyi; od smrodów, którymi już ściany przesiąkły; od krzyku z sąsiedniej wylatującego izby, bachurów, kotów, Żydów, szpektora i t. d.“

Ig. Kr. „Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy“.

Nie tu niema pięknego; owszem, rzeczy opisywane mimowolną przejmują odrazą; a jednak tego rodzaju obrazki, jako odbijające prawdę codziennego życia, nadzwyczaj zajmują w powieściach i w opisach podróży, bo urozmaicając i równoważąc wrażenia wyższem wywołane uczuciem, dają niejako wytechnąć naszej myśli, lot jej skierowawszy ku ziemi. Styl taki wymaga niepospolitego dowcipu, żywości wyobraźni i wielkiej bystrości umysłu w chwytności nasuwających mu się przedmiotów, i czynieniu trafnych nad nimi spostrzeżeń.

W pięknem obrazowaniu już więcej w zględna, to jest odnośna do naszego usposobienia prawda się ma; bo jeżeli nie podnosimy znaczenia jej wyżej nad rzetelną jej wartość, to przynajmniej zakrywamy, lub pomijamy starannie odwrotną stronę jej piękna w ten sposób, że cały obraz nietylko już na wyobraźnię, ale i na serce oddziaływa mocno, miłem je przejmując wrażeniem.

Np. — „Była to pustka poza wsią; cztery tylko ściany w ruinach i gruzie; po jednej z nich wyższej i wznioślejszej poznałem rozwaliny kościoła, którego tylko szczyt podparty grubszymi szkarpy nad wzgórzem ożynami i tarniną porośłym panował, a na nim chwiało się jeszcze stary krzyż żelazny, do którego przyparte

było gniazdo bocianie. Po okopconych od ognia rude-
rach, których deszcze obmyć nie mogły, znać było, że ta
ruina nie obaliła się powolnie, ale płomieniem pożartą
została.

Ludzie zamiast podnieść dom Boży, dali mu upaść
i nie wskrzesili starej, pocziwej Ojców modlitwy ka-
miennej; kilka krzyżów drewnianych, kilka mogił pod-
noszących się nad grzbiec ziemi, kilka drzew starych
współczesnych kościołowi wiejskiemu, ubierały to miej-
sce smutne, zdziczałe i ciche.

Z pagórka, na którym wznosił się kościółek nad
urwiskiem i płynącą u stóp jego rzeką, wzrok sięgał
w dal ogromną poza drugi brzeg wody, na lasy, sioła,
pola i dwory. Pięknie tu było choć smutno. Słońce za-
chodzące złociło szczyt upadłej budowy, a bocian kle-
kotał na gnieździe, wróble układały się do snu w krza-
kach bujnie zarosłych dokoła; para krówek chu-
dych powoli schodziła z paszy na grobach ku chatom
w dolinie.

Ostatni promyk słońca złocił jeszcze przez chwilę
krzyżyk żelazny, odbijał się w wodzie rzeczulki, potem
zgasł nagle i mrok szary począł się rozsuwać po ziemi.
Patrzałem na ten obrazek z uczuciem, gdy wśród po-
większających się ciemności, zadzwoniono w dolinie na
Anioł Pański i echo poniosło daleko po rosie odgłos
dzwonka wiejskiego. Anioły lecące w powietrzu się za-
trzymały i modliły za poległych. . .

„Mogiły“ Kraszewskiego.

Styl poetyczny jest także pięknem obrazo-
waniem, ale podniesionem do najwyższego stopnia tego
piękna, co już nietylko z opisywanych przedmiotów, ale
wprost z duszy piszącego wypływa. Polega on na umiejęt-
nem użyciu przenośni, porównań, na idealizowaniu rzeczy
podpadających pod zmysły, na chwytaniu związku, jaki

może zachodzić pomiędzy światem ducha, a światem materii i wymaga wysokiej poetyckiej zdolności, jaką się odznaczają w swych pismach Ig. Kraszewski, Zygm. Kaczkowski, Gabryela, Józef Kremer, i ten ostatni tak maluje nam noc:

„Znasz te ciche, święte noce, gdy natura obchodzi uroczyste nabożeństwo swoje; gdy księżyc poświęca drżącą marzę po dolinach i wzgórzach kwiatem i ziołem szytych i zagląda srebrnym spojrzeniem w tajne głębie boru, świeci krzyżem na domach Pańskich, mruga na szczytach grodów starych, gdy brylantem zapalając okienko pod strzechą niską, drży w rosy kropelce na liściu zawieszonej. Doliny i góry, drzewa i jeziora, przybytki Boże i mieszkania ludzi, otulone tajemniczą fantazją nocy zasnęły i marzą, stając się jakby własnem widmem swoim, a tłumy skoczne iskier srebrnych płasają w potoku; więc i on śni o kąpiących się w nich rusalkach cudnych i przez sen coś mruczy; przez sen też całują się rozkochane kwiaty. Lekkie, rozwiane obłoki, co niewiedzieć skąd przyszły i dokąd uchodzą, gadają śpiącej ziemi bajeczki czarodziejskie, a ona zapomina o troskach i znojach dziennych — i śpi“.

„Listy“ J. Kremera.

Styl p a t e t y c z n y ma na celu poruszenie serca słuchaczy i obudzenie w nich takiego bolesnego uczucia, jakim mówca, lub piszący jest przejęty; używa się w mowach, kazaniach, osobliwie pogrzebowych, dla podniesienia pracy, zasług i cnót zmarłego, a wykazania straty przez śmierć jego poniesioną. Styl taki o tyle jest dobrym i odpowiadającym celowi, o ile jest na prawdzie przekonania oparty i wolny od wszelkiej przesady tak w treści jak i swojej formie. Przykład takiego stylu

mamy w kazaniu ks. Skargi na cześć Anny Jagielonki mianem:

„Tak się królestwu wszystkiemu, stanom jego, domownikom i poddanym wszystkim zachowała, iż słusznie nad śmiercią jej płakać i onej żałować winni jesteśmy. Żałujcie kapłani Boży i wszystek stan duchowny, iżeśmy obrońcę wiary i stanu naszego życzliwą dobrodziejkę stracili! Żałuj królestwo wszystko! ostatniego potomka królów twoich pogrzebasz, którzy cię na rękę jako mamki i piastunki nosili i sławę twoją i pokój i pożytki rozmnożyli, i za dobre twoje umierać chcieli, w których krwi i następowaniu jednego po drugim, nadzieja twoja dobra zostawała. Jagiellonów szczątek i ostatek już poległ! Ozdoba twoja i korona głowy twojej spadła! Królewska córka, królewska żona, królewska w siostrzeńcu matka tobie odeszła, która cię w przygodach i zachwianiu podźwigała i podejmowała! Żałuj miłościwy królu drugiej matki twojej! jedna cię urodziła człowiekiem, druga królem: jedna cię wychowała, druga ozdobiła i wyniosła i w prawej macierzyńskiej miłości z tą, co urodziła, zrównała! Płaczcie też domownicy, nie pani, gospodyni, ale matki swojej, która was jako dzieci swe miłowała, o wasze krzywdy się zastawiała, was pilnie opatrowała i nikogoż na testamentcie, aż do najmniejszego kuchcika nie zapomniała! Córki polskie i biało-głowy wszystkich stanów płaczcie! Utraciłyście matkę, która złote szaty strojom waszym dawała! Miałyście płci swojej wielką ozdobę i pociechę; córki wasze wychowywała i wyposażała; wszelkiej radości przyczyną wam była. O jakimiż łzami tę utratę swoją ugasicie! Płaczcie sieroty, wdowy i ukrzywdzone niewiasty! miałyście gotową ucieczkę i pomoc w trwogach i dolegliwościach waszych. Płaczcie klasztory i szpitale! odeszła wam dobrodziejka, do której oczy wasze obrócone były, która was odziewała, broniła, karmiła! Płaczmy wszy-

scy, iżeśmy utracili królowę i matkę naszą, do którejśmy mówić one słowa mogli: „Tyś była chlubą narodu naszego; tyś uweselała poddane twoje, tyś była ozdobą ludu twego! Tyś była przykładem życia królewskiego i chrześcijańskiego; z ciebieśmy mieli nie tylko pomoc i uweselenie, ale i zbudowanie. Tyś cnotami swemi zamknęła Jagiellońską krew i domowi twemu takiś piękny koniec i zamknięcie zejściem swoim dała, cnoty i miłość ku poddanym wyrażając“.

Stylu patetycznego używa się także czasami, dla wyrażenia politowania nad czemś, co bynajmniej nas samych nie martwi i wtedy ton mowy wyraźnie niezgodny z uczuciem, jest tylko dowcipu wynikiem, a styl taki nazwę: *patetyczno-żartobliwego* przybiera, np.:

„Każde biuro redakcyi, to skalpel doktorski, to gabinet anatomiczny, to rzeź niewinności!.. Zwiedziłem je, poznałem i, o bogi!.. widziałem na własne oczy straszłą tajemnicę ich życia!.. widziałem, jak się wypełnia ich numer, jak się zrastają członki w jeden tułów, jak je płatają, wydymają i kształcą; patrzyłem jak klasyfikowały się artykuły, jak na skinienie redaktora jedne z nich sadowiły się w szpaltach, drugie czekały na miejsce, a wiele dlatego tylko wyciągnięto z koperty, ażeby natychmiast skazane zostały na śmierć! Wyznaję wam, nie chodziło mi o te artykuły, co wsparte powagą imienia jakiego literackiego arystokraty z dumą pierwsze zabierały miejsce, ale o te wzgardzone a ubogie, o tę dziatwę niegłośnych ojców, którą wyprawiono z domu z nadzieją, że je tam ocenia i pokochają sercem!.. Nie bez rozrzewnienia patrzyłem na taki niefortunny kajecik, jak leżał w rozpaczliwej postaci, na wznak, na redaktorskim stoliku i z tłumu otaczających go współbraci wszystkimi swoimi wykrzyknikami, jak żołnierz ranny

wołał o pomstę do Pana Boga; wołał: „dobijcie, kto w Boga wierzy!“ I mimowolnie myślałem wtedy: biedny autorze! może myśl pocziwa, serce kochające podały ci pióro do ręki... Pisałeś, ciesząc się nadzieją, że cię pojmą i ocenią ludzie. Spaliłeś świec kilka; — nie dośpałeś w nocy — wyskrobałeś żydki starannie; stawiałeś litery czytelne i opatrzyłeś je we wszystkie znaki pisarskie, ażeby żadna drobnostka nie zepsuła efektu całości, przeczytałeś to wszystko wreszcie dwadzieścia razy i teraz liczysz dnie i godziny, ażali rychło ujrzysz to ukochane twe dziecko w płaszczyku drukarskim przemawiające do ludzi!.. A tu je zimny wyrok spotkał i skazał na śmierć!.. I rzekłem w duchu: O zaprawdę!.. okrutni to muszą być ludzie ci: szanowni Redaktorowie! Teki ich — to cmentarze, zapewne nie mniejsze od Powązkowskiego!“

„Listy z podróży“ Padalicy. Tom I, str. 114.

Patetyczność, jak widzimy, nie zawsze prawdziwym liryzmem się cechuje: pierwsza ma na względzie uczucia osób trzecich; drugi jest wynikiem głębokiego i bolesnego uczucia mówcy, lub pisarza: nie poetyzuje, nie podnosi miary istotnego smutku, nie szuka porównań ani ozdób, i jest tylko odbiciem duszy lub tęsknoty serca, w naturalnej mowie żal swój wypowiadającego, bez myśli o wywołaniu wrażenia. Tak Zyg. Krasiński w „Nocy letniej“ i pierwszej części „Nieboskiej komedyi“ do łez porusza prostemi słowy odmalowaną boleścią osób, działających w tym dramacie życia; tak ks. Antoniewicz rozrzewnia, opisując rzetelne wrażenia ostatniej nocy pod własnym dachem spędzonej, np.:

„Coraz bardziej ciemnieć poczęło; światło w domu błyszczało przez szyby; wróciłem już późno i w tym

domu przechodząc przez długi rząd pokoiów widziałem jakby rozwiniętą uroczymi obrazami całą przeszłość, całą młodość moją. Pomodliłem się przed obrazem ukrzyżowanego Chrystusa w domowej kaplicy i lżej mi się zrobiło na duszy.

Tak wszystko pusto i głucho było wokoło... wszystkie głosy radości i żalu ucichły, wszystkie drogie osoby, których posłyszane kroki radość niegdyś przynosiły sercu, już znikły; sam zostawałem ze wspomnieniem mojem, z boleścią moją, z przeszłością moją!.. U nóg moich leżał brytan ulubiony Zosi, nie przeczuwając, że jak stracił panią, tak wkrótce pana swego straci; on w późny wieczór, gdym z sąsiedztwa powracał, radosnem wyciem oznajmiał Zosi, siedzącej przy robocie w późną noc, przybycie moje. Biedny brytan! nie miał już komu oznajmiać przybycia mego!.. wkrótce nie będzie miał i powitać kogo... I mignął się przez szyby okna blask latarni; poznałem to światelko, wiernej, pocziwej kłucznicy wracającej z krowiarni, jak niegdyś za czasów Zosi; i weszła do pokoju, rzuciła się do nóg moich i łzami zalana nie mogła nic przemówić... ścisnąłem jej rękę na ostatnie dobranoc! — Przesiedziałem tę noc; chciałem usnąć, ale nie mogłem... chciałem się modlić, ale nie znalazłem słów, tylko — łzy!.. I ranek zaświtał. Nie mając dość siły, aby się żegnać ze wszystkimi domownikami, wsiadłem na wózek: jeszcze raz zwróciłem oczy na ten dom; pożegnałem tę wioskę i wszystko znikło z oczów moich: ale nie nie zginęło w sercu mojem. Żyje ta pamięć w głębi duszy, a jeżeli ją poruszę, to chwilka po chwile, uczucie po uczuciu tak żywo powraca, jakby ten przeciąg czasu był jednym tylko snem ciężkim“.

Liryzm taki, jako owoc uczucia, tak dalece nie od w y r a z ó w, ale o d d u c h a, jaki z nich wieje zależy, że najprostszy, powszednimi, z ust ludu wziętymi, a na-

wet śmiejącymi się wyrazami skreślony obrazek, schwyci przecież za serce tym smutkiem, jaki płynie z głębi samego przedmiotu, mimo barwy wesołej, jaką mu słowy dać chcemy. Za przykład tego może posłużyć ustęp z powieści Kraszewskiego ¹⁾, w której pana umierającego z tęsknoty za ojczystą ziemią, chłopak jego, również za nią tęskniący, tak mówiąc o powrocie, słodkiem marzeniem do snu na wieki kołysze.

— „To jakbym ja widział, proszę Jegomości — rzekł Maciek — Dalifur wyleci z łysą głową, bez czapki, ręce do góry podniesie i upłacze się... Murzynowska w szafranowej chustynce... Stefanek boso... z praczkarni, z folwarku, co żyje, powylatuje. Pan! pan! pan nasz!... A tu i ksiądz proboszcz z plebanii zdyszany leci... i po wsi rozchodzi się wieść o przybyciu, wszędy radość... wesele. Nazajutrz, wójt ze starszymi idzie powinszować powrotu! A jezioro nasze szumi sobie: pan powrócił,... drzewa szemrzą: pan,... bociany krzyczą: pan,... sroka śmieje się na płocie: cha! cha! cha! cha! — Tylko stary indyk naperzony, nie rozumiejąc wrzawy, nadyma się i skrzydłami sunie po piasku bełkocząc, a ja go po czerwonym nosie... masz trutniu!

Maciek tak się zapędził, że już nawet do niewidzialnego indora poskoczył, ale wprędce odpadła go fantazya. Pan śmiejąc się, zakaszlał mocno, musiał na ławce przysiąść, pełną krwi chustkę odjął od ust... Krew zaraz potem rzuciła się raz drugi. Powłókł się do łóżka.. Caritta siadła przy nim, zdawał się jej nie widzieć... Maćkowi kazał obrazek Najświętszej Panny i szablę powiesić sobie naprzeciw, oczy w nie wlepił i tak leżał...

¹⁾ „Pół-Dyable Weneckie“.

a kiedy niekiedy łzy mu poszły z pod powiek, to ocierając je, wąsa sobie niby pokręcał.

I dalej: — Zaraz po księdzu wcisnął się Maciek, siadł na ziemi w nogach łóżka.

— A która *tam* godzina? — zapytał Konrad.

— O! już słońko dobrze zaszło, — odparł żywo chłopak, — bydełko powróciło z paszy; Pukało obszedłszy obory, idzie, Zdrowaśki mruczając, na folwark do wieczery... Stefanek poszedł też pewnie okiennice pozamykać we dworze, a na plebanii księżyna odmawia brewiarz...

Tu zatrzymał się Maciek, a Konrad dodał żywo:

— Mów, mów, co ci się tam więcej śni!

— Ano, już chyba więcej nie wiem, rzekł Maciek; żaby skrzeczą w sadzawce i jezioro się kołysze... bociany do snu posiadały. Burek chodzi i bureczy... cicho! cicho!.. tylko od młyna turkot, słychać jak tam koła szumią i turkoczą... a na wsi może pastuszki gdzie śpiewają... Na Anioł Pański dawno przedzwonili.

— A we dworze? — spytał Konrad.

— Pustka Panie.

— Zegar idzie?

— O ten to się nie zająknie pewnie!

— Która godzina? — począł Konrad.

— Ciemno dobrze... ino nie wiem — dodał chłopak czegoś przelekły — czemu oni nie wracają?

— Mów o Robninie — poprawił go Konrad.

— Może świece zapalić?

— Tak, dobrze — słabym głosem zawołał Konrad, — przed N. Panną zmówimy litanie... Ale spojrzno, czy nie wracają? Albo nie, mów o Robninie...

Chłopak skrzesał ognia i zapalił świecę; dziwnie mu się blade wydała twarz pana, dziwnie straszne uczuł po sobie dreszcze i trwogę w duszy. Nadstawił ucha, myślał, że posłyszysz plusk przybijającej do brzegu gon-

doli, ale — cicho było jak w grobie. Konrad zdawał się drzemać.

Na palcach chodził Maciek koło niego; podniosły się ciężko powieki.

— Maćku, — rzekł, co *tam*, w domu?

— Śpią, panie.

Chłopak przysunął się do łóżka; chudą, kościstą rękę dobył z pod okrycia Konrad, poszukał wkoło i podał mu woreczek.

— To dla ciebie, — rzekł, abyś miał o czem powracać do domu.

— A mój panie drogi! przecież my razem pojedziemy.

Chory tylko głową potrząsnął.

— Weź, rzekł, i daj mi rękę; taki dziękuję ci... niech Bóg szczęści i błogosławi.

Maciek coraz niespokojniejszy, szlochać począł; pokląkł przy nim.

— Co się ty tam trwożysz? — począł Konrad — niema czego. Jam zdrow! mnie już dobrze, tylko mi się bardzo, bardzo... spać chce. Siadaj przy mnie; zaśpiewaj co naszego... po cichu... ja się zdrzemię...

Maćkowi nie na śpiew się zbierało: oczy ocierał i modlił się; Konrad zdawał się usypiać. Nagle pochwycił się, spojrzał na chłopca, siadł i począł mówić słabym, ale prędkim głosem: — Słuchaj, co tam się stanie ze mną, w woli Bożej; jeżelibyś został sam, nie mieszkaj tu dłużej: jedź do domu, do chaty. Powietrze tu niezdrowe... ludzie inni, serca dobre — ale inne, o! nie nasze!... Myśmy nie stworzeni do ich życia, ani oni, żeby nas zrozumieć mogli.

— Tam lepiej nawet z samotnością i nędzą... porzuć swego starego, albo go weźmij z sobą... wracaj... mówię ci... bo nie wyżyjesz...

I znowu pochylił się na poduszki.

— Zrozumiałeś? — spytał.

Maciek płaczem tylko odpowiedział.

— Co tu łzy pomogą — wyszeptał chory — nie masz jeszcze czego płakać, to babska rzecz... wstydz się.

A po chwili znowu spytał: Która godzina? co tam u nas robią? czemu oni nie wracają? — wszak na dworze pogoda?

— Pogoda, panie.

— Świeci księżyc?

— Jeszcze nie wszedł.

— Tu nie taki księżyc jak u nas...

— Tak, u nas piękniejszy — potwierdził Maciek.

I było potem milczenie... chłopiec przysłuchiwał się ciężkiemu oddechowi pana, który się zdawał usypiać powoli, ale oddech coraz cichł, ustawał, i zupełnie go w końcu słyszeć już nie było... Bo nie było już i duszy Konrada na świecie.

Styl sarkastyczny, pełen goryczy, ironii, wynika z uczucia zniechęcenia, rozczarowania i niewiary we wszystko, co dobrem i zacnem zowie się na świecie. Dowodzi on takiego bolesnego stanu duszy, w którym się tylko złe spostrzegać już umie, dlatego też jako dobry uważać go można wtedy jedynie, gdy chwilowo, jako postać mowy użyty, służy pisarzowi do zręcznego wypowiedzenia ludziom przykrej prawdy życiowej, lub wykazania im, jakim to wielkiem kalectwem duszy jest owo usposobienie, do takiego rodzaju mowy i pisma wiodące. Do jednego i drugiego celu, użył Kraszewski stylu sarkastycznego w *Fragmencie Abracadabra*, z którego jest następujący wyjątek:

— „Trafilismy już na delirium i gorączkę, w której gadał z niesłychaną szybkością i wymową... profesor i ja, jak wkuci, zatrzymaliśmy się na progu.

— Nie! — wołał — nie zmożesz mię siłą niszcząca... jestem młody, mam wolę potężną, mam przyszłość... zwyciężę!.. Czuję przed sobą życie... muszę je zdobyć. Zajrzę na dno tej wielkiej tajemnicy, której znam tylko zadanie, a rozwiązania nie pojmuję.

— Wszystko głupstwo! — dodał po chwili — na dnie wszędzie człowiek ze swoją małuczkością i dzieciństwem... w każdym bohaterze siedzi w kątku kawalek błazna i trochę smarkacza... Ot, ot, zdaje ci się, żeś w nim schwytał wyższą istotę, a już się wyślizga i przedziera w małoletniego roztrzepańca. Zaczyna jak prorok, kończy jak szewc pijany... doskonale śmieje się z głupstw cudzych, a swoje ma za całkowicie usprawiedliwione!.. toż samo w życiu i nauce, a wszędzie *ja* na wierzchu, *ty* dla zabawki, a *on* wielkie X. nieznane dlatego, by trójkę Platonowską dopełnić.

— Co mi pan mówisz, — ofuknął się z cicha profesor, — on chyba udaje delirium, on nie deliruje...

— To być nie może, zbliż się pan — rzekłem.

Lekarz usiadł przy łóżku ostrożnie i z cicha, ja stanąłem za nim i tak dywagacyi jego, w których jeszcze był związek i przytomność, słuchaliśmy.

Drag się rozśmiał.

— Widzę — rzekł, — nie, nie, nie jesteśmy tak zli, jak się zdajemy; ród ludzki składa się tylko po większej części z cieleń ze skrzydłami, udających anioły i cieleń z rogami, któreby rade za dyabły uchodzić... przecież ciele cieleciem...

Zamilkł podśmiewając po cichu.

— Nikogo, — rzekł, żywej duszy... takie przeznaczenie moje, nigdy nie mieć nikogo, być wykarmionym z łaski, rzuconym na łaskę losu i sierotą zostać na zawsze... a pokazać, że wola wszystko zastąpić może, zwycięży i przemoże wszystko... Nie znałem ani ojca, ani matki, ani serca... i nie potrzebuję ich; miłość zmiekcza, rzecz babska, na nic się nie zdało kochać...

Pokraję świat w kawałki i zjem go po trosze... może też przy tej operacyi dobędę się do jego serca i zobaczę, co bije na dnie.

— Biedny człowiek!.. — rzekł profesor z litością. — Kto wie co go czeka, to organizacya potężna... ale w piersi pusto, zaschło serce, straszny człowiek“.

Styl k r a s o m ó w c z y używa się w mowach sejmowych, kaznodziejskich, sądowych, akademickich, których celem jest wygłaszać prawdy religijne i moralne, strzedz porządku i dobra publicznego, bronić niewinnych i ucisnionych, gromić występki i zbrodnie, oddawać sprawiedliwość zasłudze i cnocie, zachęcać do postępu we wszystkim, co piękne i dobre na ziemi. Podstawą takiego rodzaju stylu jest: prawda, sprawiedliwość, miłość Boga i bliźnich. Wzniosłe i silne uczucie duszy, żywa wyobraźnia i wrodzona łatwość wysłowienia są jedynemi, prawdziwemi zaletami tego rodzaju stylu, jakim się odznaczyli kaznodzieje: Piotr Skarga, Birkowski, St. Orzechowski, T. Młodzianowski, P. Woroniecz, Piramowicz, Antoniewicz, Prusinowski i inni — a jako mówcy: Hugo Kołłątaj, Lud. Osiński, St. i Ig. Potoccy, Niemcewicz i t. d. Przykładem takiego stylu jest wyjątek z mowy St. Orzechowskiego na śmierć Zygmunta I.¹⁾.

„Umarł nasz król. Przebóg! rycerze, cóżem to wy-rzekł? mógłżeli umrzeć ten, którego świetna, którego prawdziwie królewska cnota, jeszcze niżeli doczesny zawód odprawił, już obdarzyła była nieśmiertelnością? Nie umarł zaiste, na lepszy świat z tego lichego, wyzuwszy znikomą postawę, przeniósł się. Tam domierzył, dokąd

¹⁾ Tłómaczenie Maks. Ossolińskiego z łaciń.

sobie całem życiem torował drogę, a wiekiem świątobliwie spędzonym otworzył wnijście. Oddalił się od nas — w ciężkim nas po sobie żalu zostawił, okrył nas tą grubą żalobą, w której oto w obliczu jego martwych zwłok na tym tu uroczystym pogrzebie stawamy. Jemu samemu nie ubyło nic, okrom nikczemnej ciała osłony. Osiągnął nieskończoną wieczność; przemijające dni zamienił na jestestwo żadnym przygodom nie podległe. Nie nad jego losem, którego już wspanialszego, szlachetniejszego nżywa, rozrzewniać się należy. Myśmy ponieśli stratę okrutną; śmierć nie jemu, ale nam życie wydarła. . . Wasze łzy, wasza to nieuhamowana rozpacz, świadkiem są, żeśmy wszystko z nim postradali. Nie jego niedola nas trapi, szlochamy nad własnem nieszczęściem. Utraciliśmy, rycerze, nie pana, albowiem — kiedyż nam jego berło ciążyło? ale najsprawiedliwszego króla i dobrotliwego ojca. Czterdzieści jeden lat temu królestwu panował, a w czymże nie zostawił po sobie przykładu skromnego i zawsze słuszością prowadzonego władzy używania? albo jakąż nas łaskawości, szczodrobliwości, ludzkości pamiętką nie obdarzył? Spójrzjmyż na kościoły: podźwignął, utrzymał, zachował wiarę świętą przodków naszych. Spójrzjmy na kraj: on go ojcowską miłością pielegnował, wewnętrzną i zewnętrzną pomyślnością uszczęśliwiał, ozdobił w pokoju, wślawił, orężem rozszerzył, zaszczycił swoją mądrością i walecznością. Był to król, — którego zaiste upłynione wieki nie widziały, potomne się nie doczekają“.

O głównych warunkach dobrego stylu.

Do jakiegobądź rodzaju stylu wystowienie nasze zaliczamy, musi on posiadać dwa najgłówniejsze mowy warunki: logiczność myśli i jasność w jej odmalowaniu.

Logiczność zasadza się na gruntownem zrozumieniu tego, o czym mówić chcemy, na użyciu wyrazów odpowiednich pojęciom i na takim ułożeniu zdań, aby z pierwszego wypływało następne; aby jedno popierało drugie i ściśle związek z niem miało, a wszystkie do jednego przedmiotu się odnosiły, do jednego celu zmierzały, np.:

Człowiek rodzi się z potrzebami, musi więc koniecznie na dogodzenie im pracować, i życia swojego bez pracy utrzymywać nie może. — Póki zostaje w dzieciństwie, dobrotliwa ręka rodziców, lub opiekunów, potrzeby jego i wygody opatruje; lecz skoro do sił przychodzi, powinien sam za siebie pracować i jeszcze pracą swoją wypłacać się za dobrodziejstwa tym, którzy go w dzieciństwie jego, to jest w stanie niemocy i słabości pielegnowali. Jestto dług zaciągniony, który koniecznie wypłacić trzeba, a nie można go wypłacić bez pracy.

Fr. Dmochowski.

Nie będzie w zdaniu logiki, jeżeli *imiestów nieod-*

mienny przeznaczony do skracania zdania podrzędnego, mającego ten-że sam przedmiot, co główne, niewłaściwie użytym zostanie, np. Laska ze srebrną główką idąc ulicą Chmielną zginęła. Wyszedłszy z pensyi po lekcjach, pies na mnie napadł; Malując kwiaty farba mi w oko prysnęła; czyli, że: gdy laska szła, zginęła; gdy pies wyszedł z lekcyi, napadł na mnie; gdy farba malowała, prysnęła mi w oko.

Brak takiej logiki uderzającym jest w mowie niewyrobionej i prowincjonalnej, przez powiązanie zdań spójnikami odwrotnego znaczenia mającymi, między jakimi raża ucho: *gdyby* i *nim*, jakich w następujących przykładach w niektórych prowincjach używają. *Pragnę, gdybyś przyszła*; niech używa swobody, *nim* jest dzieckiem.

Słowo *pragnę* oznacza życzenie, więc wymagało spójnika: *żeby*, a nie *gdyby*, oznaczającego warunek; — spójnik *nim*, oznacza uprzedzenie czasu, *póki* jego kres, a więc *póki* jest dzieckiem.

Jasność w wypowiedzianiu myśli jest drugim i tak dalece niezbędnym warunkiem stylu, że gdyby wszystkie przymioty jego znalazły się w mowie, czy w piśmie, to jeszcze braku tego głównego warunku, zastąpićby wcale nie mogły.

Człowiek mówi dlatego, aby drugim ludziom odsłonił swe myśli i uczucia, więc mowa jego powinna być jasną jak przejrzysty kryształ, przez który promień słońca z całą łatwością przenika. Gdybyśmy szkło okien naszych w najpiękniejsze wzory pomalować kazali, a dali jej tło ciemne, nieprzepuszczające światła zupełnie, to szkło owo celowi nie odpowie bynajmniej, bo nietylko, że zasłoni, zamiast odsłonić przedmioty na zewnątrz domu będące, ale nadto, kładąc tamę światłu, nie da nam wcale dojrzeć i owych wzorów kunsztownych. Mowa tak samo: jeżeli przez nią światło myśli nie przebije się ja-

sno z powodu źle dobranych, i źle uszykowanych wyrażań i pomieszania pojęć, nie odpowie ona również swojemu celowi, i żadne ozdoby wydać się w niej nie mogą; każdy więc piszący do tego najprzód usilnie dążyć powinien, aby go zrozumiano bez żadnej trudności, i dlatego potrzeba, aby zastanowiwszy się nad tem, co chce wypowiedzieć, więcej o dokładne przedstawienie rzeczy, niż o jej upiększenie się starał.

Np. Praca największym wdziękiem jest życia, istotną miarą wartości, użyteczności człowieka; nie tylko jest cnotą ale i szczęściem; bogate — wielu uciech z pracy wypływających nie znają. Znaż która z nich tę rozkosz nieocenioną utrzymania siebie, dostarczenia potrzebom życia swego własną, godziwą pracą? Pojmujesz którą, jakie miłe, jakie chlubne uczucie serce człowieka napęlnia, kiedy, spojrzawszy na siebie, koło siebie, pomyślawszy o bycie, o szczęściu swoim, powiedzieć sobie może: „Panie! łaska to Twoja, ale praca moja“.

Praca jest źródłem wszystkich uciech; patrz tylko na uczciwego rękodzielnika, który wstawszy rano idzie do pracy; twarz jego wesół, wejrzenie śmiałe, szanuje się sam, bo czuje swą wartość. Odejmij pracę, spoczynek będzie męczarnią duszy i zniszczeniem ciała. A kiedy jeszcze z tej własnej pracy wypłynie sposób podania ręki rodzicom, krewnym, bliźniemu w potrzebie, wtedy ta rozkosz z niczem porównać się nie da. Zapewnić sobie własną pracą, byt uczciwy i przyjemny, jest to dać dowód najoczywistszej wartości osobistej; i wyznaję, że jeżeliby komu z dóbr ziemskich chęć się dozwolonem było, to nie tym, którzy majątek w spadku po rodzicach dostali i opływają w dostatkach bez żadnego naprzód położonego mola, ale tym, którzy własną, mozolną, a godziwą pracą do obfitości doszli.

„O powinnościach kobiet“. Hofman.

Jasność stylu dwóch tylko warunków wymaga: gruntownej znajomości przedmiotu, o którym mówić chcemy i znajomości języka, w jakim opowiadać go mamy.

O znajomości przedmiotu.

Znać przedmiot, — jest to nietylko zbadać go do gruntu w najdrobniejszych jego szczegółach, i własną myślą objąć całość jego, ale nadto, umieć tę całość podzielić logicznie na części ułatwiające zrozumienie przedmiotu i wydać je w piśmie takim porządkiem, jakim one w pojęciu rzeczy następują po sobie. Zrozumiawszy więc rzecz jakąś dokładnie, należy uchwycić jej wątek i od początku do końca, jakoby nie jedną snuć ją naturalną wypadków, lub wrażeń kolejną, dzieląc znów mowę, czy pismo na części, które zowiemy: *okresami*.

O okresach.

Podział mowy i pisma na części, czyli okresy, wynikł ze względu na słaby umysł człowieka, który potrzebuje jakiegoś ułatwienia do pojęcia tego, co ogarnąć i zbadać dobrze pragnie, a zarazem z potrzeby zaokrąglenia myśli w pełne życia, urozmaicone i harmonijne całości.

Każdy okres, czyli mały oddział mowy zawiera w sobie jedną myśl główną uzupełnioną przez zdania podrzędne, które oddzielnej myśli nie stanowią wcale, ale obliczone na zdobycie czyjegoś przekonania lub serca, następują po głównej i w ścisłym są z nią stosunku, jak w tym okresie na przykład:

„*Pisma*, w których się pożytek łączy z przyjemną zabawą, w których są zatrudnione rozum, imaginacya i serce, stają się rozkoszą życia i zachęcając do czytania, rozszerzają oświecenie nawet między klasą tych ludzi, którzy nie mają ani dość ochoty, ani dość sposobności oddawania się naukom.

Słowacki.

Z czterech zdań składających ten okres — jedno tylko jest głównem; trzy inne choć nie są konieczne, łącząc się jednak z głównem, wykazują wartość *pism*, więc znaczenie myśli w niem zawartej podnoszą i niezbędnie do zaokrąglenia jej są potrzebne.

Dwie główne myśli z osobnem rozwinięciem wtedy tylko w jednym okresie są dobre, kiedy ich zestawienie ze sobą wybitniej różnicę, podobieństwo, lub skutki czegoś wykazuje, jak w następującym wyjątku to się pokaże:

„Niepospolity to punkt, gdzieśmy się znajdowali. W tem właśnie miejscu przechodzi graniczna linia między Galicyą a Węgrami. Kilka kroków, bo tak jest wązka płaszczyzna tego grzbietu, rozdzielają dwa narody, dwa klimata.

Od północy dolina Kościeliska, urocza różnaitością i całym wdziękiem wiosennej prawie świeżości; od południa takąż dolina do Węgier już należąca, tej samej prawie długości, tegoż samego kształtu prawie, ale bez tych różnaitości, któremi pierwsza odznacza się; ani tych skał dziwnych, ani wód obfitych, ani dolin pobocznych, raczej jeden wąwóz długi, głęboki, jednotonnym lasem zarosły.

Dolinę Kościeliską ubarwia młoda wiosna, — na Węgierskiej ślady dogorywającego lata: po pierwszej błękitnieją, żółcieją, rumienia się najdorodniejsze, najwonnejsze kwiaty; na drugiej zaledwie gdzieniegdzie

żółty jaskier; tam porywa, oświeża oczy zieloność, jak po ciepłych wiosennych deszczach, tu zwiędła już trawa i mech płowieją“.

„Podróż do Tatrów“. Goszczyńskiego.

Okresem, wogóle, nazwać można każde zdanie zupełnie skończone jak np. to: „*Szczerłość i prawda najrzadsze z cnót ludzkich*“ (Kraszewski); ściślej się jednak tłumacząc: przez okres rozumiemy taki układ zdań, że one dzielą się na dwie połowy: w jednej wniosek, lub przyczyna, w drugiej twierdzenie, lub skutek się mieszczą i tworzą *poprzednik* i *następnik*, które mogą stać w odwrotnym do siebie porządku. Np.: „*Trudniej zapomnieć, niżeli darować, bo to pierwsze już nie od naszej woli zależy*“ ¹⁾. (Felix Ornis) „*Kto tylko tego szuka, co jest łatwem, nigdy tego, co jest wielkiem nie znajdzie*“ ²⁾. (St. Potocki).

Najzwyczajniejszym sposobem łączenia takich części w całość jest użycie spójników: bo, więc, że, ponieważ, gdy, dlatego i t. d. i zaimków względnych: który, jaki, co, kto, czyj, i tak dalej.

Np. „Dla bliźnich ten jedynie użytecznie pracuje, *kto* im może ciągle coś z siebie i ze swego dawać: *pieniądz, uczucie, jasność myśli, dzielność ramienia*“.

Gabryela.

„W obecnym składzie społeczeńskim nieszczęśliwsi bywamy częściej przez dobre przymioty, niż wady; *albowiem* każdy nadużywa dobrej naszej strony, a zły nie rad zaczepia“.

Siemieński.

¹⁾ Skutek i przyczyna. ²⁾ Wniosek i twierdzenie.

Sposób takiego łączenia jest dobry, ale pewnym warunkom zadość uczynić musi, szczególnie, gdy zaimkami, zdania wiązać się mają, bo *jasność* i *dobitność* mowy wymaga: aby zaimek względny, następował zaraz po rzeczowniku, który określić powinien, a przynajmniej zaraz po wyrazie przymiotnym, całość z tym rzeczownikiem tworzącym, np.

„Spojrzawszy na ten świat *Boży*, *wśród którego* miliony ludzi kręci się, spotyka, krzyżuje i wzajem o siebie ociera; na żywot nasz społeczny, na stosunki nasze z istotami otaczającymi, co chwila zdumiewać się musimy *prawicy Bożej*, która tak to wszystko urządziła, że każdy z nas przychodzi na naznaczone miejsce w danym czasie, każdy jest zarazem ofiarą i sędzią, a *to*, czego od swych współbraci doznaje i czem ich napawa, zawsze według najściślejszej sprawiedliwości, nie ludzkiej, ale *Bożej*, obrachowaniem zostało“.

Kraszewski.

Ileć wbrew tej zasadzie zaimek względny odsu niemy daleko od należącego doń rzeczownika, po którym postawimy jeszcze kilka innych obojętnych mu całkiem, to myśl zupełnie niezrozumiałą się wyda, dla braku połączenia należących do siebie pojęć; a jeżeli jeszcze ostatni, obcy rzeczownik w innym jest, jak zaimek, rodzaju, wtedy zdanie i niezrozumiałem, i nieharmonijnem się wyda: np.

„Potem Władzisław postanowił *im* kapłany, z Pol-
ski przywiodłszy, w swoich biskupstwach, *z którymi* przed
się dosyć trudności mieli, niżeli z nich pierwsze bałwo-
chwalstwo wybili“.

M. Bielski.

„Ogień zwali swoim językiem *Zync* za jedną *świętość*, na który kładli drwa kapłani ich“.

M. Bielski.

W pierwszym okresie zaimek *któremi* oddzielony trzema rzeczownikami od zaimka *im*, nie zdaje się zupełnie należeć do niego, a w drugim zaimek *który* przy rzeczowniku *świętość*, nietylko że myśl czyni niejasną, ale jeszcze razi ucho niezgodą rodzaju razem zestawionych wyrazów. Taka jednakże zgoda również byłaby tu niedobłą, bo zaimek, godząc się na pozór z rzeczownikiem najbliższym, myśl całą pozwalałby dwuznacznie sobie tłumaczyć, np.

„Ale powoli, gdy się z nim oswoją dzieci i rodzice, jak wróble ze straszylem, zaczyna się męka... Zaczyna się od liniowania papieru na rejestra, od nudnych *dese-ników* dla *panienek*, które na zimno rysować trzeba“.

J. Kr.

Myśl tu dwojako obróconą być może, bo i *deseniki* i *panienki* jednako wyrysować można.

W okresach umiejętnie układanych, w miejsce spójników lub zaimków, takim połączeniem zdań może być sama myśl, czyli związek logiczny, jaki pomiędzy niemi zachodzi i wtedy zdanie główne nie podrzędnemi, ale współrzednemi rozwijać się i uzupełniać będzie, nie tracąc wcale na jasności, ani dobitności swojej, np.

„W świecie Bożym nie kłamać nie umie krom jednego człowieka; wiele rzeczy ludzi, wiele istot uwodzi, jeden człowiek kłamie. Nie on nie stworzył krom tego, ale fałsz jest jego dziełem. Zwierzę jest zawsze tem,

czem jest: sobą; człowiek sam przebiera siebie, serce, uczynki, słowa swoje w barwy fałszu, on jeden zabija wiarę w to, czym jest, nigdy prawie nie będąc szczerze sobą. Jedni kłamią dobre, drudzy złe, inni stwarzają z siebie nowych ludzi, mało jest takich, co są, jakimi ich Bóg stworzył.

J. I. Kraszewski.

O warunkach okresu.

Niezbędnymi warunkami dobrze ułożonego okresu są **j e d n o ś ć i c a ł o ś ć**.

W okresie dobrze ułożonym, jedna jakaś myśl **g ł ó w n a**, powinna przewodniczyć wszystkim innym służącym tylko do jej rozwinięcia, i pod względem doboru i układu **p o d r z ę d n y c h**, musi koniecznie powyższym odpowiedzieć warunkom.

1) **J e d n o ś ć** okresu wymaga, aby tylko koniecznie potrzebne do wyjaśnienia myśli **g ł ó w n e j**, znajdowały się w nim zdania, a nie było takich, które nietylko, że łatwoby opuścić się dały bez uszczerbku myśli, ale jeszcze przeszkadzają do zrozumienia najważniejszej i obchodzącej najwięcej, np.

„Młodości porannej wspomnienie, to zielnik stary, bo w nim wszystko przechowane z dawnych lat: co serce niegdyś ukochało, co szczęśna podała chwila, lub przygoda ciemna w tęsknej zrodziła godzinie, toć spoczywa wszystko oznaczone w duszy głębi, to listkiem róży, to gałązką cyprysową, to ułamkiem wawrzynu lub fijołkiem cichym“.

J. Kremer.

Okres ten ma j e d n o ś ć, bo z sześciu zdań, które go składają, jedno tylko jest g ł ó w n e, a pięć innych służy do wyjaśnienia, dlaczego wspomnienie *zielnikiem* jest w pierwszym zdaniu nazwane.

J e d n o ś ć okresu rozrywa się wsunięciem myśli n a w i a s o w y c h pomiędzy zdania u z u p e ł n i a j ą c e, czy o k r e ś l a j ą c e myśl g ł ó w n ą, bo wtedy uwaga zwraca się ku obcemu przedmiotowi, od tego j e d n e g o, który nas wyłącznie zajmować był powinien, np.

„Ściany, żeby się nie obaliły, bo jednakże całkiem im nie wypadało dowierzać, (cóż na świecie nie zdradza? nawet kołki.!!) ściany obwiodł przemyślny budownik przyźbą, która je trzyma i nie puszcza“.

Kraszewski.

Druga przyczyna rozerwania j e d n o ś c i okresu jest taki jego układ, iż koniec nie odpowiada początkowi, z powodu domieszania zdań, nie d o g ł ó w n e j odnoszących się myśli, np.

„Tą (muzyką) się cieszy podróżny człowiek, tą więzi w ciężkich okowach, nakoniec przyrodzenie samo (aby to każdy znał, iż muzyka jaka taka niewczasy ludzkie odpędza) nauczyło mamki śpiewać, aby śpiewaniem dziecinny płacz tuliły; bo wnet dziecię uspokoi się, usnie i zapomni sobie przyzwoitego płaczu, który płacz natenczas dało nam przyrodzenie na znak, iż nędzny, a mizerny żywot nasz ma być na świecie“.

Łukasz Górnicki.

I w pierwszym i drugim przykładzie, okres nie ma j e d n o ś c i; w pierwszym, rozerwały ją dwa zdania na-

wiasowe, z których jedno nasuwa spostrzeżenie nad *ścianami*, drugie nad *kołkami*; w następnym zaś znowu okresie, dwa zdania wsunięte pomiędzy dwa główne pojęcia: *przyrodzenie nauczyło*, rozłączają te pojęcia całkiem, a dwa ostatnie zamiast o muzyce, o znaczeniu płaczu nam mówią.

Całość okresu zależy na tem, aby myśl główna, tak była rozwiniętą i uzupełnioną, iżby już nie pozostawało do dodania nic, coby mogło wpłynąć na przekonanie drugich, np.

„To widzimy, patrząc na drzewa, u których gałęzie zawsze są do pniaka podobne, a jeśli się kiedy odróżdzą, to tam nie przyrodzenie winno, ale ogrodnik nie dbały. Także też się dzieje i w ludziach, którzy około wychowania mają dobre gospodarze, niemal zawsze są podobni tym, z których idą i częstokroć je przechodzą“.

Górnicki.

Okres ten całości nie ma; bo niema w nim myśli odpowiadającej ostatniej z okresu pierwszego. W tamtym były dwa zdania o *gałęziach* podobnych i odradzających się od pnia, więc w następnym okresie powinny były być także dwa, które za porównanie służyć miały, o dobrze i źle wychowanych ludziach mówiące.

Całości okresu nie będzie w takich jeszcze razach, gdy spójnik wtrącony jest pomiędzy pojęcie rzeczy, a pojęcie jego przymiotu; lub zdanie główne a skrócone przez imiesłów osobliwy, po tym zaś spójniku lub imiesłowie, nie będzie słowa, odnoszącego się do głównego pojęcia, lub zdania.

„Serce drży nam miłością ku ziemi pod naszymi stopami rozestanej, lecz wyobraźnia, *jakby* nie wiedziała wcale, że kochamy każdy jej zagon falujący po niwie, każdą jej morgę odmiennem zbożem zasianą, odmiennym smugiem światła lub cienia pokrytą“.

Zmich.

Ten okres wzięty oddzielnie od poprzedzającego, który pozwala się domyślać, iż spójnik: *jakby*, z słowem nie wiedziała, daje tylko niepowszedni zwrot tej myśli, że: *wyobraźnia nie wie*, nie będzie miał całości, bo *wyobraźnia*, jako pojęcie rzeczy, o której jest mowa, nie ma wyrażnie o sobie wydanego sądu, od jakiego ją spójnik oddzielił.

Nakoniec, okres odpowiadający dwom wyżej wyjaśnionym warunkom, musi być jeszcze stosownie do myśli i uczucia podzielony znakami przestankowymi na części.

W żywej mowie na oddanie wszystkich naszej duszy poruszeń, mamy różne głosu odmiany, a w samym jego dźwięku takie są wybitne naszego uczucia objawy, że nie słysząc nawet wyrazów, po tonie, jakim są wymówione, znaczenie ich rozpoznać jest łatwo.

Te zmiany głosu dziwnie piękną i przenikającą mowę naszą czynią i robią ją prawdziwem naszych wrażeń odbiciem, gdy bez nich byłaby ona monotonna i barwy uczucia pozbawioną zupełnie.

Jeżeli więc pojęcia nasze piśmiennie wydawać musimy, wtedy czytającemu, znakami pisarskimi, jak gdyby na migi, dopełniamy tego obrazka myśli naszych, jaki w samych wyrazach byłby niedokładnym jeszcze; od

właściwego zaś ich użycia nietylko ożywienie pisma, ale i jasność jego zależy.

O długości okresów.

Trudno jest stałą miarą oznaczyć długość okresów, bo dodanie większej ilości zdań podrzędnych, zależy od potrzeby szerszego rozwinięcia myśli głównej; dlatego ludziom uzdolnionym za najlepszą miarę długości, służy własne ich uznanie, i stosownie do przedmiotu pisma swojego i do wrażenia pod jakim zostają, używają stylu peryodycznego lub ucinowego.

Styl peryodyczny tworzy się z powiązania okresów długich, złożonych z wielu zdań, podnoszących dosadność zdania głównego. Używa się zwykle w mowach i pismach poważnie, z godnością, z największym ducha spokojem traktujących rzeczy; w opisach rozbierających i zgłębiających jeden tylko przedmiot, lub jedno tylko uczucie, Np.

„Sposobić ludzi, wypuszczać ich na świat do posług towarzyskich bez dzielnej pomocy religii, nie dać im hamulca przeciwko rozwiozłości, zgorszeniu, złym namowom i podnietom, jest to wypchnąć ich bez steru i przewodnika na morze rozhukane nawałnością, pełne skał i zamieci.

Religia chrześcijańska, cała zajęta dobrem i niedolą człowieka, wystawia mu wielkie jego przeznaczenie, prowadzi do niego drogą cnoty, cierpliwości i zasługi; zasadza pobożność na usługę nieszczęściu i na najtkliwszych obowiązkach ludzkości, urządza spokojność duszy, każe urazy darować, zapobiega srogiemu panowaniu zemsty i dumy, niesie radę w pomyślności, a pociechę

w dolegliwościach, krzepi upadających nadzieją i nie dopuszcza rozpacz; na powściągnięcie ambicji i chciwości ostrzega o krótkości życia i radzi nie łudzić się znikomością rzeczy ziemskich.

W tej nauce prawdy, pokoju i pocieszenia zawarte jest prawdziwe zbawienie na ziemi rodu ludzkiego, skojarzonego w związek towarzyski; obok miłości Boga nakazuje miłość bliźniego, wszędzie się w prostym języku tliłości rozводи nad niedolą i cierpieniem współbraci, żeby zatrudnić czułość naszą, zmiękczyć ją widokiem nędzy i nieszczęścia, i zaszczerpić słodkie poruszenia ludzkości.

W tej religii Bóg zawiera przymierze z człowiekiem dla ratunku, ulgi i pociechy nieszczęśliwych: jest to ludzkość nakazana imieniem nieba, a niedola potrzebnych i cierpliwych przytulona pod jej opiekę, dla zapewnienia spokojności cywilizowanemu towarzystwu.

Nie dziw więc, że religia, wytrzymawszy srogie prześladowanie w pierwszych zaraz wiekach, zatamowała mordy, rozboje i pożogi walącego się państwa Rzymskiego; nie dziw, że zbawiła Europę, kiedy ją najechała i zalała dziećmi narodów północnych i wschodnich; nie dziw na koniec, że zawierając w sobie najdzielniejsze pomocy i pierwiastki cywilizacji ludzkiej, przyłożyła się najdzielniej do dobra nauki, a z niemi do ucywilizowania Europy i postawiła tę część ziemi w pierwszym rzędzie chwały, mocy i świetności“.

Jan Śniadecki.

Styl ucinkowy wprost temu przeciwny, jest wysłowieniem się krótkimi, urywanymi zdaniem. Używamy go zwykle wtedy, gdy mówimy, lub piszemy pod naciskiem gwałtownego wrażenia: boleści, gniewu, zdziwienia, albo przerażenia; gdy z swobodą, dowiecipem, opowiadamy jakieś niezwykłe przygody żywo nas obchodzące i spie-

sznie następujące po sobie; gdy czegoś w przedmiotach naukowych dowodzimy śmiało i energicznie, a wogóle: gdy mowa nasza jest wynikiem uczucia. Jakiemkolwiek ono byłoby, człowiek niem uniesiony nie myśli o zaokrąglaniu swej mowy, ale wybucha prawie tem uczuciem, i wrażenia swoje maluje tak szybko, tak urywanie, jak one w jego sercu powstają i zastępują się wzajem.

Np. Debarkader Warszawski, mówiąc między nami, wygląda dość sobie pospolicie i w stosunku do wielu europejskich jest tem, czem stacya pocztowa na partykularzu, której całym zasobem są dwie czwórki kalek i słupiek malowany przed gankiem, w stosunku do stacyi pocztowej wielkiego miasta. Na pół godziny przed odejściem pociągu, zaczyna się ruch przy debarkaderze. Dążą z miasta karety, koczki, dorożki, przyśpieszonym krokiem idą piesi podróżni, a wszyscy zaopatrzeni w rozmaite walizy, tłumoki, mantelzaki i węzelki. Wszelka indywidualność przestąpiwszy próg kantoru, zmienia się na numer; przyjmuje stempel, odbija się jak palant z jednej strony na drugą, wreszcie grupuje przy drzwiach głównych prowadzących do galeryi i jak strzałka magnetyczna zaczyna oscylować w jednym kierunku. Indeks zegaru łączy się ciągle okiem, a dzwonek uchem. Wtenczas warto jest przepatrzyć tę różnorodną grupę. Miasto zwykle przysyła tu wszystkiego po trosze, jakby próbkę każdej klasy, typu, wieku, słowem wszystkiego, co posiada i prezentuje na ulicy. Tu jeszcze panuje ruch wzmożony. Każdy zajęty, śpieszący się, chwyta bilet, przeciska się z paszportem, żegna się ze znajomym, siada, chodzi, przypomina, śmieje się, płacze, lub zamyśla. Widzisz tu doświadczonych i niedoświadczonych podróżnych. Jedni żegnają się łzami, drudzy ze śmiechem, a inni z miną obojętną patrzą na zegarek i ludzi.

Wtem — zadzwoniono... otwarły się drzwi na ga-

leryę i wszyscy posunęli się do wagonów zabierać miejsca. Wzmogło się stukanie drzwiczek; okna unizwały się w twarze rozmaitego wyrazu; jeszcze rozmowy, jeszcze pożegnania, jeszcze tu i owdzie dłoń spaja się z dłonią; wtem — ozwał się przeraźliwie świstek; silnem, taktowem buchaniem natychmiast mu odpowiedział kocioł, i cały szereg wagonów wysunął się z debarkaderu, pisząc w powietrzu jak fosforyczną zapalką ślad swej drogi.

„Listy z podróży“ Padalicy.

Stylu ucinkowego używa się jeszcze przy wydaniu myśli głębokiego znaczenia, które tem mocniej na wyobraźnię działają, tem wyższem tryskają uczuciem, im więcej skrępowane urywanemi zdaniami, nie mogą się wypowiedzieć w całości. Takiego stylu przykłady łatwo znaleźć w dziełach *Zygm. Krasińskiego*, z którego: *Nieboskiej Komedy* jest następujący wyjątek:

„Lekarz wziął cię za puls, liczył bicia i ogłosił, że masz nerwy. Ojciec chrzestny ciast ci przyniósł, poklepał po ramieniu i wróżył, że będziesz obywatelem pośród wielkiego narodu. Profesor przystąpił i macał głowę twoją i wyrzekł, że masz zdolność do nauk ścisłych. Ubogi, któremuś dał grosz, przechodząc, do czapki, obiecał ci piękną żonę na ziemi i koronę w niebie. Wojskowy przyskoczył, porwał i podrzucił, i krzyknął: „będziesz pułkownikiem“. Cyganka długo czytała dłoń twoją prawą i lewą, nie wyczytać nie mogła, jęcząc odeszła, dukata wziąć nie chciała. Magnetyzer palcami ci wionął w twarz, długimi palcami twarz ci okrażył i przeląkł się, bo czuł, że sam zasypia. Ksiądz gotował cię do pierwszej spowiedzi i chciał ukląć przed tobą, jak przed obrazkiem. Malarz nadszedł, kiedyś się gniewał i tupał nóżkami, na-

kreślił z ciebie szatanka i posadził cię na obrazie dnia sądneho między wyklętymi duchami“.

Tak jeden, jak i drugi rodzaj stylu, choćby odpowiedni do przedmiotu i uczucia, może być dobrym i pięknym tylko w pewnych ustępach; bo ucinkowy zrobiłby mowę niegładką i urywaną, pozbawiając ją zaokrąglenia i wykończenia myśli, a peryodyczny znużyłby umysł, zbyt długo do jednej myśli go przykuwając. Zwykle też oba te rodzaje wzajem się przegradzają i wtedy dopiero tworzą styl pełen rozmaitości, żywości i harmonii.

Np. „Wioska ta, byłato zwykła górską, uboga, nie intratna posiadłość. Ogromne obszary ziemi — lecz puste; ogromne lasy, w których masztowe jodły, ale nikt nie kupował ich ani na klepki; dwór drewniany niewielki, zabudowania ładajakie, a lud w największem ubóstwie. Ale za to powietrze i woda jak samo zdrowie; lasy gęste i czarne, jak puszcze amerykańskie; skały dzikie i straszne i oplecione zielenią tak cudnie, że wzroku od nich nie można oderwać; tu i owdzie widoki na Tatry, i Morskie Oko tuż blisko. — Morskie Oko ze wszystkiemi swojemi czarami i tajemnicami, nie mrużące się nigdy i rozmawiające przez wnętrze ziemi z ojcem swym oceanem, który je kiedyś w boleści wypłakał i zawiesił w Tatrach. Natura tu wszędzie tak chrobra, jak pierwszy dech przedstworzenny; wschody słońca jak jutrznie zbawienia, a zachody, jak pożary miast wielkich, które zostawiają po sobie mgłę szafirową na górach. Wszystko tu piękne i wzniosłe, wszystko tu poetyczne i tak głośno przemawiające do duszy i serca, że trzeba być chyba głazem nieżywym, lub drzewem, ażeby wobec takiej natury nie rozkołysać swej wyobraźni, nie rozbijać swych myśli, nie ożywić w swej duszy ideałów poezyi i piękna. To też kto się nie może doczekać na-

tehnienia w swoim własnym fotelu, tu niech ich szuka; a kto ich i tutaj jeszcze nie znajdzie... ten niechaj powie: Amen — swoim poetyckim zachceniom“.

„Bajronista“ Zyg. Kaczkowski.

O znajomości języka.

Znajomość języka nie na codziennem jego użyciu, ale na gruntownem zbadaniu go polega, bo mówić tem, lub owem narzeczem, to nie jest znać je bynajmniej, tak samo jak widzieć człowieka, jeszcze znajomością jego, nie można wcale nazywać.

Człowiek ma duszę, która jego czynom wyłączny charakter i właściwe znaczenie nadaje; kto nie pojmuje pobudek jego działania, ten widzi i słyszy go tylko, ale go nie zna zupełnie. Naród, ten człowiek zbiorowy, ma także duszę zaczarowaną w języku; kto słyszy i wymawia dźwięki, a nie wie, co je wywołuje i co się w nich odbija, ten nie zna wcale języka.

Józef Kremer, ów mistrz słowa polskiego, mówi tak w tym względzie do tego: „co pragnie wygrywać pieśni z innego świata na sercach ludzkich i chce duchom władać i stać się ich panem“. „Naucz się własnego języka twojego, naucz się jego sumienia, jego serca, podpatrz jego tajemnice, poznaj się z czarami jego potęgi, co w nim żyją zaklęte; umiej z niego wskrzesić pioruny i burze, płacze i muzyki anielskie, jeżeli chcesz, by ci była talizmanem do potęg i uczuć, co śpią nieznanne w topielach serc naszych! Tak jest! naucz się języka twojego; naucz się jego sumienia, ale pamiętaj,

że tu głowa, że tu rozum nie wystarczy; przyłóż serce do serca twojej mowy, bo tak jedynie uczujesz jej tętno tajemnicze; pokochaj ją z duszy, jeżeli chcesz być od niej kochanym. Jeżeli ta mowa twoja nie będzie ci potrzebna, jeżeli nie będzie powolną twoim myślom i uczuciom, nadaremnie będziesz przysięgał, że ją znasz, że ją kochasz, nikt ci nie uwierzy“¹⁾. Więc stosownie do tego zastrzeżenia, ażeby znać swój język, nie dość jeszcze jest wiedzieć, że on jest dziwnie bogaty i tajemniczy w swych skarbach, ale trzeba zbadać, w czym się to bogactwo zawiera i jak tych skarbów ze względu na cechy i ducha języka, na zasady gramatyki i składni, na czystość, właściwość i poprawność naszych wyrażen używać nam wypada.

Bogactwo języka.

Bogactwo języka oblicza się: 1-sze, ilością brzmień; 2-gie, zasobem wyrazów malujących kilkorako toż samo pojęcie; 3-cie, łatwością tworzenia wyrazów pochodnych z pierwotnych; 4-te, obfitością ich form, a we wszystkim tem, nasz język niewyczerpane skarby przedstawia.

I tak: 1-sze co do ilości brzmień, że żaden język nie wyrówna naszemu, dowodzi tego łatwość, z jaką przyswajamy sobie mowę innych ludów, znajdując dla każdej odpowiednie dźwięki, od najmiększych i najpieszczotliwszych, aż do najtwardszych i ostrych, kiedy

¹⁾ „Listy“ Kremiera, tom II, str. 38.

wiemy dobrze, z jaką trudnością przychodzi cudzoziemcom mowy się naszej wyuczyć.

2) O zasobie wyrazów przekonamy się obliczywszy: że mamy ich nie tylko po kilka na nazwanie jednego pojęcia, ale jeszcze po kilka, i kilkanaście nawet określeń, któremi prześlicznie to jedno pojęcie cieniować możemy. I tak toż samo znaczy: ciemny, ślepy, niewidomy; izba, stancya, pokój, komnata; prostactwo, nieokrzesanie, gburowatość; wianek, wieniec, równianka, plecianka; posag i wiano; stołek i krzesło; twarz, oblicze, lice, policzki, jagody; pęta, więzy, okowy, kajdany; kościół, świątynia, przybytek Pański, dom Boży; suknia, szata, odzież, ubranie i t. d.

Cieniując swoje miłe dla oka wrażenia, mówimy, że ktoś jest: miły, ładny, przystojny, udatny, nadobny, powabny, wdzięczny, piękny, śliczny, prześliczny, uroczy, zachwycający, cudny.

Malując to uczucie, jakim serce ludzkie obejmuje Boga, bliźnich, stworzenia i rzeczy, nazywamy je odnośnie do jego przedmiotu i stopnia: ulubieniem, upodobaniem, przywiązaniem, kochaniem, kochaniem się, umiłowaniem, uwielbieniem, a dalej: poważaniem, szacunkiem, uszanowaniem, czcią.

Sądząc o stanie rozwoju umysłowego drugich, powiadamy, że są rozsądni, wykształceni, rozumni, naukowci, uczeni, mądrzy.

3) Jesteśmy bogaci w wyrazy blizkoznaczne, to jest w wyrazy: które do jednego pojęcia się odnosząc, nie stanowią przecież ani tożsamości, ani stopnia jego, ale różnicę, jaką upatrujemy w nim pod rozmaitymi

względami, a jaką widzimy nieraz i w rzeczach jednaki co do rodzaju, ale co do gatunku odmiennych. Np.: Obowiązki swoje nazywamy: robotą, czynnością, działaniem, zajęciem, zatrudnieniem, pracą, i jesteśmy przy ich wypełnianiu: leniwi, niedbali, gnuśni, opieszali.

Miłe uczucia serca zowiemy: przyjemnością, zadowoleniem, ukontentowaniem, radością, weselem, wesołością, rozkoszą, pomyślnością, szczęściem. Inne wiodące do lekceważenia i narażenia życia, mianujemy: junakierią, zuchowactwem, śmiałością, odwagą, męstwem, walcznością, bohaterstwem; — a jeszcze inne: litością, dobroczynnością, miłosierdziem; żalem, smutkiem, rozpaczą; złością, gniewem, nienawiścią; rozwągą, roztropnością, rozsądkiem, rozumem; żywością, roztargnieniem, roztrzęsaniem; użalamy się nad: brakiem, niedostatkiem, biedą, ubóstwem, nędzą; nad: jeńcem, więźniem, niewolnikiem i t. p.

4) Co do łatwości tworzenia wyrazów, to jest ona tak wielką, iż trudno nawet wyliczyć wszystkie wyrazy, jakie powstać mogą z jednego, za pomocą dodania, lub zmiany jego końcówki:

I. Dla oznaczenia jednejże rzeczy, ale uważanej odnośnie: do naszego uczucia, z jakim zapatrujemy się na nią, i do jej gatunku, rodzaju, lub przymiotu.

II. Dla uformowania innej części mowy.

III. Dla urobienia, przez dodanie różnych przyimków, lub przyrostków, z jednego słowa kilku i kilkunastu słów z największą dokładnością malujących nam stan, cel, wzgląd i kierunek naszego działania.

Tak na przykład wzięwszy taki rzeczownik jak: *dziecko*, urobimy z niego pieszcząc się, lub gniewając: dzieciak, dzieciaczek, dziecina, dziecinka, dziecineczka, dzieciusio, dzieciuchno, dzieciątko, dzieciąteczko, dzieciątusio, dzieciątuchno, dzieciuch, dzieciuszek, dzieciaczy-sko, dzieciuszysko, dziecisko, dziecczysko i t. d.

Z przymiotnika *mały*, pieszczotliwie się wyrażając, mamy: malutki, maluteńki, maluteczki, maluchny, maleniuki, malenieczki, macieńki, macienieczki, malusi, malusięńki, a mówią jeszcze: madziudzi, maciupulki, maciupuchny i t. d., jakkolwiek zaś język nasz spieszczeń tego ostatniego rodzaju nie lubi, niemniej przecież, taka nieograniczona i niewypowiedziana dowolność w ich użyciu, jego bogactwa i żywej ruchliwości dowodzi.

I z powyższego rzeczownika *dziecko*, urobimy przymiotnik: dziecinnny i dziecięcy; słowo dziecinnieć i zdziecinnieć; imiesłów: dziecinniejąc i zdziecinniawszy, zdziecinniały i dziecinniejący; przysłówki: dziecinnie, dziecięco, po dziecinnemu, po dziecięcemu, i jeszcze nie wyczerpiemy wszystkich zmian, jakie ze względu na rodzaj, liczbę i przypadek ze zmianą końcówki otrzymać z niego możemy.

Malując cel i w z g l ą d naszego działania ze słowa nied. *robić*, mamy inne jak: dok. zrobić cobydź, dorobić do końca, dorobić się majątku, wyrobić jakiś materiał, wyrobić się z pracy; przyrobić mienia, przerobić na coś innego, urobić z czego, podrobić (sfalszować), nadrobić czegoś, lub czem, wrobić jedno w drugie, odrobić zadanie, obrobić pole, zarobić na chleb.

Ze słowa nied. *kopać*, dok.: skopać grunt, doko-

pać zagona, dokopać się do węgla, srebra, zakopać w ziemię, podkopać dla zachwiania, ukopać ziemniaków, wkopać drzewo, wykopać z ziemi, odkopać (wydobyć na wierzch), okopać dokoła, rozkopać ziemię, podkopać się pod dom, zakopać się na wsi i t. d., a z każdego z słów takich drugie tyle mieć będziemy, gdybyśmy z nich urabiać słowa częstotliwe chcieli.

5) Również niewyczerpane skarby odmian tych wyrazów mamy w formach ich przypadkowania, innych dla rzeczowników, innych dla przymiotników, innych dla liczebników, innych dla zaimków osobowych, a innych dla określających, tylko rzeczowniki, rozróżniając jeszcze w tych ostatnich rzeczowniki: osobowe, zwierzęce, nieżywotne, i rodzaj tychże, dla zastosowania do nich według różnych zasad wszystkich wyrazów przymiotnych. Stąd też gruntowne poznanie tych odmian i zbadanie ducha każdego pojedynczego wyrazu jest rzeczą konieczną, nie tylko już ze względu na piękno, ale i na właściwość wyrażań.

Właściwość ze względu na ducha wyrazów.

Duch wyrazu jest to myśl, którą się w jego nazwie pojmuje i która domaga się odpowiedniej temu pojęciu nazwy, pisowni i właściwego w mowie naszej użycia.

I tak: biorąc pod rozbiór niektóre z powyżej przytoczonych synonimów (jednoznacznych wyrazów), możemy się z samej ich nazwy dowiedzieć, że podarek jest da-

rem mniejszej od tegoż wartości; że upominkiem dopominamy się czyjejs pamięci; gościniec od miłych gości przyjmujemy; przechadzki używamy chodząc dla przyjemności i zdrowia; przejażdżki odbywamy wyjeżdżając za miasto; wycieczki robimy z pewnego miejsca uciekając w inne na chwilę. Obiad przypomina pogańskie *objaty* (ofiary, z których część bogom lub zmarłym udzieliwszy, resztę przy wesolej spożywano biesiadzie), zadowoleni jesteśmy, gdy się stanie zadość woli naszej. Do dziwnie malowniczych doliczyć tu należy: nazwy miesięcy, dni w tygodniu i codziennego posiłku, którym o różnych dnia porach sił dodajemy ciału, a także i nazwy kwiatów, z których słonecznik ku słońcu się zwraca; bławatek błękitny, czyli bławatny, wygląda w zbożu jakby modre oko i zowie się stąd modrakiem; pierwiosnek, najpierwszy na wiosnę; przyłaszczki przy lasach, a poziomki, zbierają się po ziemi i t. d.

Z pomiędzy blizkoznacznych wybierając właściwe naszemu pojęciu, pamiętać należy: że czyni się coś moralnie, działa się umysłowo, robi się fizycznie, pracuje się ciężko głową albo rękami. Szczęście można czuć w duszy wobec braku pomysłności w materyalnych potrzebach, a na odwrót, choć komu idzie wszystko pomysłi, przecież nie koniecznie będzie szczęśliwym, gdy mu brakuje tego, czego duszą nie myślą wygląda prosto od Boga. Głębokie wesele serca, bynajmniej zewnętrzną wesołością nie jest; rozkosz duszy (np. przy modlitwie i dobrych uczynkach) może być bardzo nawet łzawą,

i na smutku oparta, a z uciechą swobodną może nie mieć wspólnego. Uśmiercić znaczy rzucić pogłoskę fałszywą o czyjejś śmierci; zabić można trafem czy umyślnie, moralnie czy fizycznie; zamordować, odebrać życie w sposób gwałtowny i okrutny; zamęczyć można zadając długie i bardzo powolne cierpienia. Dziedzictwo przechodzi z rodziców na dzieci; spadek jest pozostałością po krewnych; spuścizna może być przekazem od obcych osób zupełnie. Litość jest rzewnem współczuciem dla niedoli drugich; dobroczynność dobrymi czynami wspiera ich ubóstwo; miłosierdzie jest najpiękniejszym objawem miłości serdecznej, odnoszącej się zarówno do duszy i ciała, do przyjaciół i nieprzyjaciół naszych. Trudno, czyli z trudem, przychodzi jakaś praca; ciężko jest iść z ciężarem. Biegać jest to iść bardzo prędko; skakać to podrzucać się w górę; latać tylko na skrzydłach czyli lotkach i t. d. W potocznej i naturalnej mowie należy bardzo uważać na dobór takich wyrazów, bo każdy z nich jest jakoby farbą odpowiednią barwie tej rzeczy, lub pojęciu, jakie odmalować chcemy i od dobrego zastosowania ich dokładność mowy zależy. Wprawdzie zamiana jednych na drugie służy nieraz za piękną mowy ozdobę; ale — że wszystko wtedy tylko jest piękne, kiedy właściwie użyte, trzeba więc najprzód znać doskonale różnicę między tymi wyrazami w duchu ich leżącą, zanim samowolnem, odnośnem do naszego uczucia użyciem, nietylko nie popełni się błędu co do właściwości wyrażenia naszego, ale i owszem, wykraczając przeciwko tejże, będzie się jeszcze wierniejszym w malowaniu naszych wrażeń i myśli.

Tak Odyniec w tłumaczeniu *Mazepy* Bajrona ślicznie przypisuje skrzydła dzikiemu rumakowi, o którym mówi, że:

„Z mniejszym pędem pieniać się fala
Z porohów Dniepru w dół z góry się zwala,
Jak on wciąż pędził w niepojętej sile“.

I ten pęd jego słusznie lotem nazywając, tak go nam pięknie maluje:

„Tymczasem dalej i dalej bez toru,
Koń mój, jak wichra, jak błysk meteoru,
Leci i leci: wsie, ziemia uprawna
W tyle za nami zostały już zdawna.
Przed nami w koło, jak oko zasięga,
Step równy, pusty, w końcu widnokreśła,
Przeze mgłę tylko widać, że jak pasem
Sinych po bokach otoczony lasem.
Niedawno jeszcze śmiał Krymskich Tatarów,
Wracając z Polski z jeńcami i łupem,
Dognana wpośród tych dzikich obszarów,
Przestrzeń ich wkoło zasłala swym trupem.
Oprócz ich mogił widzianych zdaleka
Zadnego śladu, ni dzieła, człowieka.
My lecim, lecim. Już przeszedł wschód słońca,
Lecz dzień pochmurny i cisza dusząca.
Słyszę świst w uszach: lecz nigdzie powiewu,
By nim choć westchnąć; — a koń chrapiąc z gniewu
Leci i leci. Mdłość głowy zawrotu
Owładła członki; zimne krople potu
Leją się ze mnie. Chcę mówić modlitwy,
Próżno! koń leci...“

Łatwo osądzić, że tu owa niewłaściwość jest właściwą, a więc piękną, mowy ozdobą, ale razić ona

będzie nas bardzo: gdy nie pomyślawszy nad tem, że wyraz: okrutny znaczy brak miłosierdzia, straszny przerażenie, ogromny wielkość, okropny zgrozę, używamy ich bardzo często w ten sposób: że ktoś jest: okrutnie dobry, okropnie ucieszony, ogromnie blady, strasznie wesoły; albo gdy wbrew naśladowniczej harmonii, czyli wbrew zgodzie pojęcia z jego nazwą, bierzemy szum za świst; łoskot za turkot, chrzęst za szelest, krzyk za hałas, brzęk za dźwięk i nie dajemy tym sposobem dokładnego o wrażeniach naszych pojęcia.

Czystość języka.

Mimo niezaprzeczenie wielkiego bogactwa naszego języka, liczymy jednakże w mowie naszej dużo bardzo wyrazów cudzoziemskich, któreśmy dla różnych powodów przyjęli już za swoje. Do pewnego punktu niema w tem nic nas krzywdzącego, poza oznaczonym zaś kresem, każdy wyraz wykracza przeciw znajomości i ukochaniu języka.

Wyrazami obcymi, ale przyjętymi za własne są:

1) Łacińskie, oznaczające pojęcia i rzeczy w kościele nam znane, jak: Msza, Sakrament, Komunia, hostya, ołtarz, monstrancya, brewiarz, ciborium, alba, stula, korporał, ombraculum, antypedyum, infuła, pastorał, relikwia i t. d. — bo weszły do naszego kraju wraz z językiem, w jakim się nabożeństwo naszego kościoła odprawia.

2) Wyrazy niemieckie, znane w rzemiosłach i fabrykach, które weszły u nas w użycie z powodu, że

przodkowie nasi, skromniejsze od innych mieli materialne potrzeby i oddani rolnictwu, lub wojnie, obywali się bardzo małą ilością rzemiosł, niosących im niezbędne w życiu usługi, jakie im oddawali: szewc, krawiec, stolarz, siodlarz, puszkarz, płatnerz, cieśla, kowal i inni. Później dopiero, skutkiem różnych narodowych stosunków, dali u siebie cudzoziemcom, mianowicie: Niemcom, gościnność i zacząwszy korzystać z ich fabryk, przemysłu i usług, dali prawo obywatelstwa majstrom takim jak: ślusarz, rymarz, garbarz, szlifierz, dekarz i inni, oraz i kramarzom sprowadzającym przeróżne narzędzia, z którymi do warsztatów weszła i terminologia niemiecka. Stąd też pełno jest takich wyrazów jak: rygiel, obcęgi, cyrkiel, hebel, sznajdeza, gwint, bretnal, rajzbret, reiscejg, wirtel, mendel, szlafrok, szlafmyca, flaszk, sztyft, kartofel, sztelwaga i t. d., ale i te i inne, ludzie dobrej woli starają się teraz o ile możliwości usuwać.

3) Wyrazy francuskie, oznaczające rzeczy mody i zbytku, przyswojone stąd, że począwszy od drugiej połowy XVI. wieku zaczęliśmy coraz bliższe z Francuzami zawierać stosunki i wraz z Henrykiem Walezyuszem, Maryą Gonzagą, Maryą Kazimierą i język ich wszedł także do naszego kraju. Przyjmowaliśmy chętnie zwyczaje, obyczaje i mody francuskie i rzeczy do niej służące, a z rzeczami takimi przyjąć już wypadało koniecznie i wyrazy, jakie je oznaczały; więc przyswoiły się u nas takie jak: salon, gabinet, kozetka, szeslongi, toaleta, konsola, portyery, festony, żyrandole, kinkiety, lokaj, tapicer, froter, fryzyer, pukle, ruż, blansz, puder, perfumy, galanterye, biżuterye, delikatesy, likwory, szo-

don, bombonierka i bardzo wiele innych z tego samego zakresu.

4) Wyrazy oznaczające nauki i sztuki piękne, które przyjęliśmy za swoje, jak: algebra, botanika, akustyka, optyka, psychologia, matematyka, logika. Z architekturą przyjęliśmy pilastry, kapitele, gzymsy; z rzeźbą: kontury, arabeski; z malarstwem: alfreski, pejzaże, miniatury; ze snycerstwem: postumenty, biusty, statuetki; z poezją: sonety, ody, ballady, epopeje, tragedye, komedye, dramat, poemat; z muzyką, oprócz nazw jej rozmaitych rodzajów, i nazwy instrumentów, jak: fortepian, melodikon, wiolonczella, harmonijka, flet, klarnet, organy i inne.

5) Wyrazy wschodnie¹⁾, na któreśmy pojęć odpowiednich nie mieli, jak np.: sułtan, horda, seraj, harem, haracz, jassyr, sorbet, talizman, dywan, rydwan, surmy, nahajka, basałyk, janczar, wezyr, bisurman, kańczug, tyftek, han, dzirył, dzida, kindżał, kurban, kajdany, sandały, kulbaka i t. d. i wyrazy oznaczające rzeczy, których na naszej ziemi ni w wodach naszych nie było, jak: perły, szafiry, rubiny, turkusy, topazy, ametysty, chryzolity i t. d.

6) Wyrazy obce, a zgodne z naszym pojęciem; bo jak z pomiędzy wyrazów powyżej przytoczonych, jest bardzo wiele takich, które są wspomnieniem smutnych z Turkami i Tatarami stosunków, jak są inne, które

¹⁾ Najznakomitszy u nas filolog Jan Papłoński b. prof. Un. war. obliczył do 80-ciu wyrazów wschodnich, używanych dziś u nas. Patrz broszurkę: „O mowie i jej początku“.

religia, nauki, sztuki, zbytek i przemysł wprowadziły do nas, tak są znowu i takie, które z potocznej mowy od Francuzów przyjęte, tak już do naszego pojęcia przystały, tak doskonale z ich dźwiękiem i ducha przyswoiliśmy także, że zrosły się już z wyobrażeniem, jakie nam malują i nie myślimy przepolszczać takich wyrazów jak: honor, charakter, ceremonia, vegetacya, polityka, klasa, interes, rezon, kaprys, ambicya, rezolucyja, wentylator, irytacya, grymas, rezygnacya, kompromitacya, naiwność, efekt, lokator, (łaciński wyraz) kombinacye, profil i nie rażą one w mowie, a nawet i piśmie bynajmniej.

Dla wszystkich tych wyrazów, jako dla zabytków i pamiątek stosunków, jakieśmy z innymi narodami mieli, jesteśmy bardzo względni, bo drobny nieraz wyraz za kronikę narodu dla myślącego nad nim obstaranie, i przesadą gorliwości o utrzymanie czystości języka byłoby chcieć przepolszczać wszystkie, jak się to z niektórymi bardzo dobrze udaje. W stosunkach prawnych, handlowych, przemysłowych, mogłoby to dać powód do zamieszania wielkiego; inne stałyby się dla nas wprost niezrozumiałemi, jak: zachówki (conserwy), bokotwarz (profil), nocnia (kosmoroma).

Dotąd jest kres oznaczony użyciu cudzoziemskich wyrazów, poza nim idą:

1) Słowa tworzone ze słów francuskich przez dodanie im polskiej końcówki jak: zrewanżować, deranżować, imitować, zbulwersować, konsolować, kaptować, konserwować, adorować, admirować, suponować, zdegustować, komparować, ekskuzować, negować, imaginować, ignorować, dezolować, inwentować, aspirować i t. d.

2) Wyrazy takie jak: frukta, redyska, kuraż, siur-pryza, abnegacya, desiluzye, gerlanda, ewenement, pej-żaż, amatorstwo, koneser, prezent, danser i t. d., które są prawdziwą krzywdą dla naszego języka, bo odzierają go z obrazowości i wdzięku, wyrzucając już prawie zupełnie z potocznej mowy naszej takie śliczne jak: wianek, równianka, podarek, upominek, przechadzka, zamiłowanie, odwiedziny, niespodzianka, rozczarowanie, krajobraz i inne, w których tak jasno duch ich odrazu przemawia.

Poprawność języka.

Jak językiem czystym nazywamy język wolny od wszystkich obcych, to jest: cudzoziemskich wyrazów, tak poprawnym jest ten, który wyrobiony już z mowy pospolitej i gminnej, stał się językiem naukowym, literackim zwanym i jest już wolnym od wszystkich błędów, sprzeciwiających się zasadom przez świat naukowy w mowie i piśmie przyjętym. Za takie błędy uważa się:

1) Nieznajomość prawideł gramatyki. 2) Prowincjonalizmy. 3) Archaizmy. 4) Neologizmy. 5) Wyrazy gminne. 6) Niedbalstwo wymawiania pojedynczych wyrazów.

I. Błędami gramatycznymi w mowie są: 1) niewłaściwe końcówki dawane przymiotnikom rodz. żeńskiego i nazwiskom kobiecym w przyp. 4. — np. czytałam „Białą Różę” p. Żmichowską (białą, Żmichowską); 2) złe przypadkowanie rzeczowników zwierzęcych i złe użycie zaimków np. zabili dwóch indorów i trzeba

ich upiec (dwa indory — je). Zrywam kwiaty, bo na nich lubię patrzeć (na nie); 3) niewłaściwe zestawienie słowa z liczebnikami głównymi, np. dwudziestu chłopców po lekeyi bawili się w gry (bawiło się) i t. d.

II. Prowincjonalizmy są to wyrażenia, pojedyncze wyrazy, lub sposoby wymawiania, używane tylko w jednym zakątku kraju, po których, jak po ubiorze, rozróżniać można pochodzenie mówiących. — I tak: w jednym miejscu po *m* kładą zwykle *n*, a *i* i *y* w odwrotny sposób używają, mówiąc: mniałem, mnięso, mniód, rękamy, nogamy, suchi, muchi i t. p. — W drugim miejscu, na końcu wyrazów zamiast *a*, wymawiają dobitnie *om*, np. byłam z mamom, piłam łyżeczkom, połałam się kawom. — Gdzieindziej po *k* i *g* wyrzucają potrzebne tam *i*, lub kładą je po niem niewłaściwie zupełnie, np. kedy, sukenka, rękę, nogię, gięś i t. p., a jeszcze indziej srebro śrybłem, a porcelanę porcynelą zowią. Są to błędy prowincjonalnego wymawiania, a wyrazów używanych w jednej tylko stronie kraju jest bardzo dużo, jak np. nagłowić się, drewnutnia, makutra, ciepać, ryczka, kopiarz, pyrki, młodzie, tamuj, to i owto, dytki, trojak ¹⁾ (znaczący 6 groszy), złasować; co zaś do wyrażeń całkowitych, to również jest wiele takich, jak:

¹⁾ Dwa tylko wyrazy: „ziemniak“ i „czeski“ miane za prowincjonalizmy krakowskie, na śmieszność tej nazwy nie zasługują bynajmniej, bo ziemniak jako wyraz polski, i od kartofla piękniejszy, pierwszeństwo przed nim wszędzie mieć powinien, a cheski (6 groszy polskich), które w Warszawskim „dytkiem“, a w Kujawskim „trojakiem“ nazywają bez żadnego sensu, jest zabytkiem panowania u nas Wacława króla Czeskiego (roku 1300),

chodzić po żebrze, być rodziczką z jakiego miejsca; taki cię nie usłuchałam, nie wyładowała się na bal; widno, że jest dobra, gdy to zobaczysz, to ci się podoba ¹⁾ i t. d.

III. Arch a i z m y są to wyrazy przestarzałe, wyszłe już z użycia z powodu, że jak każda nauka, tak i język kształci się, rozwija, i w coraz piękniejszej formie się przedstawia, a stąd też bardzo wiele wyrazów przez zupełnie inne zastąpione zostały, albo też na zasadzie zbadanego ich ducha, zupełnie co innego już znaczą. I tak Rej wdzięk nazywa wdzięcznością; skazanie na karę zdaniem, łagodne nadobnem, powagę postawą, pokrewieństwo powinnością, cześć poczeiwością, piękne czystem.

Górnicki bierze osobny za osobliwy, ostry za bystry; postanowienie za ustatkowanie; okrutne za wielkie, zajrzenie za zazdrość.

U Kochanowskiego siła oznaczało: wiele; piękność była gładkością, wydatność jasnością, zrządzenie zdarzeniem, mały, niepozorny, podłym. Co do tych wyrazów, jakie wyszły z użycia, to jedne z nich dzisiaj byłyby już w mowie rażące, jak np. acz, przedsię, bokówka, dziewosłęb, kordyał, dziewczka, wacan, aśćka, sromać się, wzdy, zawdy, rzekomo, — a inne niezrozumiałe zupełnie jak starka, drzewiej, nynie, lepak, — i t. d.

który wprowadził do kraju grosze pragskie czyli czeskie, wartości 6-ciu groszy polskich mające.

¹⁾ Słowo podoba jako słowo niedokonane, oznacza czas teraźniejszy; czas zaś przyszły maluje się albo czasem złożonym: *będzie się podobać*, lub słowem dokonanem: *spodoba* się, i taka jest między temi słowami różnica jak między: jeść i zjeść, robić i zrobić, krajać i skrajać i t. d.

Jednak choć śmiesznie byłoby używać takich wyrazów w codziennej mowie naszej, ale przecież powinny one pozostać w całości w skarbcu naszego języka, bo piśmiennictwo nasze, obejść się bez nich nie może. Każda epoka narodowego życia tak odmienną cechą zaznaczoną jest w pamięci dziejowej, że wspominając ją, musimy ją odgrzebać z pod ciężaru lat ze wszystkim, co ją cechowało, a więc i z tym językiem, który był jej duszą, i jako farb jedynie właściwych do jej odmalowania, musimy użyć tych samych wyrazów, w jakich ona uczucia, myśli i pojęcia swe wyrażała. — Wtedy wydają się one stosowne i miłe dla naszej wyobraźni i ucha i zastępowanie ich nowemi, naodwrot, śmiesznemby anachronizmem się wydało.

IV. Neologizmy czyli wyrazy nowo utworzone, są to wyrazy wchodzące w użycie bez koniecznej potrzeby, niezrozumiałe dla wszystkich, a tylko przez niektórych przyjęte jak: jaźń, um, udobrodziejstwować, nihilować, wszechuczelnia, fuzya (fusion), zaprzepaścić, suplować ¹⁾ rzeczoznawca i t. d.

V. Wyrazy gminne są to wyrazy swojskie wprawdzie, ale używane tylko w mowie nieokrzesej, prostaczej, jak np. zajmąć się, trząchać, chlapać się, zaklapać się, kiepsko, przewalić, nazad, wtykać w rękę, rozdziawiać gębę, wyłazić i t. p.

VI. Niedbalstwo wymawiania uderzające w wyrazach, w których zamiast ściśnionego *e* słyszać wyraźne

¹⁾ Galicyjskie zm. *zastępować* patrz: „O skażeniu języka“ Dr. Skobla. Kraków.

y albo *i*; a zamiast podwójnego *k* — *t*, np. miętki syr, świeży chlib, letka kobita, uliwny dyszcz, wyliczyć się z choroby, kródiej, jezdem, zara, tera, trza.

Wszystkie te uchybienia, w uszach estetycznie wykształconych i znających dobrze język swój ludzi, są rażąciami niezmiernie. Wyrazy, jakto już wiemy, są tylko formą zewnętrzną naszego uczucia i myśli, więc dają one najwierniejsze świadectwo o wykształceniu i wychowaniu człowieka, i odpowiednie czynią na słuchających wrażenie. Czytać wiele dzieł wzorowym językiem pisanych i uczyć się z nich na pamięć wyjątków, to najlepszy sposób zasmakowania w jego pięknościach i przyswojenia ich sobie.

Cechy języka.

Jak pojedynczy ludzie różnią się od siebie uczuciami serca i poglądami rozumu, tak i całe narody mają także właściwe sobie uczucia i odmiennie na świat zmysłowy zapatrując się, inaczej i świat ducha pojmują, a więc nie tylko, że swoje uczucia i myśli w odmiennych brzmieniach wyrażają, ale jeszcze te brzmienia, czyli wyrazy odmiennym łączą sposobem, nadając im właściwe w swoim języku obroty. Stądto każdy język ma swoją składnię zgody, rzędu i szyku, ma swoje wyrażenia, których niepodobna jest dosłownie w innym języku oddawać. W powitaniach i narodowych przysłowiach wybitne to jest bardzo, i w każdym poznać można główny odcień charakteru, lub uczucia ludu, który je uznał za prawdę. Jak więc pojedyncze wyrazy każą czystość je-

zyka, tak znowu zły ich układ zaciera cechę jemu właściwą, wprowadzając w użycie wyrażenia i zwroty właściwe obcym językom, z jakich je przyjmujemy z prawdziwą krzywdą naszego.

Zwroty takie stosownie do tego, z jakiego języka są wzięte, nazywają się: Galicyzmami, Rusycyzmami, Germanizmami, lub prowincjonalizmami, i w naszym pojmowaniu rzeczy, odmienne mają znaczenie np.

Galicyzmy.

Po polsku.

Nie mogę, jak tylko to przyznać.

Nie mogę nie przyznać, lub: muszę to przyznać.

Słowo *nie mogę* samo przez się nie wypowiada myśli całkowitej, a uważane jako osobne zdanie, przeczyłoby temu, co w następsem wyraża twierdząco słowami: *nie mogę* (przyznać) jak tylko przyznać.

Dał mi dzień dobry.

Powiedział mi dzień dobry.

Dać dnia nie można; *powiedzieć* komu dzień dobry, jest to w sposób skrócony wyrazić życzenie, aby dzień stał mu się dobrym.

Dobry dzień.

Dzień dobry.

W naszej składni naturalnej przymiotnik położony *przed* rzeczownikiem jest tylko określeniem tegoż, nie opowiednikiem i mówimy: *dobry dzień się skończył*; *smutny dzień nastąpił* lub: *dzień* (niech ci będzie) *dobry*.

Schwyciłem reumatyzm.

Reumatyzm mnie schwycił.

To, co *chwytą*, ma w swojej mocy rzecz przez siebie schwytaną, a choroby: jak katar, kaszel i inne, dręczą człowieka, a nie człowiek choroby, więc *one go chwytają*.

Nie znam dobrze tę rzecz.

Nie znam tej rzeczy.

Słowa przeczące wymagają przypadku drugiego, a twierdzące czwartego więc: *znam tę rzecz*, a *nie znam tej rzeczy*.

To jest na dziennym porządku. *To jest rzecz codzienna.*

Po słowie *być* i przyimku *na*; siódmy przypadek oznacza miejsce na jakim być coś może, mówimy więc: że może coś być na łóżku, na ścianie, ale *porządek* takiego miejsca oznaczać nie może.

Rusycyzmy.

Po polsku.

Biedni wspierani bogatymi. *Biedni wspierani przez bogatych.*

Przypadek 6-ty oznacza *narzędzie* naszego działania, a jak tutaj: wspierania ubogich; narzędziem takim, może być: silniejsze ramię, pieniądz, dobra rada i wszystko to *przez bogatych* dostać się może ubogim, którzy będą wspierani *groszem, pomocą*, ale nie *bogatymi*.

Odkryć szkołę.

Otworzyć szkołę.

Odkryć znaczy rzecz ukrytą i nieznaną, odsłonić i jawną uczynić, a więc *odkrywamy* zasłonięte pomniki, obrazy, prawdy, jakich nie domyślamy się; *odkrywamy* kopalnie, kraje, do jakich traf nas przywiódł, a *otwieramy* szkoły, zakłady, *otwierając* drogę do znanej już prawdy, nauki, czy pracy.

Postąpił do wyższej klasy. *Przeszedł do wyższej klasy.*

Słowo *postąpić* znaczy posunąć się naprzód i wyraża, że ktoś postąpił o kilka kroków dalej, że postąpił ku dołowi, albo ku górze, ale na tej-że samej drodze, na której raz się znalazł. Zmieniając miejsce, jakim może być szkoła, klasa, biuro, *przechodzi się* w inne, i mówimy: że *wszedł* do pierwszej, aby *przejsć* potem do klasy wyższej.

Jakby to nie było, złem *Bądź co bądź, albo bądź*
jest złem. *jak bądź.*

Co nie było, złem być nie mogło; nasze wyrażenie znaczy, że tak, czy inaczej rzecz uważając, zawsze jest złą.

Pytałem u brata o książki. *Pytałem brata o książki.*

U kogo można być, mieszkać, bawić się w pewnem miejscu, ale gdy się pytamy, to pytamy *kogoś o kogoś*, lub o *coś*, np. *brata o książki, siostry o kwiatki*; więc przyimek *u* oznaczający miejsce nie może tu być użytym.

Więcej dziesięciu rubli.

Więcej niż dziesięć rubli.

Przysłówek ilości *więcej* wymaga po sobie przypadku drugiego, oznaczającego rzeczy, jakich było więcej, więc mówimy: *więcej chleba, więcej kwiatów*, czy jakiegokolwiek rzeczy, a taką rzeczą nie może być liczebnik *dziesięciu*. *Więcej i dziesięć* zestawiają się tu dla porównania, a gdy z tego porównania wypływa, że jedną rzecz w stopniu wyższym uważamy, wtedy spójnikiem *niż* różnicę tę wyrażamy i mówimy: że *więcej niż dziesięć* rubli kosztuje.

Wyzdrowiałam więc można *Ja mogę jeść.*

mnie jeść.

Po słowie *jeść* wymagany przypadek 4-ty i następujące po niem pytanie, co? wskazuje przedmiot jedzenia. Więc można *jeść*: co? Z odpowiedzi wypadnie, że *mnie*.

Co mnie teraz zrobić.

Co mam teraz zrobić.

Co *mnie* teraz zrobić, oznacza pytanie, czy zrobić mi przykrość, czy przyjemność, czy mnie wynagrodzić, czy ukarać? i tak mówić nie można, gdy osoba *działająca* ma być tą, która pyta, co ona w tem położeniu ma zrobić.

Powierzysz słowu czyjemuś.

Powierzysz słowu.

Powierzamy komuś na pewien czas coś, co jest naszą własnością, a więc *powierzamy* dzieci, majątek, sprawy, przedmioty, ludziom zaufanym; *zawierzamy* komuś w pojęciach wyższych, moralnych, a więc *zawierzamy* czyjemuś *honorowi, uczciwości, przyjaźni*, albo *słowu*. To, co było *powierzone*, po pewnym przeciągu czasu odebranem być może bez naruszenia stosunków opartych na szacunku i przyjaźni; to, czemu *zawierzamy*, musi przestać być tem, czem się być wydawało, gdy *zawierzenie* nasze ustaje.

Germanizmy.

Po polsku.

Dostać gości na herbatę.

Mieć gości na herbacie.

Dostać, inaczej *otrzymać* coś od kogoś, więc *dostać* można owoce, ciastka, kwiaty, kiedy się ma gości, ale *gości* się nie dostaje.

Wpadać w słowo komuś.

Przerywać mówiącemu.

Wpada się w dół, w przepaść, ale nie *wpada* się w słowo, bo słowo miejsca nie oznacza.

Wychodzę z tej zasady.

Opieram się na tej zasadzie.

Wychodzić, to *opuszczać* miejsce, a tu chcemy wyrazić, że się na tej zasadzie *opieramy*, a nie że się jej wyrzekamy.

To daje do myślenia.

To mnie zastanawia.

Prowincjonalizmy.

To wypadek pojedynczy.

To prosty wypadek.

Wyraz *pojedynczy* przetłumaczony najfałszywiej z francuskiego *simple* lub niemieckiego *einfach*, oznaczający nie tylko liczbę *pojedynczą*, ale i *prostotę*, brzmi nielogicznie, tak w zdaniu powyższym, jak w innych, np. że uczesanie głowy było *pojedyncze*, że ktoś miał *mowę*, *postawę*, *bardzo pojedynczą*; że *bał*, *strój* był *pojedynczy*, *obejście się pojedyncze*; i tak mówić jest to uznawać, że to uczesanie, wypadek, suknia, mowa, zachowanie się, mogło być, tak w liczbie mnogiej jak i w pojedynczej.

Sledzić za kim, za czem.

Sledzić kogo, co.

Sledzić jest słowo czynne, wymaga przypadku czwartego, a więc: *sledzić postępy nauki*, czyjeś zamiary, przestępcę, i t. d.

Głowa mi boli, Stasiowi Głowa mnie boli, a Stasia zęby.

Mi i Stasiowi jest w przypadku trzecim, odpowiadającym na pytanie komu, czemu, oznaczającym osoby lub rzeczy, którym się coś daje lub odbiera. Słowo *boli*, nie oznacza *dawania* ani *odbierania*, a więc przypadkiem 3-cim rządzić nie może, i następuje po niem przypadek 4-ty odpowiadający na pytanie *kogo*, pokazujący jakąś osobę, jako przedmiot bólu głowy, zębów, ręki; więc *bolą zęby kogo? Stasia*.

Przez dzień doktor przyjeżdżał.

Co drugi dzień.

Przyimek *przez* oznacza *czas*, lub *miejsce* przebywane, nie można więc powiedzieć, że *przez dzień* przejeżdżał, jak się przejeżdża przez most, skacze przez sznur i t. d.

Wszystko szedł przedemną. Ciagle szedł przedemną.

Wszystko jest zaimkiem oznaczającym wiele razem przedmiotów, ale nie *czas*, *trwanie* jakiejś działalności. *Wszystko* może leżeć na stole, ale nie może chodzić przedemną.

Kupiłam dzieciom cacki.

Kupiłam dzieciom cacka.

Rodzaj nijaki zakończony w liczbie pojedynczej na *o* kończy się w liczbie mnogiej na *a*, a więc: kupić *cacka*, a nie *cacki*, spuszczać *oczka*, a nie *oczki*.

Musi być jest.

Zapewne jest.

Musi być oznacza przyszłość, nie może być zapewnieniem tego, co już jest w czasie teraźniejszym.

O wewnętrznych stylu przymiotach.

Najgłówniejszymi przymiotami naszego wysłowienia do jakiegobądź rodzaju stylu je zaliczamy są: naturalność, prostota, zwiezłość, poprawność i harmonia zależne od wyrażenia. Łączyć się one z sobą powinny koniecznie, jeżeli chcemy, aby myśl wypowiedziana była zrozumiałą dla umysłu drugich i dźwięczną się dla ich ucha wydała.

Naturalność.

Naturalność — jest to piękny przymiot tak człowieka samego, jak jego pisma i mowy, i objawia się wtedy, gdy z całą swobodą i bez najmniejszej przesady tak wydajemy swe myśli, jak one w naszym pojęciu powstały, i gdy bez żadnego wymuszenia płynące z ust naszych wyrazy malują wiernie prawdziwe nasze uczucia, nie podnosząc ich do wyższego, nad rzetelny naszego wrażenia, stopień.

Naturalność — dziwnym powabem umie pociągać ku sobie, i jednako zacnej duszy jak i wysokiego umysłu jest cechą, bo jest odbłaskiem prawdy, prawdę zaś każdy kochać i szanować musi i szuka jej skwapliwie we wszystkim, odczuje zaś najłatwiej, gdy mu się ona, bez żadnych wymuszonych wyrażen i uniesień przedstawi. W mowie ustnej, taka naturalność jest koniecznym naszego wysłowienia warunkiem, a w piśmie ma urok wyższy nad wszelkie piękne ozdoby. Odznaczyli się nią w swych pismach: Brodziński, Rzewuski w *Pamiętnikach Soplicy*, ks. Hołowiński, Ignacy Chodźko, a u Korzeniowskiego, Kraszewskiego i Kaczkowskiego nie brak też tego przymiotu, np.

— „Nie doradzam ci, moje dziecko, powtarzała mu matka nieraz, abyś nie słuchał tych, którzy rządzą dziś twoją głową i sercem. Oni wzięli tę ważną sprawę na siebie, do nich ona z praw i zwyczaju należy, oni też zdadzą z niej kiedyś rachunek przed Bogiem. Ale przypomnij też sobie czasem i to, co ci mówiła zawsze i dzisiaj po raz ostatni powtarza matka. *Ojciec nasz, Zdrowaś Marya i Wierzę*, to tak małe napozór są rzeczy i tak je łatwo pamiętać! A więcej nie mam nic ci do przekazania; to będzie twoja cała po mnie spuścizna. Lecz nie myśl moje dziecko, ażeby to była taka rzecz drobna, jak ci się może wydaje. Dziś jeszcze ty dzieckiem i masz opiekunów, którzy cię prowadzą jak dziecię na pasku. Oni myślą o tobie, wskazują ci każdą ścieżeczkę, na którą masz wstąpić, oni cię chronią ode złego. Lecz przyjdą czasy, w których się sam zostaniesz na świecie. Pokażą ci się tam wszystkie krzyżujące się z sobą drogi tego żywota, a wybór pomiędzy nimi będzie całkiem zależał od ciebie. Każda z nich, będzie ci się wydawać piękniejszą od drugiej, przyjdą pokusy, niepewności i walki wewnętrzne na ciebie. Okażą ci się przeciwnictwa, ciężkie próby z dopustu Bożego, zasadzki ludzi złych i zazdrosnych, zawody, umartwienia, boleści... Na to wszystko może znajdziesz ratunek w twoim rozumie, podporę i puklerz w twej silnej woli, a w samym sobie pociechę; a daj ci Boże! i życzę ci tego z całego serca... Lecz kiedy to wszystko nie zechce skutkować, kiedy rozum twój odrętwieje, kiedy wola pod ciężkimi ciosami się ugnie i upadnie, i kiedy dusza twoja w boleściach i zgryzotach omdleje, kiedy już wyczerpiesz wszystkie rady twych mistrzów i wszystkie mądrości twych książek i jeszcze nie znajdziesz pomocy, ni ulgi, przypomnij sobie wtedy twoją macierzystą spuściznę, a to ci pomoże. Ten jeden króciutki paciorek posłany do Boga z ufnością, miłością i wiarą, zastąpi ci wszystkie potęgi, którebyś mógł znaleźć na ziemi. Jedno takie pokorne

i szczerze westchnienie do Stwórcy rozpędzi wszystkie nieprzebyte tumany przed tobą, oświeci promieniem słońca twoją drogę na przyszłość, odejmie moc twoim nieprzyjaciółom, a tobie powróci siły, i wolę, i rozum i wszystko to, coś stracił⁴.

„Bajronista“. Zyg. Kaczkowski.

W opowiadaniu rzeczy ubiegłych, w opisach miejsc zwiedzanych, taka naturalność niezmiernie zajmuje i rozrywa umysł, nie wymagając nateżenia jego uwagi, jakiego sztuczniejsze piękno potrzebuje zazwyczaj, a do której nie zawsze usposobionym być może. Przykładem takiej znów naturalności opowiadania jest wyjątek ze „*Wspomnień*“ ks. Jełowickiego:

„Jadąc rzemiennym dyszlem, wstępując do różnych krewnych i znajomych, gdzie była taka jak my dziatwa, wybrykując z tą dziatwą, strzelając po drodze do wróblów i innych ptaszków, zapomniało się o szkołach. Zbliżamy się do miasta; widzimy ogromny gmach jakiś, myślimy sobie: musi tam być wiele dzieci, ot będziemy się bawić; pytamy:

— Papo! a wstąpimy tu?

— Wstąpimy.

— A dużo tam chłopców?

— Dużo.

— A jak się ten pan nazywa, co tam mieszka?

— Gimnazjum.

— Otóż masz! — Pospuszczaliśmy nosy na kwintę, spojrzeliśmy na posępne mury pojezuickie, spojrzeliśmy po sobie, łzy się pokreściły; żal się zrobiło za domem, za matką, stanął strach popisów przed oczyma. Żle! ale cóż robić? Wjeżdżamy do miasta, paskudne; — prowadzą nas nazajutrz do szkół — szkoły brudne; po korytarzach zimno, nanczyciele straszni.

Wtem dzwonią; z milion chłopaków wylatuje z klasy, i nuż w perewerty; wesoło krzyczą i nam poweselało. Radzibyśmy się wyrwać do malców i pokazać im, co to i my figlów umiemy, ale nie można; więc tylko przez okno zazdrośnie spoglądamy.

— Papo, a kiedyż my pójdziemy do tych szkół?

A nauczyciel łaciny i greccyzny, Jagiełło, nieproszony odpowiada:

— Jak odbędziecie popisy.

— Nie boimy się popisów, my wszystko umiemy.

— Da się to widzieć.

Przyszło do popisów. Straszniejsze były w domu, myślimy sobie. Książd Skiba był przy nas, więc nie baliśmy się; popisaliśmy się doskonale.

Edwarda i mnie przyjęto do trzeciej klasy. Eustachego do drugiej.

Byłoto w sobotę; w poniedziałek już mieliśmy się wprowadzić na mieszkanie do pana Jagiełły; niedzielę mieliśmy jeszcze do pohulania.

W niedzielę rano ojciec mówi:

— No chłopcy, poubierać mi się dziś czysto, pójdziecie ze mną do Szczeniowskiego na obiad; a tam po obiedzie grzecznie się bawić.

— A są tam dzieci?

— Jest dziewczynka ładna i grzeczna.

Poubieraliśmy się ślicznie. Ojciec każdemu poprawił czuprynę, aż świeceki w oczach stanęły; ruszamy z tą postawą, bo już po odbytych popisach. Przychodzimy. W pierwszym pokoju powitał nas poważny, a bardzo wesoły starzec; było Szczeniowski, wówczas dozorca gimnazjum Winnickiego, dawniej prezes jakichś sądów, jeszcze dawniej poseł na kilka sejmów i na sejm czteroletni. Z każdego sejmu dla braci szlachty mnóstwo łask królewskich ponawoził, dla siebie żadnej nie przyjął; poobwieszał szlachtę orderami, obsypał tytułami, obdarował starostwami, a sam dla ojczyzny wszystko

poświęcał, lecz od niej niczego nie żądał, a sam błyszczał tylko cnotą i zasługą, nie mówiąc nigdy ni o jejnej, ni o drugiej. To też doczekał wesołej starości, co się nie smuci żadnem nieszczęściem: bo ufa w Opatrzność Boską i spokojnie czeka jej sądu.

— Przedstawiam ci moich chłopaków.

— Żwawe chłopcy; a to wnuczeta moje.

I zaczął wywodzić po mistrzowsku długi rodowód, którego nie pamiętam wcale, choć go bardzo często potem powtarzał; a kończąc ten wywód, znowu nazwał nas wnukami.

— Kiedy my wnuki, to pan dziadunio!

— Mądre chłopcy, żwawe chłopcy.

Odtąd tedy jużemy nowego dziadunia, dziaduniem nazywali zawsze. Wprowadził nas do bawialnego pokoju; wskazał na żonę: — „oto wasza baba“; — wskazał na nas: — „oto twoje wnuki“, więc po kolei cmok babunię w rękę. Aż tu z drugiego pokoju wybiega dziewczynka jak anioleczek; stanęła, popatrzyła i schowała się. Znowu stanęła we drzwiach i już się nachyliła do pierwszego poskoku; na prawej nóżce stoi; lewą jeszcze dotyka ziemi, jak gdyby tylko na to, żeby jej nie zgubiła; rączki na wpół podniesione, jak gdyby do latania zrywać się miała; włoski jasnolite jeszcze nie spoczęły w pędzie, a błękitne duże oczki mówiły: mamó, zawołaj mnie! Matka dała znak, a dziewczynka błysnęła przez pokój; i tuż przy matce stanęła, patrząc to na nią, to na ojca, to na nas. Ojciec skończywszy rozpowiadać coś zabawnego, mówi: — „Ksawerko, przedstawiam ci twoich siostrzeńców“. — Ciocia wyciągnęła nam rączkę, my powiadamy, że mamy taką siostrzyczkę i całujemy ją w buzię. Powiedzieli nam, że to nie siostrzyczka, ale ciocia, a dziadunio wypalił nam naukę bardzo wesołą o uszanowaniu, jakie się należy starszym, niewiastom i ciociom“.

P r o s t o t a.

Prostota stylu jest piękną zaletą wszystkich wogóle pisarzy, a wielką zasługą ludzi poświęcających swą pracę dla dzieci i mniej oświeconych od siebie, bo potrzebuje zarówno głębokiego pojęcia przedmiotu jak i pamięci o tem, że nie dla popisu swego, lecz dla pożytku drugich pracuje. O naukowych rzeczach łatwiej jest mówić z tymi, co jednako z nami ją pojmują, aniżeli dać o nich wyobrażenie, nie mającym go jeszcze zupełnie. — Żeby spopularyzować jaką naukę, trzeba nietylko znać ją dla siebie z gruntu, aż do najdrobniejszych szczegółów, ale trzeba umieć zniżyć się do pojęcia tych, których z nią chcemy zapoznać, i umieć uczynić słowo swoje jasnem światłem, coby każdy z tych szczegółów wielkiej całości objaśniało i odejmowało obawę niezgłębionych jakichś tajemnic. Każda prawda, gdy z trudem i móżolem pojmowaną być musi, męczy i zniechęca słabe umysły do siebie, a kto tę prawdę umie zrobić jasną i łatwą, kto umie tak ją wykazać, że nieobeznany z nią wcale, zdaje się jakoby dobrze wiadomą rzecz przypominali sobie tylko, ten stokroć większego dokonywa dzieła, niż ten, kto zadziwia i przygniata, (że tak powiedzieć można), ogromem swojej nauki. Taką prostotą stylu odznaczali się wielcy kaznodzieje nasi, jak: Skarga, Birkowski, Młodzianowski i znakomici uczeni, co wysoką naukę i wyjątkowe pedagogiczne zdolności na pożytek uczącej się młodzi poświęcali i żywym piórem i słowem, np.

„Historya, jako nauka, opowiada, jak żyli ludzie

i narody przed nami, aby wskazać, jak nam żyć należy. *Żyje — kto pracuje* nad rozwinięciem sił swego umysłu i ciała, i zdobywa sobie dzielność, której używa na pożytek swój i innych ludzi, swoich bliźnich. Im działanie człowieka więcej przyczynia się do dobra innych ludzi, tem bardziej jest ludzkie, szlachetne, zacne, tem godniejsze wdzięczności, rozgłosu i sławy; człowiek taki jest znakomitą osobą, której życie opowiada historia dla nauki i przykładu potomnych.

Ale *człowiek* ani mógłby się wykształcić, ani zdziałać coś ważnego sam, bez współudziału i pomocy innych; *nigdy też nie żył sam*, lecz *społem* z innymi ludźmi, którym pomagał w ich pracach i kłopotach i wzajem od nich doznawał pomocy. Takie pożycie wspólne nazywa się *życiem społecznem*, a ludzie niem objęci: *społecznością*. Spólnie żyjąc, pracując, oświecając się, broniąc, ludzie łatwiej osiągają swoje cele: wykształcenie, rozumne a zacne działanie i szczęście, a zatem życie społeczne jest dla nich koniecznością i wielkiem dobrem.

Najpierwszą i najmniejszą społecznością jest *rodzina*, np. Noe z żoną, synami i ich żonami; potem *ród*, do którego oprócz krewnych należeli słudzy i niewolnicy, zostając wszyscy pod władzą naczelnika rodu — ojca i rządcy, czyli patryarchy; takim był Abraham, Izaak, Jakób.

Gdy ród coraz więcej się rozrastał, tak, iż z niego oddzielne powstawały rody, np. od synów Jakóba, takie rozmnożone rody nazywały się *pokolenia*, np. dwanaście pokoleń izraelskich, a ogólny ich związek czyli społeczność, mająca też samą religię, język, prawa i obyczaje, nazywała się *ludem*. Lud izraelski żywo czuł toż pochodzenie i wywodząc ród swój od Abrahama, był sobie jakby pokrewnym, chociaż stopnie tego pokrewieństwa były już bardzo dalekie. Współcześnie były i inne ludy na ziemi. Każdy z nich uważał się za najlepszy, inne zaś ludy nienawidził i starał się podbić pod swoje pa-

nowanie. Jeżeli mu się to udało, lub sam uległ, wtenczas do ludu jednego rodu przybywał lud drugiego rodu czyli *ród-na ród*. Nieraz łączyło się tym sposobem kilka lub i wielu ludów. Związek między nimi utrzymywał wspólny najwyższy zdobywca, rządca i pan czyli *monarcha* (jedynowładca) a społeczność taka nazywała się *monarchią* lub *państwem*, które nieraz zajmowało wielką przestrzeń ziemi, np. perskie, greckie, macedońskie, rzymskie, bo narody pogańskie dążyły do panowania nad całym światem, czyli do *monarchii uniwersalnej*. Dopiero po narodzeniu Chrystusa Pana, według Jego nauki ludzie uznani zostali za bliźnich, a państwa jakby za wielkie osoby, moralnie równe sobie, i weszły z sobą w rozmaite przyjazne stosunki, z czasem nawet czuwać poczęły, aby państwa silniejsze nie uciskały słabszych, co nazwane zostało *równowagą polityczną*, a państwa tak ubezpieczone *wielką rodziną narodów*.

„Wstęp do historii“ Wojciecha Grochowskiego.

Z w i ę z ł o ś ć.

Zwięzłość mowy i pisma jest wynikiem gruntownej znajomości przedmiotu; logiki w uporządkowaniu a wprawy w wypowiedzeniu swych myśli i zasadza się na krótkim tychże wydaniu. W interesach i sprawach sądowych, w pismach naukowych i poważnych, przymiot ten jest niezbędnym, bo ułatwia prędkie ogarnienie całości przedmiotu, a język nasz wykształcony na łacińskich wzorach, w wysokim stopniu posiadać go może. Do takiej zwięzłości stylu pomagają nam doskonale imiesłowcy i różne sposoby skracania i łączenia w jedną całość zdań, któreby czyniąc okres zbyt długim, myśl główną w nim zaściemniły. Strzedz się jednak należy, aby wyrzuceniem

zdań mogących się czy to do wyjaśnienia, czy to do ozdoby myśli naszych przyłożyć, nie uczynić mowy suchą i pozbawioną wdzięku, a zbytniem ich skracaniem, przez częste użycie imiesłowów, tak jak wprzód rozwlekłością nie uczynić myśli zawiłą i nieharmonijną. Zbyteczne ubieganie się za pięknem w dzisiejszych czasach rzadszym już uczyniło ten przymiot, ale znakomitsi pisarze nasi jak: Kremer, Kaczkowski i inni umieją zwiezłość obok obrazowości zachować i odznaczył się nią także Szajnocha w swych *Szkicach historycznych*, Kraszewski w *Obrazach historycznych*, i w wielu innych swych pismach. — Tak Szajnocha opisując o niewoli na Wschodzie powiada:

— „Zabliźniona od pewnego czasu rana pogańska, jak blizna na czole wojownika służy raczej za jakąś poetyczną ozdobę naszej przeszłości, niż za przedmiot badawczego zmierzenia jej głębokiej niegdyś boleści i historycznego znaczenia. Takiem zatarciem się szczegółowych rysów dawnej niedoli i niewoli pogańskiej ubywa coraz więcej gruntu najważniejszej chlubie historyi naszej, to jest tej chlubnej, a tak wdzięcznie przez wszystkie niegdyś narody uznawanej zasłudze, iż w bramach pogaństwa osadzeni, byliśmy całemu chrześcijaństwu tarczą i przedmurzem od barbarzyństwa. Puszczać bowiem w niepamięć nasze klęski tatarskie i tureckie, a lubiąc bawić się natomiast obrazami błogiej doli i swobody praojców, widokiem ich wesołego niegdyś pożycia wśród ciągłych uczt i zjazdów, zwad i sejmików, jakże fałszywe wyobrażenie czynimy sobie o możności i prawdzie owej zasługi historycznej!

Myślimyż bowiem naprawdę, iż to sejmikując wciąż, a uczując i zwady brojąc byliśmy przedmurzem i tarczą Europie! Owe sejmiki i zwady ujęły wiele blasku naszej przeszłości i przyszłości, a wielka zasługa obrony ludów

zachodnich od grożącej ze wschodu burzy pogańskiej, jak wszystkie wiekopomne zasługi w dziejach, urosła z wielkich ofiar i wielkich cierpień. Krew w boju z pohanami przelana, była tylko mniejszą częścią tej historycznej ofiary naszej; największą część zasługi około bezpieczeństwa chrześcijańskich ludów od pogan, położyliśmy cierpieniem, łzami i niewolą tylu a tylu tysięcy współbraci naszych, dziesiątkowanych ustawicznie plagą pogańską.

Dlatego zapominając ich łez, ich więzów, ich galer, ich dziwnych nieraz przygód, zapominamy najistotniejszych świadectw naszego spełnionego w dziejach zadania. Zaiście — w najmniejszej części swojej było ono zadaniem pomyślności i miłych czasów. Naród nasz w wiekach minionych mógł naprawdę powiedzieć o sobie jak jego hetman: „Nie z roli ja ani z soli, ale z tego, co mię boli, urosłem“. Mniej więc o chlebie i soli, a bogdaj słów kilka o cierpieniu i poświęceniu“.

„Powieść o niewoli na wschodzie“. Szkice Szajnochy.

Zwięzłość taką, ludzie wysoko wykształceni, jasno pojmujący rzecz i piękno w jej głębi zawarte, umieją zachować i w innych, przeważnie estetycznych, i uczuciowych pismach, bo każda myśl główna piękna uwydatnia się więcej, gdy obok niej nie stoją inne odrywające myśl od niej, i sama przez się działa ona wtedy na umysł i serce czytelnika; całe zaś pismo, prawdziwie *jędrnem*, *dobitnem*, i przekonywajacem się staje.

Tak Ig. Kraszewski, mówiąc o istnieniu Opatrzności Bożej na ziemi, dowodzi jej w ten sposób, że każde zdanie w tym przedmiocie rzucone, samo przez się jest ważnem, i wydaje się nawet koniecznem: a niema pomiędzy niemi ani jednego obliczonego na *ozdobę* dla innych, bo *piękno* jest w duchu każdej z nich z osobna, i z ka-

źdej z osobna, tak jak i z wszystkich razem przemawia np.

— „Los, mówicie, człowiek, przypadek to zrządził, a aniołowie uśmiechają się niewidomie nad wami z słów waszych, bo niema istoty tak strzeżonej z woli Bożej, jak człowiek. I krok jego każdy obrachowany, i każda myśl otoczona, i każde udręczenie serca naprzód wypielegnowane; a gdy wśród dwóch wpływów, wola i dusza pójdą choć częścią za lepszym, ku Bogu, ku niebiosom, wszystko się tu rachuje i do kosza zasług waszych zanosi, i do skarbca waszego zamyka, by w dniu uroczystym powrotu utkało szatę zwycięzcy, dało mu listek do wieńca, klejnot na piersi... i o włos zbliżyło go do światłości niebieskich.

— Świat wasz, mówił dalej anioł, nie jest dziełem przypadku; patrz, rzekł, wskazując na ziemię, oto drzewo, które rośło wieków kilka, a na nim liść jeden rozwinęła ostatnia wiosna; liść jeden ze stu tysięcy, które objadło robactwo i oberwały burze; biedny liść maluczki, co go ledwie oko dostrzeże. I żółkł jesienną posuchą; oto na włosku już zawisł na gałęzi; nareszcie przychodzi ostatnie dmuchnienie wiatru, porywa go, unosi i rzuca w przepływający strumień. Liść czekał tego powiewu, pada, przypatrz się... W strumieniu tonęła mrówka, którą on przeznaczony był ocalić. Liść ten nie upadł przypadkiem, ale od wieków przygotowaną wolą Opatrzności, aby istotka biedna, którą dziatki czekały, dziatki głodne... przezeń ocalona została... Drugi liść gnijąc, podsycił kwiatek, który ocalił człowieka... Mądrość przedwieczna wydała dąb ten przed stami lat, aby liść jego jeden mrówkę, drugi człowieka ocalił. Tak dzieje się tu wszystko — i niema losu a trafu, jest — obmyślenie opatrzne;... ziarno niesione wichrem bez woli Bożej nie pada; serce nie bije i miłość nie przychodzi, i zapomnienie nie okrywa całunem bez niego. Miliony jestestw ocierają się i spotykają z sobą, a wszystko tak obrachowane, aby każde przyszło

w porę drugiemu karą, pociechą, bodźcem, boleścią płodną, aby wzajemnie wspierały się, osładzały, budziły.

Zadne spojrzenie nie leci bez woli Bożej, ani przychodzi daremnie; żadne uczucie nie wyrasta w sercu bez przyczyny i bez skutku, i to, co ludziom zdaje się niczem w życiu, jest czasem: wszystkiego nasionkiem.

„Mogły“ str. 20.

H a r m o n i a.

Mowa nasza, jako dźwięk i odgłos duszy powinna mieć przymiot właściwy muzyce, to jest: harmonią i śpiewność, bo tym sposobem większe ona wrażenie na drugich wywrzeć potrafi i przez zmysł słuchu, łatwiej do serca się wkrada. I do muzyki tem mowa jest podobna, że jak w pierwszej, pojedyncze tony w takt, a takty w melodyjną całość się składają, tak w mowie pojedyncze wyrazy w zdania, a zdania w dźwięczne dla ucha okresy szykować starannie należy. W melodyi muzycznej brak jednego dźwięku, przełożenie, lub przetrzymanie jednej tylko nuty całą jej harmonię zepsuje, i to samo w mowie: jedna nawet sylaba zamało, albo zawiele użyta, jeden wyraz złym szykiem położony, już jest ze szkodą melodyi — jakoby dźwiękiem fałszywym.

Nie tylko więc dobór, ale i układ wyrazów ma tutaj wielkie znaczenie i pod temi względami wystrzegać się należy:

1) Wyrazów, co choć nie czystości, ani przyzwoitości języka, ale estetycznemu uczuciu przeciwne, rażą niemile muzyczne ucho jak np. *nazad*, *chlapać się*, *włażyć* i t. d.

2) Umieszczania przy sobie wyrazów mających je-

dnaki źródłosłów, lub częstego powtarzania jednychże, które łatwo innemi zastąpione być mogą. Np. Nie rób na *złość* temu *złośnikowi*, bo tem jeszcze go bardziej *rozzłości*sz. *Oszczędność* jest podstawą dobrego bytu rodziny; bo kto tak *oszczędnie* umie się urządzić, aby codzień ze zwykłych swych wydatków choćby cokolwiek *oszczędził*, ten w najpotrzebniejszej chwili, tak *oszczędzonym* groszem wybawić z kłopotu się może.

Są jednak wyjątki co do tej zasady w takich razach, gdy zestawienie dwóch jednegoż pochodzenia wyrazów, jednemu z nich większą siłę i wybitniejsze znaczenie nadaje. Tak Jul. Słowacki w *Balladynie* powiada:

„O biedny *kwiatku!* na toż ty się *kwiecił*,
By cię na krzyżu *ćwiekami* przybito?
Czemuż nie było mnie tam na *Golgocie*
Na czarnym koniu z *uzbrojoną* *świtą!*
Zbawiłbym Zbawcę — lub *wyrąbał krocie*“.

A Mickiewicz w *Panu Tadeuszu* opisując ucztę na miejscu przebojem zdobytem, by lepiej potęgę snu określić, tak dwa podobne do siebie wyrazy zestawia.

„Chce szlachta noc tę przepić, przejeść i prześpiewać,
Lecz powoli zaczęli drzemać i poziewać.
Oko gaśnie za okiem, i cała gromada
Kiwa głowami, każdy gdzie siedział, tam pada:
Ten z misą, ten nad kuflem, ten przy wołu ćwierci,
Tak *Zwycięzców zwyciężył* w końcu sen — brat śmierci“.

3) Należy się wystrzegać umieszczenia po sobie kilku jednozgłoskowych i trudnych do płynnego wymawiania wyrazów np. Nasz gród wił dziś laur na ten grób.

4) Zbiegu wyrazów dwu lub trzy sylabowych miar, czyniących mowę monotonna i bardzo niemłą dla ucha np. Miałam — zamiar — iść do — ciebie — lecz czas — słotny — mi prze — szkodził. Czytałam — dzień cały — ażeby — ci mogła — copędzej — odesłać twą książkę.

5) W szykowaniu wyrazów pamiętać należy, aby na końcu zdania nie kłaść wyrazów jednosylabowych i zaimka *się*, chyba w krótkiej, urywanej mowie, lub gdy tym sposobem dobitniejszą uczynić ją możemy, np. Nie ciesz się! Zawierz mi! Kółko rodzinne, to dla mnie cały świat! Wystrzegać się też potrzeba powtarzania jednychże wyrazów i zaimków w zględnych, czego można uniknąć, przez omówienie wyrazu, lub skracanie zdań, bo takie powtarzanie wtedy tylko jest dobrem, kiedy jedno jakoweś pojęcie wybitniej przez to malujemy, bynajmniej harmonii mowy nie szkodząc np.

„WiekuiSTEM jest wszelkie ukochanie myśli *Bożej*, prawa *Bożego*, obietnic *Bożych*. Z kim się choć raz podzielimy opłatkiem *wspólnej* wiary w dobre, *wspólnej* tęsknoty za sprawiedliwym, *wspólnych* nadziei zbawienia; z kim wymienimy słowo pokoju, wzajemnej przestrogi lub zachęty ku pocziwej pracy; z kim się aby w jednym szlachetnym połączymy zamiarze, aby w jednej odmówionej razem modlitwie: z tym i wieczność nas nie rozdzieli“.

Niewyczerpane źródło harmonii i wyrazistości mowy naszej, mamy w swobodzie układania wyrazów w sposób taki, aby szykiem swoim służyły do cieniowania obrazu; — przekładnia albowiem, naszej mowie właściwa, dozwala wyrazom malującym pojęcie, głównie nas obchodzące, ta-

kie miejsce naznaczać, na jakim postawione, dadzą się wymówić z naciskiem, zwracającym na nie uwagę np.

„Patrz, rzekł anioł: (miłość macierzyńska) to *najwyższa, najczystsza* miłość na ziemi, bo w niej *największe* jest poświęcenie; *niema* nad nią *świętszej*, ani *trwalszej*, ani *silniejszej*; jedno serce *matki* tak kochać umie, jak *Bóg* kocha dzieci swoje; *jedna to miłość*, co nie rachuje na odpłatę, nie chce *nic* dla siebie, nie pragnie *chwały*, nie targuje się z *ofiarami*; *cicha, łagodna, niezmierzona, wielka*, trwa *do końca*. Niewdzięcznością odpłacona *placze* — ale *przebacza*; odepchnięta *powraca*; zdradzona *wzmaga się*, życie traci i z *za życia* jeszcze promienieje. Dlatego błogosławieństwo *matki* jest siłą *wielką*, a przekleństwo macierzyńskie *śmiertelnem*.

„Mogily“ Kraszewskiego.

Taka przekładnia tyczy się nietylko głównych pojęć, ale i podrzędnych, i pozwala wyrazy wzajem się dopełniające, lub określające, rozdzielać od siebie kilkoma innemi, jeżeli ta dowolność, bez szkody dla myśli, dodać może *harmonii* wysłowieniu naszemu. I tak pięknie się ta dowolność szyku wydaje w tych zdaniach np.

Wiem, że nie *zawsze* cnota jest na świecie; zdawnam *przywykła* w jesienne zawieje *czekać*, aż kiedyś słońce *zajaśnieje*.

Gabr.

Pomnisz ten kamień, co *niegdyś* naszych przechadzek *był* celem. Te suche wierzyby *dawniej* mą ręką *wbite* w suchy piasek, *dziś* ich *nie poznasz*.

M.

Harmonia naśladownicza.

Oprócz harmonii melodyjnej jest jeszcze harmonia naśladownicza, wypływająca z doboru wyrazów zastosowanych do pojęć, jakie malować mają, a w które-to wyrazy obfitym jest bardzo nasz język. Ma on albowiem wyrazy ostre dla wydania burzliwych, a miękkie i pieszczotliwe dla słodkich i łagodnych uczuć, jak to pięknie wypowiada jeden z poetów w tem określeniu naszej mowy.

„Boć narzecze słowiańskie pozorem nie kłamie,
W każdym dźwięku myśl cała i ognista drzemie;
Jak gościnność w ich sercu, jak w boju ich ramię,
A tak tkliwa i rzewna jak całe to plemię“.

J. N. I.

W wysokim także stopniu posiadamy łatwość odtworzenia samem brzmieniem wymawianych wyrazów wszystkich głosów żywych, lub pochwyconych w naturze, i naśladowania przeróżnaitych dźwięków wydanych poruszeniem rzeczy, a takimi wyrazami są: huk, grzmot, błysk, grom, świst, szum, szelest, chrzęst, brzęk, dźwięk, łoskot, turkot, tentent, pisk, ryk, wycie, hałas i t. d.

Jest też to wielką zaletą piszącego i dowodem jego gruntownej znajomości języka, jeżeli w opisach jakiegobądź rodzaju umie zachować zgodę między wyrazami a pojęciami, jakie niemi odmalować pragnie, a szczególnie w poezyi, pięknie się takowa zgoda wydaje. Tak Odyniec w tłumaczeniu swoim malując *pogodę*, samych łagodnych dobiera wyrazów, gdy mówi:

„O jak uroczy jest uśmiech pogody,
Jak luba cisza, gdy szturm już przewionie,
I głośnie wichrów umilkną niezgody;
A rozjaśnione niebios a i wody,
Znów mile słońce piastują na łonie!

Tysiąc wietrzyków z murawą się pieści,
Tysiąc wietrzyków po liściach szeleści,
A każdy zda się innego stróż ziola,
Jego woń tylko roznosi dokoła.
A całe niebo blaskiem się uśmiecha,
A cała ziemia wonnością oddycha,
A całe morze usypia, ucicha“.

„Czciciele ognia“.

W *Dziewicy Jezioru* piękny jest także przykład harmonii naśladowniczej w ustępie malującym wrażenie, jakie czyni na góralach symfonia wojenna, naśladowująca dźwięki: marszu, ścierania się mieczów, okrzyków, i szerczącego się zgiełku.

„Im bliżej coraz, tem głośniej wzdłuż brzegu
Dźwięk się Pibrochu po skałach rozlega;
Z początku zdala technąc z wiatru oddechem
Cichem w powietrzu rozpływał się echem,
I mięknięc zwolna w przelocie nadwodnym
Zdawał się uchu być śpiewem łagodnym.
Ale co chwila im głośniej, tem bardziej
Brzmi pełniej, mocniej, przeraźliwiej, twardziej;
Słychać marsz, który Alpinów klan zbrojny
Gromadzi w hufce i wiedzie do wojny.
Bije takt gęsty, że rzekłbyś po ziemi,
Tysiąc stóp tętni krokami prędkimi,
Lub że już hufce stąpają z pośpiechem,
A ziemia głuchem ozywa się echem.

Takt zwolniał nieco; brzmia tony wesela;
Marsz! znać, że idą na nieprzyjaciela.
Wtem wszystkie dźwięki zmieszały się razem
Jakby mąż z mężem, żelazo z żelazem,
Słysząc szezęk mieczów i chrzęsty pancerzów,
Świst strzał, zgrzyt włóczni i trzaski puklerzów
Ucichły nagle; — wrzask tłumi się, głucho,
Przeszła utarczka, — nim bitwa wybuchnie.
Brzmi znak, — znów zbrojnych szeregów znać starcie,
Uparty odpór i szybkie natarcie;
Wzmaga się hałas wrzaskliwy i dziki,
Jęki boleści, tryumfu okrzyki;
Pierzchają tony jak wrogi wśród klęski,
Alpinów tylko brzmi już hymn zwycięzki.
Ani tu koniec; lecz coraz koleją
Wyniosłe tony zniżają się, mdleją,
Aż w cichych jękach powiały ku niebu
Na cześć poległych smutną pieśń pogrzebu.

A. Ed. Odyniec.

O wadach stylu.

Wszystkie powyżej wymienione przymioty są tak koniecznymi warunkami nietylko już pięknego, ale nawet i dobrego stylu, że każde wykroczenie przeciwko nim staje się wadą, odbierającą cały urok wyśłowieniu naszemu. Jedne z tych wad wypływają z nielogicznego układu myśli piszącego, drugie z braku poczucia piękna, lub mylnego o niem pojęcia i czynią styl: ciemnym, przesadzonym, napuszonym, rozwlekłym, zbyt cieżko, wymanierowanym, lub — nieprzyzwoitym zupełnie.

Do najpierwszych liczy się ciemność czyli zawilóść stylu, która nie daje jasno i łatwo objąć gło-

wnej myśli piszącego. Brak gruntownej znajomości przedmiotu, lub usilniejsze staranie się o ozdobne, niż o logiczne wypowiedzenie rzeczy, są takiej wady przyczyną, która uderza w źle ułożonych i zazbyt długich okresach, skutkiem nagromadzenia zdań pobocznych i nawiasowych, odrywających uwagę coraz do czego innego. Wyszukane, niezwykcyjne, lub źle zastosowane wyrazy, niewłaściwie użyte przekładnie mieszające różne, lub rozdzielające d w a do siebie należące pojęcia, a także brak naturalności tak w pojedynczych wyrazach, jak i w ogólnem wypowiedzeniu myśli pisarza, również się na tę wadę składają np.

Jako między umem a prawdą uznać wypada coś za uprzednie zgodne nastroyenie, to jest, każdemu człowiekowi wrodzoną prawdy pojętność, w braku wychowania uśpioną, wychowaniem obudzałą, lecz ani w tej drodze nabywalną, ani całkiem wyniszczalną: tak też jakiś zobopólny miłodźwięk rodzimym zachodzi między umem naszym a pięknoscią: to jest, każdy człowiek, którego przyrodzona dzielność umu nie doznaje przeszkody, posiada od urodzenia pewnego rozsądziciela piękności wogóle, czyli uczucie estetyczne, które za pierwobyty, pierwocinę, i zaczątek w nas pięknoznawczy uważać można.

Z broszurki: „O piękności“.

Myśl jest tu zawiłą i ciemną, bo schwycić ją trudno w chaosie wyrazów niezwykcyjnych i zdań, logicznym związkiem niepołączonych z sobą bynajmniej. Toż samo i w następującym wyjątku:

— „Jak piękna zorza, czystym rozjaśniająca ziemię porankiem, cieszy zabierającego się do pracy rolnika, iż plon rozłożony na polu, szczęśliwie przecież pod domową

strzechę sprowadzi i z rodziną swoją w słodkim wypoczynku używać będzie, a nagle, nie wiedzieć skąd, gromadzące się wilgotnych wyziewów kłęby, émiąc przed jego rozweselonem okiem śliczną zorzę, wnet pochlebne jego osłabiają nadzieje: tak cień nieszczęsny wiekuistej nocy gasząc niespodzianie prawdziwą szczęścia naszego jutrzeńkę, ukochaną Królową Jadwigę w r. 1399 cały naród polski i naszą szkołę główną, niewysłowionym przeraził smutkiem*.

„O stanie Akademii Krakowskiej“.

W tym drugim okresie jakkolwiek lepszym jest od pierwszego, główna myśl także niejasno jest wypowiedziana najprzód z tego powodu, że takie pojęcia jak *piękna zorza* i *cień nieszczęsny*, niewłaściwie są z sobą związane przysłówkami porównania: *jak: tak*, bo *piękna zorza z jutrzeńką* a *cień śmierci z chmurami* porównane być winny; a powtóre: że niepotrzebnie użyta przekładnia rozdziela *poranek* od jego przymiotu, że zdań jest zawiele w pierwszej połowie okresu, i że wzięcie takich wyrazów jak: *wilgotnych wyziewów kłęby*, zamiast *chmury*, jest obliczaniem na ozdobę z krzywdą naturalności i prostoty.

Drugą wadą stylu jest przesada czyli afekta-cya w malowaniu uczucia niezgodnego z prawdą, w robieniu wielkich rzeczy z małych i nie nieznaczących, w użyciu jaskrawych ozdób i porównań branych z przyrody, i rażących zbyt oddaleniem od wszelkiego prawdopodobieństwa. Wada ta u pisarzy XVII-go wieku, była powszechną, ale nieraz i u dzisiejszych spotykać się daje, jest zaś ona całkiem charakterowi polskiego stylu prze-

ciwną. Tak w tym wyjątku z tegoczesnej powieści każde z uczynionych porównań uderza taką przesadą:

„Całym sprzętem izby była para skrzyń mocno okutych; jedna z nich niedbale zasłana brudną i grubą pościelą, była jakby *wpodłuż przeciętu jakąś ciemną pręgą, najmniej do ciała ludzkiego podobną, a nad powierzchnią tego zaimprovizowanego łoża prawie niewystającą*. Było to nędzne ciało, a raczej szkielet staruszki. Jej oblicze wychudłe bardziej do *ostrego narzędzia, niżeli do twarzy ludzkiej* podobne, miało kolor *przewróconej skiby ziemi mchem porosłej*, a przy tej czarności *włosy gęste, jak śnieg białe*, które jej głowę otaczały, sprawiały *wrażenie całunu*“.

Trzecią wadą stylu jest napuszoneść wyrażań, bo, o ile wzniosłość, czyli górnosc myśli, zachwyca nas i podnosi na duszy, o tyle górnosc wyrazów razi wykształcone ucho zarówno w mowie i piśmie. Zazwyczaj grzeszą nią tacy, którzy sądząc, iż największym dowodem mądrości jest: nie być zrozumianym, dobierają wyrazów nienaturalnych, niezwykłych, nieodpowiednich ani rzeczom, ani myślom, ani uczuciom, jakie niemi malują i czynią tym sposobem mowę swoją ciemną, napuszoną i śmieszłą.

Przykład takiej górnosci z zamiarem wyszydzenia tejże, dał nam w swych „*Ramotkach*“ August Wilkoński, w następującym wyjątku.

„W nieprzejrzanej strzeni czasów stnienie jednego człowieka jest jakby niedziałką równającą się stnieniu jętki, a jednak jakże olbrzymią jest jego misya, jeżeli odwiekujemy skrzynię rozmyśłów, które jego zamknia mózgowa samorodnem wyłonieniem po świecie rozprysła“.

W tymże samym celu Kl. Hoffmanowa podaje wiersz na dzień imienin opiekunki przez wychowanka jej ułożony, w którym tenże tak do niej przemawia:

„Ty! co myśli ulotnej przypominasz słońce!
Ty! którą wielbią świata najdaleksze końce!
Ze związków słodkich z tobą w Parnasie się chlubię.
Tobie igraszki muzy poświęcać ja lubię.
Dla ciebie to Apollo nastroił swą lutnię,
I moja niezawodnie godny wiersz ci utnie.
Żyj dni gwiazdorówne! miej źródło pomyślności!
Pływaj w złocie, w zdrowiu, w dziwnej szczęśliwości.
O mej ku cię wdzięczności śpiewałbym najmilej,
Gdybym na Helikonie wzbił się jak Wirgili.
Lecz jeszcze go nie doszedł...! Ale bądź cierpliwa!
Pójdzie lotem piorunu muza nieleniwa:
Wówczas wdzięczność niezbędną i jej zapal cały,
Wieki potomne, wnuki, będą czytywały“.

Dalej, jako przeciwieństwo owej zwięzłości, która wystowienie nasze czyni jasnym, jędrnym i silnym, jest rozwlekłość często spotykana w pismach takich jak powieści i różne opisy, a wynikająca z niepomiarowanej chęci okazania jakiegoś przedmiotu ze wszystkich jego stron i opracowania drobiazgowego nawet i dodatkowych części. Jak w pięknym obrazie, malarz główne postacie, czy rzeczy w najdrobniejszych szczegółach artystycznie wykończa, a z podrzędnych, starannie ułożonych, tworzy tylko ogólne tło, na którym pierwsze wydatnie odbijają, tak i w piśmie to samo: główna myśl, czyli główny przedmiot powinien nad przydatniami górować wykończeniem i opracowaniem, a nie ginąć w chaosie mających go upiększyć przydatków.

Jeżeli więc pisarz długo rozwodzić się będzie nad rzeczą wziętą ze świata zewnętrznego, to pismo jego stanie się nudnem i nużącym, a jeśli nad uczuciem, to clikwem i monotonnem się wyda, całość zaś straci na tem niezmiernie, bo zatrze się piękno najgłówniejszych pojęć i wyobrażeń, i zniknie cała ich siła.

Do wad wymienionych, wydatne są jeszcze w niektórych pismach i takie, jak: ciężkość stylu, wypływająca z mylnego o prawdziwym pięknie pojęcia i zbytniego o nie starania.

Wadliwą pięknoscią stylu, nazywa się układ myśli w takie zwroty i formy, że myśli te, przedstawiając się w sztucznej, wymuszonej i widocznie opracowanej postaci, wymagają wyjątkowego usposobienia ze strony czytelnika, męczą jego uwagę podsuwaniem mu samych niezwyklej wyrażen i przenosi, i robią styl ciężkim i nienaturalnym z powodu nagromadzenia ozdób, jakie mu odbierają całą jego prostotę. Ozdoba ma być tylko upiększeniem całości przedmiotu przez uwydatnienie pewnych jego części, ale nie powinna stanowić najwyższej pisma wartości; i jak dobry gust nie dozwala pięknej i bogatej materji szat naszych zasłaniać niepotrzebnymi już na niej przyborami, tak też wykształcony smak domaga się piękna i bogactwa w samej treści czyli materji pisma, a ozdoby przyjmuje jedynie jako środek podniesienia i upiększenia, czy to jej barwy, czy formy.

Nakoniec — brak względu na przyzwoitość formy i poczucie piękna wyradza jedną jeszcze wadę, jaką jest używanie w piśmie wyrazów i wyrażen, które rażą gmin-

nością i w mowie dobrze wychowanych ludzi nieużywane są wcale.

Od względu na przyzwoitość i na wymagania piękna nie uwalnia pisarza; słowo pisane musi być oględniej jeszcze niżeli ustne dobierane, bo zostaje na zawsze świadectwem wykształcenia i usposobienia człowieka, a co ważniejsza jeszcze, że jeśli jest harmonii, czy piękna moralnego skażeniem, to źle oddziałuje na niewyrobione jeszcze umysły. Każda książka dążyć winna do tego, aby podnosić, umoralnić i kształcić zarówno rozum jak duszę; jeśli więc przeznaczona dla ludu, to jest jej obowiązkiem podsuwać mu nie tylko piękne i szlachetne myśli, ale i wyrazy, jakiemiby swoje grube, nieokrzesane zastąpił; a jeśli z ludowych postaci ma tworzyć dla wykształconych osób obrazki, to powinna malować je z całą prostotą ich myśli i uczucia, a nie z prostactwem wyrażen, obrażających przyzwoitość. Za piękny przykład w tym względzie zawsze służyć będzie Kazimierz Brodziński, który w swym „*Wiesławie*“ tak umiał połączyć naturalną prostotę wieśniaczą z szlachetną oględnością na piękno, że każdy wyraz z jego sielanki wyjęty, zarówno mógł się znaleźć w ustach nieumiejętnego ludu, jak i estetycznie wykształconych, więc wrażliwych na pocucie piękna wyższego świata ludzi.

O ozdobach stylu.

Ozdobami stylu nazywamy to wszystko, co stylowi mającemu już powyższe, niezbędne mu przymioty, dodać może wdzięku, uczucia i piękna działającego silniej na umysł i serce człowieka.

Umiejętne użycie tych ozdób ważną bardzo jest rzeczą, bo jak podstawą każdego pisma powinna być prawda, a głównym celem jego dobro, tak najpewniejszym środkiem do wykazania prawdy i dojścia do celu jest: piękno. Z wszystkich władz duszy naszej jeden tylko rozum na gruntowności myśli i jasności w jej wyrażeniu przestaje; wyobraźnia zaś, uczucie i różnorodne namiętności człowieka nie mogą się zadowolić prostem i zimnem wypowiedzeniem siebie, i szukając odpowiednich sobie żywiołów, znajdują je w pięknie, które podnosi, uwydatnia i pociągającym urokiem obleka wszystko, co z serca przez usta nasze wypływa. Ozdobami składającymi się na to piękno są: wzniosłość, śmiałość i siła wyrażen, rozmaitość, lekkość, powaga, dobitność i żywość; a wielkiemi także stylu zaletami są: indywidualność i charakterystyczność.

Wzniosłość.

Myśl wzniosła zawsze odrywa się od ziemi i wypowiada najszczytniejsze uczucia i najwyższe prawdy. Myśli takich najwięcej jest w piśmie świętem, a zwłaszcza w księgach prorockich, jako zawierających wszystko, co jest prawdziwą wielkością, w kazaniach i mowach ogarniających tajemnice Boże, a wogóle płyną one z uczuć, jakie piszącego wyżej nad innych stawiają. Nie wymagają one bynajmniej wyrazów szumnych i wyszukanych, ale przeciwnie: prostem, krótkim nieraz słowem, odsłaniają myśl, ująć się nie dającą formą zwyczajnych wyrażań. I tak w owem: „*Stań się światło i stało się światło*“. *Jam jest, którym jest*“. „*Wykonało się*“ i w Dawidowem: „*Ja z nim w przygodzie*“ mieści się cały ogrom potęgi Tego, — co „*Sam wszystko stworzył, krom Samego siebie*“.

Księgi Hioba pełne są takich wyrażań, a o ostatnich dwóch mowach Jehowy słusznie powiedziano, ¹⁾ że są: *stękiem samych szczytności*, bo nigdzie ziemską poezją nie poszła dalej i wyżej. Oto z nich wyjątek.

„Gdzieś był, gdym ziemski zakładał fundament?
Powiedz, jeżeliś dorósł do mądrości!
Czy wiesz, kto ziemi zakreslił objętość?
Kto sznur mierniczy rozciągnął i trzymał?
Na czym oparły się jej podwaliny,
Albo kto kamień węgielny założył?
Jak przytem ranne cieszyły się gwiazdy
I weseliły syny Elohima?

¹⁾ Lucyan Siemieński.

Kto morze zamknął podwójnemi wroty,
Kiedy lunęło z matczynego łona?
Kiedym obłoki dawał mu za szatę,
A mrokiem, jako pieluchami spowić?
Gdym stromo złamał jego brzeżne skały
Zaworę przydał i podwójne bramy,
Rzekąc: „aż dotąd pójdziesz, a nie dalej
I tu rozbijesz wściekłość swojej fali“.
Czyś rozkazywał, jakieś żyw, świtanie?
Czyś zorzy miejsce właściwe nazначył,
Skądby, schwywszy za krawędzie ziemi,
Strząsała z onej bezbożne zbrodniarze,
A ziemia, ni — to glina pod pieczęcią
Wzorzystej szaty znaki przyobleka.
Wtenczas zbrodniarzom światło ich odjęte
Strzaskane ramię na cios wyciągnięte.
Azaś ty dotarł, aż do morskich źródeł?
Chodziłżeś po dnie falistych przepaści?
Czyż ci otworem stały bramy śmierci?
Widziałżeś kiedy drzwi do krajów cieni?
Przejrzałeś ziemi szerzyny do końca?
Gadajże o tem, jeźlić wszystko znane!
Którędy droga do mieszkań światłości?
Na którym miejscu przebywają mroki?
Abyś je przywieść mógł do swoich końców,
Zbadawszy ścieżki wiodące w ich gniazdo!

a w drugiej:

„Zaprzeczyszże mi, żem jest sprawiedliwy?
Potępisz, abyś został przy słuszności?
Czyż twoje ramię, jako ramię Boga?
Czy zagrzmisz głosem takim, jak On — grzmiącym?
Przyobleczże się blaskiem i pańskością,
Wystąp w piękności wszystkiej i ozdobie,
Wylej na ziemię potok swego gniewu,
Jednem spojrzeniem ukórz wszystkie harde.

Wtenczas i ja ci w pochwały uderzę,
Kiedyć prawica pomaga tak szczerze“.

Śmiałość i siła wyrażen.

Myślą śmiałą nazywa się myśl, gdy się odznacza niezwykłością zwrotów i porównań i uderza silnie na wyobraźnię niepowszednią barwą fantazyi, lub zuchwalstwem wypowiedzenia siebie w taki sposób, przed jakim umysł pospolity się cofa. Taką śmiałością nacechowane jest pytanie, jakie arcykapłan pogański zadaje córce chrześcijance, gdy obwiniając jej Boga, że mu ją wydziera mówi:

„Córko! co zbrodnią byłoby we wrogu,
Czem to zwać będziesz w nowym swoim Bogu?
Felicyta Odyńca.

również i to uniesienie Śtej Teresy, z jakim mówi do Boga :

„Im więcej męki, tem miłości więcej
W tem piekle Bożem, Bożego kochania,
Gdzie Twa obecność nawet mnie rozrania“.

Glossa Śtej Teresy Z. Kr.

W powyżej przytoczonych wyjątkach z pism Hioba co chwila takie niezwykle myśli uderzają, jako to np.:

„Czyś zorzy miejsce właściwe naznaczył
Skądby schwyciwszy za krawędzie ziemi
Strząsała z onej bezbożne zbrodniarze?“

W pismach Słowackiego, Goszczyńskiego, w Farysie Mickiewicza pełno jest takich myśli i śmiałych obrazów, jak w tym ustępie naprzykład:

„Huragan, z afrykańskich pierwszy wichrzycieli
Przechadzał się samotny po żwiru topieli.
Obaczył mię zdaleka, wstrzymał się i zdumiał,
I kręcąc się na miejscu, tak do siebie szumiał:
„Co tam za jeden z wichrów moich młodszych braci
Tak poziomego lotu, nikczemnej postaci
Śmie deptać lądy, którem w dzieciństwie osiągnął?
Ryknął, i ku mnie w kształcie piramidy ciągnął,
Widząc, żem był śmiertelny i nieustraszony,
Ze złości ląd nogą trącił,
Całą Arabią zmącił
I jak gryf ptaka, porwał mię w swe szpony i t. d.
Farys Mickiewicza.

Siła wyrażenń zwykle cechuje pisma z głębokiego uczucia płynące i niknie tam wtedy wszelki ślad sztuki wobec uniesienia, z jaką się owo uczucie z całą gwałtownością wylewa, do głębi duszy przenikając drugich swą mocą, jak np. w owym precudnym ustępie z Glossy świętej Teresy:

„Umrzeć — lub cierpieć! a cierpieć bez miary.
Bo mnie się z Tobą trza złać w Twojem niebie,
Lub, gdy nie można, żyć w piekle dla Ciebie.

Przed chwilą byłam w Wieczności rozlana,
Nikt nie rozeznałby sługi od Pana.
Ty — Bóg, Ty dla mnie stawaleś się mały,
A ze mnie całe wyrastał Bóg cały.
Tyś się zamykał w mem sercu jak w grobie,
— Jam się jak Bezmiar szerzyła ku Tobie.
Przez nieskończonej łaski zezwolenie,
Stwórca przechodził na chwilę w stworzenie
Stworzenie w Stwórcę — przez jedno westchnienie“.
Zyg. Krasński.

D o b i t n o ś ć.

Dobitność wyrażen wyływa z głębokiego przekonania o tem, o czem drugich chcemy przekonać, a polega na doborze wyrazów jasno i dokładnie malujących rzecz, a także na wyrażeniach zwięzłych, zajmujących się głąwną tylko myślą, na powtarzaniu i na porównaniach plastycznie ją przedstawiających. I tak np. Woroniecz malujący cnotę określa ją w ten sposób.

„Cnota — nie jestto owoc w przemądrzałości ludzkiej wyległy, który się stósownie do każdego smaku i widzenia przeistacza. Nie jestto szata teatralna, w którą się łatwo przyoblec dla zwodniczego udania tej lub owej osoby. Nie jestto towar, który na rynku wśród zgiełku małym kosztem zakupić można. Jestto dostojna niebios posłannica, która z górnych siedlisk na to zstąpiła, aby skażonego człowieka do jego pierwotnej zacności podniosła i podobnym go Twórcy swemu uczyniła.

Woroniecz.

Kraszewski — powstając przeciwko kłamstwu, tak się wyraża.

„Nigdy fałszu! nigdy fałszu, ani usty, ani uczynkiem, ani milczeniem, zapomnieniem, ruchem, skinieniem, nigdy — i za nic fałszu dziecię moje; dla niczego, dla nikogo! za żadne skarby świata!

Strzeż się go nawet w życia drobnostkach; a pamiętaj, że nie same usta tylko kłamią, ale życie całe, wejrzenie, ubiór, rumieniec; niech w tobie wszystko będzie prawdą, choćby miało być upokorzeniem“.

L e k k o ś ć.

Lekkość stylu niezmiernie miłym jest przymiotem pism takich, jak powieści, listy, podróże i wszelkie opo-

wiadania wogóle. Wynika ona z żywej wyobraźni i wrodzonej zdolności malowania rzeczy i wrażeń w żartobliwy sposób z całą swobodą i naturalnością, czyniącą pismo zajmującym przez porównania dowcipne, które samą lekkością, z jaką się przesuwają po opisywanych przedmiotach, podnoszą ich znaczenie i wybitniej jeszcze w umyśle naszym je malują np.:

Żeby poznać Warszawę, w ogólnych jej zarysach, z faktów codziennego jej życia, na co się składają wszystkie jej klasy, jest na to pewny środek. Ani opisy Warszawy Sobieszczańskiego, ani historyczne o niej prace Bartoszewicza, ani szkice Boguckiego, nie dadzą o tem wyobrażenia. Rodzi się w Warszawie codziennie i zabiega do wszystkich jej kątów, mały arkusik ochrzczony nazwą: *Kuryerka*. W to lusterko przegląda się codziennie Warszawa, od pani do gryzетки, od dandysa do ulicznika, od hotelu do knajpy. Nikt się nie urodzi, nie ożeni, nie umrze, nie kichnie w Warszawie bez *Kuryerka*. Jeżeliby jaki nieprzewidziany wypadek zawiesił wyjście jego na dzień jeden, Warszawa strwożyłaby się bardziej tym wypadkiem jak zaćmieniem słońca. Jak się zlepie *Kuryerek*? czemu taki żywotny i interesujący, kto mu nadaje ten nieulowiony analizą charakter, o tem zaręczam wam, ani on sam, ani Warszawa nie wiedzą zgoła. Wyrasta on sobie codziennie z brukowego życia jakoś tak dziwnie, tak pobożnie, wesoło, szlachecko, prosto i naiwnie razem, iż rzekłbyś, że na zszycie jego sukienki złożyła się cała Warszawa, i jak tylko pokaże się na oczy, rozbierze go zaraz. Z miną pocziwą, wesołą, z sercem najżyczliwszem dla wszystkich, z powagą, łzą, i dobrym apetytem bieży on i jak Pinetti z jednej maluczkiej beczuleczki leje ci potroszku, czego zażadasz. Przybiera na żądanie rozmaite położenia, pokazuje się w szlacheckiej kapocie, to znów w żałobnym stroju ciągnie za pogrzebowym konduktem;

zaledwieś go tam zoczył, gdy widzisz już w balowych rękawiczkach; mruga jednym i płacze drugim okiem; wierzy we wszystkie talenta, proteguje je ciągle i daje w przecięciu na tydzień krajowi dwa geniusze; otwiera drzwi gościnne na szlacheckie pogadanki, drugiemu wpuszcza reklamy i usprawiedliwienia; flaneruje magazyny, zwiedza poddasza, kosztuje zupełną żółtą i z równym smakiem zajada flaki; szuka zgubionych piesków i bransoletek i ma jeszcze czas i miejsce owinać w te warszawskie rupiecie: parlament angielski, izbę pruską, konkordat austriacki, zebrać śmietankę z Paryża, ścisnąć całą Amerykę w dwóch wierszach, przestrzedz mieszkańców o utrzymywaniu w czystości rynsztoków, nakoniec palnąć szaradę, którą zgadnij, jeźliś mądry!

„Listy z podróży“. Padalicy.

P o w a g a.

Powaga stylu — wprost lekkości przeciwna, nie jest jednak bynajmniej ciężkością wypływającą z wyszukanych, nienaturalnych wyrażen i zbytku użytych ozdób, ale jest tylko pięknem zastosowaniem tonu mowy naszej do rzeczy opisywanej, gdy ona działając na duszę, wyższem ją uczuciem przejmuje. Wtedy nie używa się ozdób, ani przenośni, myśl nie ślizga się jakby od niechcenia po wierzchu tylko przedmiotu, ale do gruntu tegoż sięgnąwszy, w głębokiem poczuciu całej jego ważności, prostem, zwięzłem, a dobitnem słowem maluje go z należną mu powagą. Np.:

„Wczoraj — był to Wielki Czwartek: Siedziałem w kościele Śgo Piotra do godziny 9-tej wieczór, słuchałem *Miserere*. Nic wznioślejszego nad te głosy ludzkie rozpaczające, konające z bólu i żalu, rozchodzące się zwolna

po tem ogromnem sklepieniu, między masy cieniów, masy złota, marmurów, i drogich kamieni zanurzonych w ciemnościach. Nad grobem Piotra, pali się gromnie kilka; a reszta kościoła, to nicość cieniów, to nieskończoność cieniów, — chaos jakiś z marmurów i cieniów. Świat — jakiegoś nie widział nigdy. Bóg wszędy; — Bóg, co skończył na krzyżu, i dziś On, o tej czarnej godzinie kona w każdym zakęcie tego olbrzymiego gmachu. Szumy burzy zda mi się, że słyszę, bo wiesz, On dech wyzionął wśród burzy. Ogrom wieczności, zda mi się widomy; zaczyna się za tym ołtarzem. Patrz! ołtarz wysoko — wysoko — jak olbrzym niknący w górze; u stóp jego gromnie kilka, — a za ołtarzem ciemność, wieczność, — i reszta kościoła i te pieśni wszystkie płaczące nad Bogiem umarłym, nad mękami Boga! Gdzie nadzieja wasza ludzie, kiedy Syn Boży zniknął i niema go? Ale trzeciego dnia On zmartwychwstanie i świat ten zbawi*.

Zyg. Krasiński.

R o z m a i t o ś ć.

Ze względu na wrodzone usposobienie człowieka, rozmaitość jest jedną z najgłówniejszych ozdób każdego rodzaju stylu. Umysł nasz prędko się znuży i znuży jednym i tymże samym widokiem i przedmiotem; najmilsze wrażenia obojętnieją i słabną, najpiękniejsze melodye sprzykrzą się i zbrzydzą, jeżeli bezprzestannie nasuwać się mu będą, więc umysł pragnie zmiany w tem wszystkim, i rozmaitość, czy przedmiotów, czy wrażeń, wpływa na uczynienie mu ich miłszymi i piękniejszymi. Rozmaitość w mowie i piśmie będzie zależała nietylko od treści, ale i od sposobu jej wypowiedzenia i rzecz jedna i ta sama wcale inaczej wydawać się będzie stosownie do tego, jaki zwrot myślom swoim piszący będzie nada-

wał: znudzi i zmęczy, jeżeli jednotonnie powtarzanemi słowy w jednakiej formie przedstawiać ją będzie, a zajmie i rozerwie, jeżeli pismo prowadzone na wzór ustnej mowy, stanie się żywem wrażen i uczuć jego odbiciem. W tym celu należy coraz nowy tok pismu swemu nadawać, rzucając krótkie, urywane zdania po okresach dłuższych; twierdzeniu — dając formę pytania; proste opowiadanie faktu przerywając wykrzyknieniem własnego spostrzeżenia nad nim, lub przytaczaniem cudzych wyrazów lub rozmów. Wtedy w opowiadanie wlejemy ciepło, życie i ruch, i zmieniając farby, urozmaicimy i obraz, i niezmiernie zajmującym uczynić go potrafimy nawet wtedy, gdy rzecz sama, bądź to naukowa, bądź obojętna dla nas, suchą ze swej natury byłaby. Np.:

„Wszelki objaw myśli jest mową, dla wzroku migową, lub pisaną, dla słuchu głosową. Mowa więc nie może być czem innem jak wyrazem myśli człowieka. Uczucie nasze ma objaw dwojaki: bezpośrednio — za pomocą dźwięków, pośrednio — za pomocą mowy. Jęk boleści, śmiech wesela, wykrzyk przerażenia, zgrzyt groźby, mogą być wyrażone prostymi wykrzyknikami, które do mowy wcale nie należą.

Są to tylko dźwięki wspólne nam ze zwierzętami. Lecz jak skoro uczucia te przejdą w uznanie człowieka; jak skoro myśl je pojmie, wtedy objawiają się już w mowie artykułowanej (zgłoskowej albo wyrazowej), przez omówienie; zamiast wykrzykników, człowiek powie, głowa mię boli! wesoło mi! co za potwór! ja cię nauczę! Nie jestże więc rzeczą jasną, że mowa jest odbiciem, objawem myśli na zewnątrz, jest wywnętrzeniem się człowieka? Zachodzi teraz pytanie, kiedy poraz pierwszy objawiła się w człowieku potrzeba, powiemy więcej, konieczność

takiego wywnętrzenia się? Człowiek samotny na świecie widząc jaki potwór, słysząc trzask gromu, uderzony walącym się drzewem, krzyknie z przerażenia, przestachu lub bólu, ale nie powie: przeraża mię grom lub potwór; sprawia mi ból upadek drzewa. Chory samemu sobie zostawiony, będzie stękał, jęczał, ale boleści swych w mowie nie odda, bo to nie miałyby ani celu, ani skutku. Czując głód lub pragnienie, człowiek rzuci się do strawy lub napoju, lecz nie powie: chce mi się jeść lub pić. Konieczność wywnętrzenia się, objawienia swych myśli na zewnątrz zrodzi się wtedy tylko, kiedy taki objaw będzie miał cel, a celu tego nie będzie dopóki się nie znajdzie istota, dla którejby takie ujawnienie swych myśli było zrozumiałem i potrzebnem.

Taką istotą rozumną była pierwsza niewiasta. Początek więc mowy odnosimy nie do czasu stworzenia pierwszego człowieka, lecz do epoki stworzenia pierwszej niewiasty.

Wpływ kobiety na utworzenie się i rozwinięcie języka był bardzo znacznym; pozostał widocznym aż do dnia dzisiejszego. Któż miał dziecię nowonarodzone nauczyć mowy, jeżeli nie matka? kto je nauczył stawiać pierwsze kroki, kto z miłością słuchał jego szczebiotania, kto mu powiedział, że jest Bóg, który i świat stworzył i nad wszystkim opiekę rozciąga? Kobieta-matka. Jeżeli więc kobieta była tak potężnym czynnikiem w rozwijaniu pojęć dziecięcia, musiała wpłynąć i na rozwój mowy, to jest zewnętrznych znaków tego pojęcia. Wpływ ten wyraźnie ślady swe pozostawił w samym rozróżnianiu rodzajów męskiego i żeńskiego. Języki najstarożytniejsze odróżniają zakończenia męskie od żeńskich, co nie mogłoby mieć miejsca, gdyby w niem brał udział sam tylko mężczyzna. Możnaż wpływu kobiety zaprzeczać, kiedy niemowlę właśnie od matki słyszy pierwsze wyrazy z łagodnością wymówione, które najłatwiej się zatrzymują

w czystej jeszcze pamięci dziecięcia, najgłębiej wrażają się w jego serce i zostają w niem niezatarte na wieki. Dlatego właśnie taki ma dla każdego urok język macierzyński, język pierwszej miłości i pieszczoty, a zatrzymanie tego uroku i nadal i na wieki do kobiet należy“.

Z prelekeyi Jana Papłońskiego.

Ż y w o ś ć.

Czem dusza dla ciała, tem jest żywość wystowienia dla naszej mowy i pisma; że zaś człowiek ma odrazę do wszystkiego, co obumarłą ma postać, a lgnie do tego, co tylko życie objawia, z tego więc usposobienia jego, ta jeszcze jedna ozdoba stylu wynikła. Źródło jej jest w silnem uczuciu i wyobraźni bogatej; bo kto żywo czuje, ten nie potrafi obojętnie mówić o tem, co go obchodzi; a kto wrażliwym umysłem chwyta wszystko, co go otacza, i zatrzymuje, co mu się pięknego lub niezwykłego nasuwa, ten nie chce i nie może tych skarbów swej myśli ukrywać, i wydobędzie je wszystkie, aby dać drugim wierny obraz tego, co żywymi barwami w jego się myśli rysuje. Jeżeli więc chodzi o jego uczucia, to rzeczy dawno już ubiegłe potrafi wskrzesić swem słowem i nadać im ciepło serdeczne i ruch; gdy rzecz idzie i o wyobraźnię jeszcze, to ucieka się nawet do sztuki i uzmysławia pojęcia umysłowe, daje im ciało i kształty, każe im mówić i działać, jednym słowem: daje im życie, i za pomocą różnych postaci mownych, retorycznymi nazwanymi, potrafi zająć i umysł, i serce, i do głębi duszy przemówić. Ze względu na uczucie przywołujące do życia przeszłość dawno ubiegłą, pisma Ig. Chodźki dużo mogą przykładów takiej żywości dostarczyć, ze względu zaś

na wyobraźnią, J. Kremer na tem polu jest niewyczerpany. I tak, pierwszy ujrzawszy się w miejscu, gdzie lata dziecinne przepędzał w ten sposób o nich wspomina:

„Z wyobraźnią mocno wzruszoną, z rozrzuwionem sercem wyszedłem na rynek boruński z kościoła, do którego się prosto z pojazdu udałem... Zgasły dnia blaski, niebo się gwiazdami osypało, noc piękna i cicha nowego dumaniom moim dodawała powabu, a każde miejsce, każdy krok mój, złote chwila dzieciństwa odnawiały mi w pamięci. Tędy przez gumniska i płoty stawał co zima groźny z lodu okop; ileż kłębów śniegu wytaczać trzeba było, aby go wznieść i umocnić należyście! Przed nim na straży, jak przed zaklętym pałacem Amadisa, stał potężny olbrzym; głowa sfinxa; z dwóch czarnych węgli źrenica; tułów Bachusa, a nogi rodyjskiego kolosu; w rękę trzyma wzniesioną maczugę Herkulesa, i biada temu, kto się jej dotknie! Co wieczór, gdy odwilżone powietrze łatwiej dozwalało lepić śnieżki i lodówki, okop ten mocne szturmy wytrzymać musiał. Rynek i ulica Mińska atakuje ulicę Wileńską; z jednej strony dowodzi pan Leon, świeżo przez Raducinę mianowany generał; z drugiej pan Justyn, podżyły iufimista, trzecieletni weteran klasy I-szej, niemocny wprawdzie na dowodach, że „różnymi się ludzie od zwierząt rozumem i mową“, ależ za to biegły gracz w matony i wódz w śnieżki najdzielniejszy.

Grad śnieżek krzyżuje się w powietrzu i lubo zmrok wieczorny zacienia walkę, zapalczywość jednak, hałas, krzyk i zamieszanie powszechne coraz wzrasta. Postrzega pan Stefan, że sprawa po dyable, że pan Leon grasuje po jego rotach jak kawalerzysta po rozbitej piechocie, że większa część jego komendy w śniegu się tarza, daje więc hasło odwrotu: „Za okopy mości panowie! za okopy!“ krzyknął. Któż wie? może niebezpiecznego nieprzyjaciela na zasadzkę prowadzi? Ale w tym momencie błyska od klasztoru światło; znajoma to latarka!!! „Książd

prefekt! ksiądz prefekt!“ Przestroga ta oblatuje obie strony: przerwana bitwa; światelko się posuwa! wnet ostatni, a obfity grad lodówek leci z obu stron na ten cel jaśniejący zdaleka... i wszystko pierzechnęło! a ksiądz prefekt z kilkakrotną kontuzją i ze zbitą latarką znajduje pustym plac pobojuwiska. Następuje rewizya po kwaterach; próżne usiłowania znalezienia winowajców! Siedzą wszyscy malecy spokojnie koło stołów, a zatknawszy uszy i zamrużywszy oczy wrzeszczą na zabój: „Byli tacy, byli tacy, Aniołowie, Aniołowie, Aniołowie, którzy wojnę przeciw Bogu prowadzili i t. d.“

Co do drugiego względu: na *wyobraźnię*, to Józef Kremer, patrząc na mury domów oświeconych księżyccem, ożywia je prześlicznie, dając z nich taki obrazek:

— „Teraz naprędce o drugiej przyczynie mojej przyjaźni dla księżyca powiem. Prawda, że ta przyczyna trąci niby trochę wdzięcznością miejscową, trochę technie sentymentem parafiańskim, ale może i ta moja parafia nielada! Ot! ja jeszcze lubię, a miłuję księżyca za to, że nam tak cudownie przystraja ten stary nasz rynek krakowski. Trzeba ci było być ze mną przed chwilą i tak widzieć ten rynek w swym blasku, jak ja go widziałem; nie uwierzysz, jak mu też ślicznie w poświęceniu księżycowej! Budki i kletki, przylepki, daszki, stragany, opadłe tynki, to wszystko się gdzieś skryło, a rynek stanął uroczysty, poważny, wystrojony jak do ślubu.

Za dnia te domy, — to tak sobie! dawne kamienice — usiadły w kółko niby stare ciotki zebrane na kawę i bajki. Jedne o dachu wieżastym, śpiczastym, niby w czepku czubatym; inne powykręwały sobie wierzchy we falbany, w centki dziergane; inne jakby marząc o królowej Bonie udają Włoszki i chowają dachy poza jakieś frontony. A już to prawie wszystkie w wygodnym, choć trochę niedbałym negliżu

Gdy atoli spadnie noc, gdy potop księżycowych światel zaleje miasto, wtedy proszę spojrzeć na te kamienice! Jakie to harde! jakie to dumne! niechoby one poczęły bajać, gadać, a opowiadać, jużby stało czem zapisać grube księgi wieściami temi, a byłoby też po co czytać te stare baję! Boć one kamienice wszystkie, to niby wróżki dawno uleciałych setek lat, więc im się też dziwnie coś roi i marzy i śni“.

„Listy z Krakowa“.

Indywidualność.

Niema nic piękniejszego w człowieku i całym życiu jego jak p r a w d a, i im kto jest głębszego uczucia i podnioślejszej duszy, tem więcej ta prawda widnieje we wszystkich czynach jego i cechuje wszystko, co go otacza, i odbija się wszędzie, gdzie tylko dłoń swoją przyłoży, bo taki nie przeciwko swemu uczuciu i usposobieniu nie robi i między nim, a tem wszystkiem musi być zgoda, czyli jedność. Taki człowiek, jeżeli wypowiada siebie swoim otoczeniem, tem więcej w słowie wypowiedzieć się musi, a bardzo wysoko cenioną zaletą jest taka indywidualność stylu; bo lubimy wyszukiwać związku pomiędzy człowiekiem a pisarzem i każde słowo jego podwójnie działa na nas, gdy poza niemi stają czyny i życie, które je poprzeć gotowe, czyli kiedy czujemy w nich p r a w d ę. Z pomiędzy pism, co były echem duszy piszącego, wyróżniają się wybitnie pisma Ig. Kraśzewskiego, Gab. Żmichowskiej, a nad wszystkich Zyg. Krasińskiego, którego słowo każde było częścią jego samego; każde dało świadectwo o jego uczuciach, i każde

o nim mówiło to samo, co on sam o sobie w następującym liście powiada:

„Zdrowie moje dźwiga się nieco, ale próżnia ducha, o której ci tyle razy wspomniałem, odzywa się często. Są chwile, których nie życzę nikomu, a które mi duszę rozstrajają. W tych chwilach łamię we dwoje serce moje jak kartę nieszczęśliwą, która przegrała dziesięć razy, raz po raz w faraona. W tych chwilach wszystko mi się tak bez nadziei wydaje, życie ziemskie tak ograniczone, że wątpię o wszystkim.

Takie istoty jak ja, — powinny były urodzić się w nieprzekętym Edenie przed grzechem pierworodnym, kiedy wszystko było światem i wolnem, lub prosto w piekle, jeżeli im już los kazał się narodzić wśród niedopełnionych, w grzechu i karze żyjących stworzeń“.

A w innym mówi:

„Czas, to najokrutniejszy z archaniołów. Ten, co u bramy raju z mieczem gołym, — przynajmniej stoi na miejscu: ale czas z podobnem żelazem w obu dłoniach, goni nas i ostrza tych mieczów w plecy nam wtyka; przez plecy wskrós, aż na tamtą stronę piersi się przebija i tak po tej kuli, wiecznie skaleczeni, wiecznie krwawi, z sercem stąpamy przeszycem. O! życie gorzkim jest; bo trzeba zapominać o przeszłości, bo trzeba oddzielać ją od ciała jak koszulę Dejaniry, za którą mięsa kawały idą! Mój drogi! Kiedyś, kiedyś, gdy będziesz wspominał o mnie, pomyśl, żem ogromnie wiele nieznanym mi cierpień wytrzymał, i że czasem w ciągu życia, chciało mi się śmierci. Coby ci wiedza faktów pomogła? Wieczne faktum moje, oto ból, i ból, i ból jeszcze!“

Indywidualność taką cenimy nie tylko ze względu na wyrażone uczucie, ale nawet na formę, w jaką myśli swoje piszący układa, i tej, jaka jest jemu właściwą, nie

powinien nigdy wbrew usposobieniu swemu na inną, obmyślaną tylko na wzór upodobany sobie, przemieniać. Każdy wzór piękny powinien wprawdzie służyć na przykład i pożyteczną naukę, ale trzymanie się go ślepo, z zaparciem się, czy to własnego pojęcia o rzeczy, czy osobistego uczucia i kierunku swych myśli, jest zawsze z krzywdą i pisma, i piszącego zarówno. Pismo noszące obcą sobie, więc niewłaściwą mu cechę, traci barwę prawdy i naturalności tak wielki urok mającej, robi się wymańerowane czyli wymuszone i przeistacza się w karykaturę naśladowanego piękna; bo myśl, w cudzą, choćby udatną nawet, ale nieprzystającą do niej formę przyodziana, tak samo jak człowiek w pożyczoną ustrojony suknią, pozbawiona będzie swobody, prawdy, i pewności siebie i tem samem do nieczyjego przekonania ani uczucia nie trafi: piszący zaś, wyrzekając się swej indywidualności, wybijającej się w stylu, który za jedno z człowiekiem samym uważa słynny Buffon ¹⁾, schodzi na podrzędne stanowisko podrabiającego się pod cudzą, uznaną już zasługę, i przez to połowę swej rzeczywistej utracą.

Charakterystyczność.

Oprócz wszystkich przymiotów i zalet stylu różnego rodzaju pism, powieściopisarstwo, wymaga jeszcze jednego, to jest: umiejętnego malowania charakterów i usposobień ludzi wyprowadzanych na scenę. Niepospolity to przymiot, bo tu już ani talent, ani wykształcenie, nie wystarczy na to, aby się nim odznaczyć; potrzeba do tego

¹⁾ Styl to człowiek. Buffon.

głębokiej znajomości życia i ludzi; trzeba podsłuchać każdego uderzenia ich serca, podchwycić myśl ich każdą, dopatrzeć cnót i ułomności, śledzić wszystkie ich postęпки i zestawivszy czynny z ich słowami wydać o nich sąd, któryby się potem w ciągu ich historyi na każdym kroku usprawiedliwiał zupełnie. Takich znakomitych malarzy serc ludzkich mamy w Korzeniowskim, Zyg. Kaczkowskim, Miłkowskim, (Jeż) Kraszewskim, któryto tak nam niewiastę ubiegłych lat maluje:

„Pobożność, męstwo, dobroć niewyczerpana, powaga cnoty, czystość dziecinna, oto — co odznaczało niewiastę naszą do XVIII-go wieku. Nikt o niej poza domem nie wiedział, lecz wszyscy czcili i błogosławili, ktokolwiek zbliżył się do niej. Nie była to zalotności pełna Francuzka, której życie trwało tyle co piękność; ani marząca Niemka więcej w dumaniach, niż na ziemi wzrosła; ani sztywna Angielka. dla której przyzwoitość droższą jest od samej cnoty. Żywa, choć poważna, łagodna i surowa razem; wielka, bo zawsze pani siebie samej: w sercu miała skarby poświęcenia i dobroci, choć usta była milcząca, choć skąpa w słowa. Życie jej więcej było czynem niż słowem i myślą. Usta się modliły, ręce pracowały, serce kochało w Bogu i Boga. Nigdy myśl nawet nieczysta nie sprowadziła majestatycznej matrony w kałużę ziemi; nic ją skalać, nic świętego jej spokoju zachwiać nie potrafiło. Życie całe było dla niej dobrowolnem, miłem spełnianiem obowiązku, czystą ofiarą, nieustannem poświęceniem wśród zapалу religijnego, który ją oświecał i ogrzewał na każdym kroku. Wiara zbroiła ją na wszystkie wypadki życia; w szczęściu dziękowała Bogu lekliwie, nie dowierzając pomyślności, bo była ziemską a zatem znikomą; w przeciwności rosła, mężniała, olbrzymiała, nabierała sił niespodzianych, wznosiła się do

heroizmu. Wówczas walka, nie nużąc jej, zdawała się podsycać w niej życie. Swoich kochała bez granic i dla nich mogła grzeszyć zbytkiem przywiązania, które nie zawsze objawiało się dla ich przyszłości zbawiennem; błazała im, pieściła, usiłując ozłocić ich życie, ubezpieczyć przyszłość; dla obcych, w których widziała posłańców Boga, dla obcych nieszczęśliwych i ubogich dobroczynną była nie tylko datkiem, nie tylko chlebem, ale współczuciem, duszą, braterską pieczę i litością serdeczną. To, co my zwiemy światem, a co jest wrzawą i zgiełkiem potrzebnym dla tych, co spokój stracili lub cenić go nie umieją... nie uśmiechało się jej wcale, nie nęciło, straszło raczej dla siebie i drugich, niżeli pociągało. Przyjemności większej sceny nie były jej nieznane, ale nigdy serca nie zachwyciły, tak jak sąd świata nigdy jej z drogi nie sprowadził“.

O postaciach retorycznych.

Mówiliśmy już, że użycie postaci retorycznych wpływa z uczuć i wyobraźni człowieka, że zaś i pierwsze i druga są przyrodzonym darem Bożym, przeto postaci owe bynajmniej skutkiem samego wykształcenia nie są, tem pewniej, że wykształcić można to tylko, co jest, a czego tak wiele u ludu prostego, a nawet i u dzikich, widzimy, to jest: uczucia i wyobraźni, o jakich właśnie jest mowa.

Wyobraźnia, jest to siła tworzenia własną myślą tego, co w rzeczywistości nie istnieje wcale, i wystawiania sobie rzeczy, których oko nasze nie widziało zupełnie; jest to władza jasnowidzenia duszy i przenoszenia się nią w nieznane jakieś światy, a zarazem zdolność wysnucia z drobnej rzeczy wątku do wielkich obrazów i do przejmowania się głęboko uczuciem, które serca naszego nie dotknęło bynajmniej. Bez takiej zdolności żaden artysta, żaden pisarz i poeta obejść się nie może; na niejto opiera się cała poezya, co w wykształconej i wytwornej formie płynęła z pod pióra wieszczów i pisarzy naszych, a z serca prostego ludu daleko wcześniej żywym się słowem wylała. Bajki o zaklętych królewnach,

o szklanej górze, o sukienkach ze słońca, miesiąca i z samych gwiazd utkanych, a w otwierającym się dębnie zamkniętych, o kwitnącej czarodziejskiej paproci, są najwymowniejszym dowodem takiej wyobraźni wrodzonej. Co zaś do uczucia, to i to również nie wymaga żadnej nauki, bo własnym swoim instynktem natrafia ono na różne przenośnie, porównania i ozdoby, byleby sobie dogodzić. I tak matka-wieśniaczka nazywa dziecinę: *jagódką, kwiateczkiem*; jednej dziewczynie śpiewają, że ma *oczeki jak tarczki, buzię jak śmietana*; drugiej: *że patrzy sokolemi oczkami z pod jaskółczych brew*, a nikt ich tego nie uczył, wzięte to żywcem z serca wezbranego słodkiem, czyli też namiętne uczuciem. Wszystkie te postacie mowne, czyli figury retoryczne mają na celu: albo wzruszenie drugich, albo dobitniejsze wyrażenie im naszych myśli i dzielą się na wypływające: z uczucia i wyobraźni.

Postaci mowne płynące z wyobraźni.

Figury retoryczne mające źródło swe w wyobraźni, polegają głównie na braniu jednych pojęć i wyrazów za drugie i do takich się liczą wszelkie przenośnie jak: Metafora, Porównanie, Metonimia, Allegorya, Antyteza, Omówienie, Stopniowanie, Uosobienie. (Personifikacya).

O przenośniach.

Żaden język choćby najbogatszy nie ma takiej obfitości wyrazów, aby każde pojęcie miało swój właściwy

i sobie tylko służący, i stąd, jednymże wyrazem oznaczamy rzeczy i wyobrażenia zupełnie różne od siebie, dzieląc je tylko na właściwie i przenośnie użyte. Przenośnie te wypływają z ruchliwej i bujnej wyobraźni naszej, która chciwie dopatruje związku między światem ducha, i światem zewnętrznym, chwyta podobieństwo zachodzące między uczuciami ludzi, a własnościami otaczających ich tworów, i za główną podstawę przenośni uważa logiczną łączność, panującą między rozlicznymi znaczeniami wyrazów, aby na zasadzie czy to owego związku, czy to porównania lub też podobieństwa nadać rzeczom nieżyjącym i uczucie, i życie, a na odwrót — istotom żyjącym przypisać własności, które są martwych przedmiotów cechami, czyli: przenosić z jednych na drugie właściwe ich znaczenie. Przenośnie takie stosownie do tego, czy są na podobieństwie, na związku, czy na porównaniu oparte, przybierają także różne nazwiska i mają cechy odrębne. I tak:

Przenośnia właściwie tem mianem nazwana, oderwanem zupełnie od rzeczy pojęciem nadaje jej postać zmysłową na zasadzie związku, jaki wyobraźnia nasza dopatruje między istotnem rzeczy pojęciem, a określającym ją wyobrażeniem i przenosi jej znaczenie w obraz na pozór obcy dla niej zupełnie. Np.:

„Henryk potrzebował trzech lat na zdobycie jednej Normandyi; śmierć Jana bez trwogi oddała mu całe królestwo w dni kilka. Kiedy w sto lat później król Franciszek I kazał sobie pokazać grób Jana Burgundzkiego w Dijon, oprowadzający go Kartuzyanin wskazując na

szeroki otwór w czaszce: „*tą dziurą N. Panie, dodał, wdarli się Anglicy do Francyi*“.

Libelt.

Tak Seweryn Goszczyński w prześlicznym swym wierszu: *Pieśń Śgo Wojciecha*, przenosi znaczenie pieśni na samą Boga-Rodzicę i tak opowiada o niej:

— „W owych to wiekach z żelaza i złota
Stał się cud wielki — cud którego siła
Wyżej od zwycięstw Polaków zaszczyca,
W postaci pieśni cudownie zstąpiła“
Boga-Rodzica-Dziewica.

Zeszła — i pyta w narodów rozgwarze:
„Jestże lud godzien słyszeć rajske dźwięki?“
Wtem nadszedł pielgrzym szukający męki
I rzekł: „O Pani! taki lud Ci wskażę“.
Więc za przewodem Świętego Wojciecha
Poszła do Gniezna lekką stopą echa
Siada na wzgórzu i ziemię zachwyca.
Kłękli Polacy... Oni Ją poznali
I wykrzyknęli piersiami ze stali:
Boga-Rodzica-Dziewica! i t. d.

Przenośnia taka może się i w pojedynczych wyrazach zawierać, i wtedy na pozór mają one właściwe swoje znaczenie, a w głębi rzeczy odnoszą się do myśli, która w sposób dowcipny, grzeczny, lub złośliwy ukrywa się pod niemi. Tak dając rysopis młodego człowieka, w jednej z swych powieści Gabryela Żmichowska powiada, że: „Pan Dyonizy nie musi „mieć“ swojej głowy, tylko ją „niesie“ na karku, tak jak według legendy, jęgo patron niósł swoją pod pachą“.

Porównanie służy do wybitniejszego wydania myśli naszych, przedstawiając je w postaci zmysłowej przez porównanie z sobą dwóch pojęć do dwóch odrębnych światów należących. Wszysecy poeci i pisarze, wszysecy mowcy i kaznodzieje co chwila porównań używają, a im te porównania są trafniejsze, im podobieństwo tych pojęć szczęśliwiej jest schwycone, tem mowa ich ozdobniejszą się staje i prędzej do przekonania drugich trafić może, ukazując im prawdę w świetle tak jasnem, że prawie plastyczną się ona wydaje. I tak Józef Kremer wykazując wartość starych budowli i murów powiada:

„Jak matka konająca zostawia z błogosławieństwem dzieciom pierścień z wizerunkiem Najświętszej Panny, by je strzegł od złego, tak przeszłość w grobie zapadła puścizną po sobie zostawia nam budowania swoje, stare kościoły i groby; są to klejnoty rodzinne każdego narodu, co idąc od pokolenia do pokolenia stroi one cześć, boleścią i tęsknotą swoją“.

Ks. Skarga tłumacząc dziwne rozrządzenia Boże mówi :

„O leśne drzewo nie dba gospodarz, rośnie jako chce, a on też, kiedy chce, na ogień je wytnie. Ale o drzewo ogrodowe i sadowe stara się, aby dobrze rosło, chędoży je, nachyla, obrzazuje i obcina. Tak Pan Bóg kogo porzuci, dopuści mu swej woli; ale kogo ma za swego, trzyma go, i rządzi i ćwiczy“.

Toż samo jest i w poezyi; piękno każdego przedmiotu wybitniejszym przez takie porównania się staje, jak na przykład i w tym wyjątku z Lenartowicza: *„Przegrywki“* gdzie mówi tak o piosenkach:

*Powszednie piosnki, to jak chleb powszedny
Co to o niego Pan Bóg każe prosić,
By człek posilon mógł swój krzyżyk nosić.
A jak nie wadzi głosik skowronczany,
A jak nie wadzi oliwa na rany,
Jak Boże słonko zdrowiu nie zaszkodzi:
Tak i piosenka, co nam biedę słodzi“.*

Również: w *Narzeczonej z Abydos* tłumaczonej przez Odyńca, śliczne jest określenie wartości słów zasłyszanych od ukochanych osób, gdy w następujących porównaniach, mówi o nich, że:

*„Święte, jak Muezina wołanie z wież Meki
Na które ze czcią pielgrzym przykłęka daleki;
Lube, jak nuta pieśni miła z lat dziecinnych
Wspomnieniem ich słodząca gorycz wszystkich innych;
Drogie, jak wygnańcowi dźwięk ojczystej mowy,
Będą mi wszystkie twoje słowa i rozmowy!“
„Z *Narzeczonej z Abydos*“.*

Metafora jest wyrażeniem użytym nie we właściwym, ale w przybranym znaczeniu, jakie mu nadajemy ze względu na podobieństwo w dwóch rzeczach lub pojęciach uderzające wyobraźnią naszą tak mocno, iż nie robiąc już między nimi żadnych wyraźnych porównań, od razu bierzemy wyobrażenie umysłowe za zmysłowe, lub na odwrót, nazywając: młodość — *wiosną życia*, mały objaw pomyślności *listkiem nadziei*, osobę ożywiającą dom cały, *duszą rodziny* i t. p. — Tak mówiąc o działaniu wyobraźni, pięknie ją określa Zmichowska w ten sposób.

„Na co tym ślicznym dzieciom wydzierać ich złudzenia? na co kamieniem rozsądku przyciskać żywe źródło

bijącej w górę fantazyi? lepiej niech jej wody kryształowe swobodnie się na wierzeh wydobywają, niech uschłą glebę życia orzeźwią i rozzielenią“.

A Bogdan Zaleski o pieśniach ludowych powiada:

„Pieśni ludu — *jedwabniki*,
Przędza na wiatr, *lśniaca*, *lekka*,
Któż jej doda *świetnej krasy*,
Umaluje *złotem* prządka?“

Zaleski.

Skarga, cios zadany fizycznie, porównawszy z ciosem moralnym mówi:

„Miecz widomy, raz serca i najmniej dotknawszy, koniec boleści czyni. Ale *miecz boleści serdecznej* wiele w sobie ma śmierci“.

Gdyby wyrażenia te były obrócone w taki sposób, że: na co *rozsądkiem jak kamieniem* przyciskać fantazyą, *jak żywe źródło* bijącą w górę i t. d. nazywałyby się: *porównaniem*, a nie *metaforą*, i zestawienie tych dwóch postaci z sobą mamy w następującym przykładzie:

„Pamięci! o tyś *cicha jak potoku wody*,
Gdy się w tobie odbije jasny kwiat pogody.
Pamięci! a w nieszczęściu toś ty *sępią szponą*
Głęboko ostrza wpuszczasz i rozdzierasz łono“.

Ujejski.

Allegorya jest przenośnią zamkniętą nie już w pojedynczych wyrazach lub zdaniach, ale w całej mowie, w której prawda od początku do końca wystawioną jest pod lekką osłoną słów, dających obrazek figurą tylko tej prawdy będący.

Alegoryą są wszystkie bajki, przyznające zwierzętom i rzeczom wady i przymioty ludzkie, i wszystkie przypowieści, w których prawda moralna, choć pod przybraną postacią jest już wyraźniejszą, bo tu mówią i działają ludzie, tylko że umysłowe pojęcia przedstawiają się w obrazku zmysłowym dla silniejszego oddziaływania na serce i łatwiejszego przekonania umysłu. Takich alegorycznych przypowieści pełno jest w Piśmie świętem, gdzie ziarno rzucone na rozmaitą rolę, wyobraża słowo Chrystusowej nauki, padające na rozmaitego usposobienia serca słuchających go ludzi; Syn marnotrawny — żałujących grzeszników; Pasterz szukający zbłąkanej owieczki — Pana Jezusa ukazującego zbłąkanym duszom ich drogę i t. d., a sławni nasi kaznodzieje i mowcy, prawdy najwyższego znaczenia również pod taką postacią wypowiadać zwykli. Np.:

„Gdy okręt tonie, a wiatry go przewracają, głupi tłumoczek i skrzynki swoje opatruje i na nich leży, a do obrony okrętu nie idzie i mniema, że się sam miłuje, a on się sam gubi. Bo gdy okręt obrony nie ma i on ze wszystkim, co zebrał, utonąć musi. A gdy swemi skrzynkami i majątnością, które ma na okręcie, pogardzi, a z innemi się do obrony okrętu uda, swego wszystkiego zapomniawszy, dopiero swe wszystko pozyskał i sam zdrowie swoje zachował“.

Ks. Skarga.

Taką alegoryą jest także następująca: *Przypowieść o ojcu, dziecku i gościu* wyobrażających: Boga, człowieka, i świat.

Było u ojca dorodne pachole

Posłuszne, karne i w domu i w szkole

Zgoła, że rośło pod pieczęą ojcowską
Na korzyść ludzką, a na chwałę Boską.
Aż nagle dziecię poczyną się psować
Ojca nie słuchać, szkoły nie pilnować;
Zamiast być młodszym swym braciom przykładem
Już ich do złego wiedzie własnym śladem.
Więc zrazu ojciec łagodnie poczyną:
Do serca mówi, matkę przypomina;
Niestety! próżno! nie pomogły prośby,
Więc pełen bólu przechodzi do groźby;
Więc jako niegdyś hebrajscy poeci,
Jak nasz Pawełki, lub wielki Jan trzeci,
Zagraża karą, dniem płaczu i smutku,
Ale tak samo, jak oni, bez skutku.
Ha! więc przyjść musi chwila odwiekana.
Toż choć ból wielki serce mu zakrwawia,
Hardemu dziecku gnie ojciec kolana,
Do klęczków zmusza i tak go zostawia,
Póki łza żalu nie wypłynie z duszy,
Póki nieszczęsny upór się nie skruszy.
Któż skreślić zdoła tę ojcowską ranę
Gdy chłostać musi dziecko ukochane!
W pobliskiej izbie zaczął niby pracę,
Ale przy synu został całym duchem.
Praca nie idzie, bo serce kołace,
I jak zbawienia, z wytężonym słuchem
Westchnienia czeka, które ma oznaczyć,
Ze już go może podnieść i przebaczyć.
Wtem — jakiś dziwny odgłos go dochodzi,
Więc wraca: patrzy, a to gość dobrodziej
Nad stanem dziecka tak czule się żali,
Tak je pociesza i tuli i chwali:
Jak ono miłe i dobre i grzeczne;
Z czego następstwo wypływa konieczne:
Ze gdy syn cierpi niesłusznie, poczeiwy,
Więc ojciec srogi i niesprawiedliwy.

To też synkowi piosnka się podoba,
I tak się w sobie zakochali oba,
Tak się złączyli w piosence i nucie,
Ze już i myśli niema o pokucie.
Bo za cóż cierpieć, za co pokutować.
Gdy dziecię takie, że tylko całować.

Karol Baliński.

Metonimia jest to rodzaj przenośni, polegającej nie na podobieństwie ale na związku jaki między wyobrażeniami zachodzi. Używa się jej dla skracania i ożywienia mowy, bo postać ta pozwala wyrzucać wyrazy i określenia, których łatwo domyślić się można, i jeden wyraz zamieniać na drugi, gdy ten, który jest tylko w związku z pojęciem rzeczy głównej, w piękniejszy sposób odda myśl aniżeli ten, któryby właściwie pojęcie to malował. I tak:

1) Bierze: *autora* za jego *dzieła* np.:

Nie dość jest *przeczytać Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego*, ale trzeba ich umieć *pojmować*.

Rzecz zawierającą za *rzecz zawartą*. Np.:

„*Baw się wesołe miasto bez końca, bez miary; Ja nie po to przyszedłem, by dzielić twe gwary*“. Syrokomla (zamiast: *ludzie w mieście*) „*Cała pomni okolica, co tu zbroił nieboszczyk*“. Mick. (*ludzie w okolicy*).

3) *Skutek* za *przyczynę*. Np.:

To cały *zarobek* nieszczęsnej sieroty
Ten *wianek*, co moja dłoń splecie.
To *dach* mój nad głową, co chroni od słoty,
To *chleb* mój, to *suknia* na grzbiecie“.

(zamiast -- że z przyczyny tego wianka będzie zarobek, za który kupi chleba i suknią).

4) *Przyczynę za skutek. Np.:*

Uręczamy, że niedźwiedź zabity dziś w boru
Przez dwa lata wystarczy na kuchnię klasztoru“.

Mick.

(zamiast — że wskutek zabicia niedźwiedzia, klasztor przez dwa lata będzie zaopatrzony w pożywienie).

5) *Znak za rzecz umówioną. Np.:*

„Nie tyle grozą, jak raczej dozorem
Stała chorągiew, bo Mohort był wzorem“.

Pol.

(zamiast żołnierze pod tą chorągwią służący).

6) *Część ciała za uczucie. Np.:*

„Oh! gdyby to zawsze *chętną rękę z mądrą głową,*
tkliwe serce z geniuszem łączyć“.

Żmichowska.

O siostrzyczko mała!

Od ukochanych nie żądaj, by dali

Równy *dział serca* i tak cię kochali

Jakeś ich ty ukochała“.

Żmichowska.

(zamiast: *dobroczynność z rozumem; tklliwość z geniuszem i równe uczucie*).

Wszystkom *do piersi* cisnął koleją

O wszystkim *krwawem sercem* zawadził,

Lecz *dłoń zdradziła, usta zdradziły*

Ah! tylko kamień nie zdradził“.

Żmichowska.

Antyteza zasadza się nie już na podobieństwie, lub związku, ale na zupełnej sprzeczności, jaka zachodzi w pojęciu dwóch wyrazów, albo też wyrażeń, które zestawione z sobą odbijają od siebie jak jasne od szarych kolorów i silnie działają na umysł, gdy pięknie są dobrane i umiejętnie użyte. — Postać ta najrzadszą jest ze wszystkich i w mowie i w piśmie, choćby najwytworniejszem nawet, bo wtedy tylko stosowna, gdy wypływa nie z wyrachowanej chęci ozdobienia nią mowy, ale z żywo poruszonej wyobraźni, albo z naturalnego uczucia, które w uniesieniu wylewając się w słowach, przechodzi od jednej ostateczności do drugiej, aby te dwie ostateczności, w dwóch sprzecznych zestawione wyrazach, były rzetelnym tego uczucia, albo wrażenia obrazem. I tak Kraszewski w głębokiem zrozumieniu boleści moralnej powiada:

„Nie jestże to *szczęście* być tak *nieszczęśliwą* i wypić *kielich żywota cały w jednej kropelce trucizny?*“

Zyg. Krasiński myśląc o sercu nie chcąc i nie umiając się zniżyć do nienawiści i dumy, uczucie czysto ludzkie zestawia ze świętem i mówi, że:

„Na świat spogląda nie mściwie, nie hardo, lecz z *przebuczenia anielską pogardą*“.

Stefan Giller, wyobrażnią swoją przenikając ducha i znaczenie naszych pieśni ludowych w ten sposób je określił:

„Jakżeś ty piękna, a jak tajemnicza!
Poważne lice krasi blask uśmiechu;
Rosa twym oczom swych kropli użycza,
A wiosna swego oddechu!

Głowę, kwiat polny wianeczkiem okrywa,
Serce ci płonie, jak iskra żarząca;
I czasem *milcząc*, jesteś *gadatliwa*,
A czasem *mówiąc*, *milcząca*.

W znanej pieśni Fr. Karpińskiego na Boże Narodzenie ułożonej, cała pierwsza strofka złożona z zestawienia sprzeczności, uderzających nie już w wyrazach, ale w samych pojęciach, jest jedną, najwspanialszą antytezą, bo zebrane w całość takie ostateczne wyobrażenia jak:

„Bóg się rodzi, — moc truchleje,
Pan Niebiosów — obnażony;
Ogień krzepnie — blask ciemnieje,
Ma granice — Nieskończony.
Wzgardzony — okryty chwałą,
Śmiertelny — Król nad wiekami i t. d.

robią tę pieśń prawdziwie namaszczoneą głębokiem pojęciem wielkiej Tajemnicy, jaką w niej opiewają.

Omówienie używane jest w starannej i poetycznej mowie zawsze, gdy wyraz zastosowany właściwie do rzeczy, o której mówić albo pisać mamy, raziłby gminnością, i gdy powtarzanie jednego i tego samego zrobiłoby mowę nieharmonijną i nieprzyjemną dla ucha; wtedyto omawiamy, czyli obchodzimy, ten wyraz, przez co wysłownienie staje się wytworniejsze, szlachetniejsze i ozdobniejsze o wiele. Tak np.: Brodziński mając dwa razy powtórzyć powszedni wyraz: *rok* tak ślicznie go omówił:

„Miałam ja drugą, litościwy Boże!
Oko się za nią napłakać bie może.

Zaledwie *piąty owoc kwitnął sadu,*
Gdy mi zniknęła bez żadnego śladu;
Już to *dwunastym liściem wiatr pomiata,*
Jak myśli matki zatruwa jej strata“.

Syrokomla, unikając wymienienia nazwiska Mickiewicza, coby zupełnie pospolitem było, witając miasto woła:

„Gdzie jesteś *wielki Duchu* kowieńskiej doliny
Coś nam serca rozpalał, piejąc stare czyny?“

Przybywszy do Częstochowy odzywa się znowu o Matce Boskiej i Kordeckim.

„Kto ramię Kordeckiego do potęgi budzi,
Co dwanaście tysięcy zgromił w trzysta ludzi?
Ty *Pani z Jasnej góry!*

Święty, *rycerski mnichu!* o dawni królowie
I ty *święty szlachcicu* jak cię Marek zowie!
Sławiliście Maryą czynami, modłami,
Wyście teraz Jej bliżsi, módlcie się za nami!“

Stopniowanie jest umiejętnem ułożeniem, czyli uporządkowaniem, kilku wyobrażeń, odnoszących się do jednego pojęcia, w ten sposób, aby one po sobie następowały kolejną ważności malujących je wyrazów, idąc od najslabszego do najmocniejszego wyobrażenia, albo też na odwrót, bo wtedy tworząc jakoby cień jednej jakiejś myśli, w całej świetności wykazujemy jej piękno i żywiej przemawiamy do wyobraźni drugich.

Tak jeden z kaznodziejów w swej mowie pogrzebowej stopniował na obydwa sposoby pojęcie poniesionej straty w śmierci zacnego człowieka, i raz od najważniejszego, drugi raz od najslabszego wyobrażenia okresy

swoje zaczynając, jednym wyrazem, znaczenie następującego podnosił, np.:

*Gwiazda po gwiazdzie zapada, filar po filarze się łamie, cegła po cegle się kruszy, a my stojąc i spoglądając na te ruiny i straty, czyż nie możemy razem z strwożonymi uczniami Chrystusa Pana, z serca przejętego żalem i trwogą, zawołać w chwili żalu i boleści po stracie ś. p. Karola Marcinkowskiego, która nam tyle innych przypomina: Panie zostań z nami, boć się ma ku wieczorowi i dzień się już nachylił! Tak — ma się nam ku wieczorowi; bo *chmura na chmurę zaciąga, grom po gromie uderza i światło po świetle gaśnie*; wszystkim nam się dzień pochylił, a pochylił się szczególnie nędzy i biedzie, która na to serce, co się nad nią litowało, już garść ziemi rzuciła“.*

W *Mogiłach* Kraszewskiego takiego stopniowania — piękny także jest przykład.

„Szmer głosu anioła lał mi w piersi spokój jakiś niewysłowiony; inaczej teraz spoglądałem na ziemię; z załez, które stał dłońią białą, wzrok mój oschły, głębiej coraz *sięgał* w ziemię, *widział* jaśniej i *przenikał* nie tylko pod miejsca zakryte, ale w najzamkniętsze piersi tajniki...

Inne są sądy Boże, a inne wyroki wasze; to, co wam potężnem się zdaje, tam grzechem jest może; co tu niewidzialne, tam wielkie i święte, a im *ciszej się cierpi*, im *więcej boleść ukrywa*, im *więcej tai z ofiarą*, tem świętniejsze w niebiosach czekają palmy i wieńce“.

Uo s o b i e n i e czyli personifikacja wypływa z wspomnianej już chęci do upatrywania życia we wszystkim co nas otacza; do mówienia o martwych nawet rzeczach i umysłowych pojęciach jakoby o myślących i czujących istotach; do przyznawania im własności i siły działania,

jakiemi odznaczają się ludzie. Stąd także jest to jedna z najzwyczajniejszych, bezwiednie używanych figur retorycznych, bo mówimy zwykle, że: *burza szaleje, gromy biją, strach ma duże oczy, nadzieja się uśmiecha, światło w oczy uderza, noc zaskoczyła* i t. d. W poezyi, opisach i opowiadaniach ustnych taki sposób mówienia, nietylko wiele żywości, ale i wiele obrazowości i mocy wyrażeniu się naszemu nadaje, np.:

„W zamek ten padła trwoga z najeżonym włosem,
z niespokojnym snem, z proroczymi widmami, i rozlega
się w komnatach niewieścich wśród ciszy północnej prze-
rażającym krzykiem“.

Z pism L. Siemieńskiego.

W. Pol ślicznie tej postaci użył, w tym ustępie
z *Mohorta*.

„Kiedy to mówił zwolna sobie kroczył
I wstąpił ze mną na okop wspaniały,
A stąd do razu, *kraj się rozkrył* cały:
Dniepr u przepaści wstęgę swą *rozłożył*,
A jak najdalej sięgło tylko oko
Świat się rozłożył za *Dnieprem* szeroko.
A na wzdłuż rzeki pomiędzy skałami
Mgła się poranna *zwijąca* kłębami.
I w tejże chwili pierwszy *blask promienny*
Ocknięte stopy z ukosa *zadrasnął*,
I świat się budził, ale *Dniepr był senny*
I spać się zdawał, — jak pod mgłami *zasnął*“.

Kraszewski mówiąc o *tesknicy* wyraził się że:

Ponad sercami *latała* nietoperzowemi skrzydły, *za-
glądała* w nie, *siadała*, *ssąc* z nich odrobinę młodości“.

A dalej:

„Tesknica karmi się wszystkim, co spotka... tak jest zgłodniałą i spragnioną... ogryza suchą korę, pożera liście opadłe, którychby już nikt nie tknął“.

T. Padalica, malując gwałtowność z jaką morską fala w czasie burzy się toczy, przypisuje jej i życie i uczucie, gdy tak o niej mówi:

„W płynieniu łodzią po rozhukanem morzu jest coś tak majestatycznie strasznego i pięknego razem, że się to wrażenie u nas, dzieci lądu, nie zapomina nigdy: Ten *wał* dziewiąty, jakże wspaniale jeży swój kark, jak go polewa pianą złości i napada na cię!... W tej sile musi być coś żywego, co ma duszę i oczy, tyle tam jest życia i gniewu. Wyraźnie piętrzy się, żeby coś zoczył; — obaczył cię i goni... Zdaje się, połknie łódź całą, zdaje się, rozbije ją swą potężną pierśią, i widzisz nagle — jak podrzucił ją tylko, zawarczał ze złości, że chybił w uderzeniu, i rozlany szeroko poszedł skonać na brzegu!“

Postacie wypływające z uczucia.

Postacie mowy używane dla wzruszenia drugih i rozbudzenia w nich uczucia, jakim piszący jest przejęty są: Zapytanie, Powtórzenie, Hyperbola, Apostrofa, Ironia, Błaganie, Przekleństwo, Opuszczenie, Przemilczenie, Prozo-popeja.

Zapytanie. Postaci tej używamy w silnem poruszeniu duszy, gdy rzecz dobrze nam znaną wyrażamy w formie pytania, w którym ukrywając wyrzut, twierdzenie, lub usprawiedliwienie, większe czynimy wrażenie na sercu i umyśle drugih, wymagając od nich odpowiedzi potwierdzającej prawdę, głęboko przez nas pojętą. Tak w księgach proroczych, Bóg z rzewną wymówką pyta się ludu

Izraelskiego: „Ludu mój! cóżem ci zrobił, lub w czym cię zmartwił? odpowiedz mi! Cóżem więcej miał uczynić tobie, a nie uczyniłem?“. Lenartowicz — zamiast przekonanie swoje w stanowczy i twierdzący sposób wypowiedzieć rzuca je w formie pytania i mówi:

„Mnie wszystko tak cieszy, co swojskie, co nasze,
I ludzie mi drodzy i mili... .

I nie wiem, co miłsze nad wiejskie poddasze?

Nad ptaka, co w krzakach gdzieś kwili?

I nie wiem, co miłsze nad ludzkie wejrzenie?

Co czystsze nad wodę przeczystą?

Co lepsze nad dobre u ludzi wspomnienie?

Co droższe nad ziemię ojczystą?

I nie wiem, co szybsze nad myśl niezgonioną?

Nad serce pocziwe gorętsze?

Co bardziej jest smutne nad młodość straconą?

Nad pracę i miłość co świętsze?“

W *Felicycie* Odyńca, Kwintus w zapale swego przekonania pyta:

„Mnieżto ma trwożyć ich groźba lub kara,

Gdy celem moim, jest tylko ofiara?

Mnieżto ma wstrzymać wzgląd, że może inni

Boją się czynić, co czynić powinni?

Maż cudza słabość być mej siły miarą,

Lub duch mój stygnąć czyjaś zimną wiarą?“

Woronicz zaś, żegnając zwłoki uwielbianego wodza, również używa pytania, aby tem żywiej dać uczuć cały ogrom bolesnej jego straty.

„Wzywam was tu, stańcie! otoczcie ten śmiertelnością tlejący majestat wodza waszego. I także owa wasza szerokobrzmienna sława dogorywa? Kto wasze nieocenione czyny oceni? Kto je nagrodzi? czy te słowa na papierze

z wiatrem ulotne? czy te chrapliwe jęki dzwonów i spiży w powietrzu niknące? czy ta świetna okazałość powszechnym szacunkiem i żałobą roziskrzona, której pojutrze śladu nie będzie? czy to wreszcie marmury i kolosy, na których modrzewy i jodły będą w czasie zarastać? Któż opłaci tyloletnie wasze znoje i poniewierki? ten wiek odkwitnionej młodości marnie styrały? te blizny i kalectwa nieuleczone? te członki morderczym ciosem odjęte? Kto pocieszy te wdowy i pisklęta po was osierocone? Kto rozsądzi i wyświeci rzetelne zasługi zapomniane, a lada nikezemnikowi podstępnie przyznane i uświetnione? Kto te drogie imiona z odmetu niepamięci wytrząśnie? Jestżęż który mocarz świata całego tak potężny, bogaty, mądry, sprawiedliwy, aby temu wszystkiemu podolał, aby was każdego w szczególności uczcił, udarował, uwiecznił? O bracia! jakimże łez strumieniem opłakaćby was należało, gdybyście tylko śmiertelnikami byli!!“

P o w t ó r z e n i e wypływa z chęci przekonania drugich o tem, o czem piszący sam mocno jest przekonany, lub z silnego bardzo uczucia, które zdaje się mimo swej wiedzy wracać się ciągle do głównego swego przedmiotu. Wtedy wypowiadając kolejno przekonania swoje, po każdym z osobna powraca on do tego pojęcia, do którego odnoszą się wszystkie, i powtarzaniem takim, dobitniej siłę uczucia, i jaśniej obraz myśli swoich maluje. I tak w jednej z swoich mów pogrzebowych kaznodzieja ¹⁾ przechodząc myślą wszystko, co jest złem i nagannem na świecie, ciągle powtarza wyrazy, któremi to złe potępia, aby wydać cały swój wstręt do tegoż.

„O gdybym mógł w tej chwili wydobyć z zimnego już serca twego choć jedną iskrę tej prawdziwej i pełnej

¹⁾ Ks. Janiszewski.

czynu miłości; gdybym mógł tym ogniem słowa moje zapalić i ciskać niemi w serca wasze, *palilibym* i *niszczyłbym* najpierw te pęta i okowy pychy i próżności, często nawet dziecinnej, któremi znaczna część serc skrzepowana; *palilibym* i *niszczyłbym* te drobiazgowy względy i uprzedzenia ludzkie, które chcą być pierwszej odważone na szali zasług, nim przystąpią do czynu; *palilibym* i *niszczyłbym* te języki uzbrojone jadem i te sądy nawskróś żółcią przesiąknięte, które lubią kłaść to, co jest bez skazy; *palilibym* i *niszczyłbym* tę złość szatańską, co zrywa najświętsze węzły braterstwa; *palilibym* i *niszczyłbym* tę pajęczynę hałasu i wrzasku o poświęcenie dla dobra ogółu, gdzie gardło pełne krzyku, a ręce próżne dobrych uczynków“.

Ślicznym i wymownym przykładem powtarzania wyrazów, z silnego uczucia płynących, jest wyjątek z Glossy Śtej Teresy, która w uniesieniu duszy woła do ukrzyżowanego Jezusa:

„Albo Ty myślisz, o Ty wiecznie żywy
Ze Ciebie kocham za przysze nagrody,
Za obiecane w królestwie Twem gody,
Za palmy, — harfy, — i cuda — i dziwy,
Za jakąkolwiek bądź w niebie zapłatę,
Którabyś spłacił mi dni mych utratę?
Ja kocham Ciebie, żeś był nieszczęśliwy!
Że przebolełeś to wszystko, — co boli!
Że zniosłeś wszystko, co tylko poniża,
Ty Bóg, w kajdanach cielesnej niewoli,
Ty Bóg przez katów prowadzon do krzyża.
Ja Ciebie kocham, że Cię o tej chwili
Niebo odbiegło — i ludzie zdradzili!
Ja Ciebie kocham, żeś był przymuszony
Wołać do Ojca: „O jam opuszczony!“
Ja Ciebie kocham za Twoje konanie
I za śmierć więcej, niż za Zmartwychwstanie“.

Zyg. Krasiński.

Wincenty Pol pojedynczym, wciąż powtarzanym wyrazem przekonywa dobitniej o prawdzie słów swoich, niżby był tego dokazał, coraz to innym go zastępując w tym ślicznym z *Rybki* wyjątku:

„Biedni wy ludzie! że wy też nie wiecie,
Co to być *małym*; gdybyś ty był rybką
Taką swobodną i lekką i szybką,
I taką *małą* jako ja na świecie,
Jakby ci dobrze było w słońcu chodzić!
Boć to tak *małej* niema nawet wędki,
Nietylko wędki, ale nawet chętki
Niema tak *małej*, aby na mnie godzić!
Więc to, co *małe*, to bywa i całe,
I niby święte, i zdrowe, i hoże,
Czyste, swobodne, i żywe, i Boże,
I rade sobie, i rade drugiemu,
I nie zawadza cudzemu ni swemu,
Boć rade temu, co mu padło w dziele,
A silne liczbą, boć to tego wiele,
A między *małym* bywa sojusz wierny
To i Bóg temu bywa miłosierny.
I mrówka *mała*, a cały świat schodzi;
I pszczołka *mała*, — a życie nam słodzi;
I ziarnko zboża *małe*, — a świat żywi;
I piasek *mały*, — a skała cię dziwi;
I perły *małe*, — a jakie to cenne;
I kropla *mała*, — a co wody w stoku;
A z wód niewielkich, to morze bezdenne.
Mała żrenica — a cały świat w oku.
Alboż i gwiazda — a światło jej czyste,
I jakież piękne to niebo gwiazdziste!“

Opuszczenie — tak samo jak powtórzenie ma na celu wyrażenie z całą dobitnością myśli, żywo nas

przejmującej, ale jest sztuczniejszą od powtórzenia postacią, bo dążąc do głównego punktu przekonania swego mówca zapowiada: że wszystkie inne okoliczności pomija, a tymczasem niby je opuszczając, jedno po drugim umysłowi czytelnika, czy słuchacza, przedstawia, aby przedmiot swój wyczerpać zupełnie i z każdej dotknąć go strony — np.:

„Religia onych czasów tak wkorzenioną była we wszystkie serca i uczucie, że *nie mówię* już, wszystkie czyny zaczynały się w Imię Boga w Trójcy świętej jedynego, a kończyły się słowem biblijnem: Amen; *nie mówię*, że wymówione głośno Imię Chrystusa Pana, albo Matki Najświętszej najzaciętsze bitwy uspakajało; *nie mówię*, że i najburzliwsze pasy uspokojenie się swoje wpływowi wiary świętej miały do zawdzięczenia: ale nawet umysły szalone i obłąkane dawnymi czasy kończyły zwyczajnie na tem, że się przerzucały w melancholię nabożeństwa i religijności“.

Zyg. Kaczkowski.

Przemilczenie jest jeszcze jednym sposobem uwydatnienia swych myśli, przez całkowite urwanie mowy w chwili, gdy wypowiedzieć je mamy. W gwałtownem uniesieniu, trudno jest człowiekowi znaleźć wyraz odpowiedni swemu uczuciu i wtedy wypowiada je wymowniej milezeniem, niżli wieloma słowami.

Idąc za wzorem tego naturalnego uczucia, mówca czy pisarz, takiej postaci przemilczenia używa wtedy, gdy czytelnikowi, czy słuchaczowi, chce dać pole do domysłów szerzej zakreślonych, niżby się w jednym wypowiedzianem zdaniu zamknąć one dały, zawsze jednak źródło tej po-

staci tylko z głęboko poruszonego uczucia wyprowadzać powinien.

Tak Szajnocha, na odmalowanie zgrozy krzyżaka przerażonego mniemanem okrucieństwem Polaków, zrywa wątek jego myśli w ten sposób:

„Krzyżak ujrzał się nagle w stolicy narodu, który swoim nieprzyjaciołom brodę ze skóry obdziera i w kościele jako pobożne zawiesza *wotum*. Miłe odkrycie zjechawszy na wesele! Nuż, który z tych dzikoludów poczuje w sobie ducha podobnej pobożności!... Potrzeba tylko zwykłej zwady weselnej, aby... Strach zdjął Krzyżaka“.

I. N. Jaśkowski w swej elegii nad mową ojczystą w nadmiarze uczucia takim też przemilezeniem główną swą myśl pokrywa:

„Bo widzicie i nasi bładzili przodkowie,
Byli nadto szlachetni, żyli za poczcziwie,
A ścigając Rzymiany w radzie, w boju, w mowie,
Zapomnieli, że kwiaty wiedną na ich niwie.
Lecz czasy były inne, — czas zmazuje winy,
Dla nich grody złociste rozwierały bramy...
Oni kordem pisali bohaterskie czyny,
Oni byli Rzymianie, a my... a my... a my...“

Tak *Konrad* Mickiewicza rozmarzony wspomnieniem ubiegłej przeszłości, urywa nagle wołanie swoje o piosnkę:

„Starcze! graj nutę, tę nutę dziecinną,
Którą w dolinie... O był to czas błogi,
Na tę muzykę zwykłem zawsze nucić...
Wracajże starcze! bo przez wszystkie bogi
Niemieckie, pruskie... Starzec musiał wrócić“.

Apostrofa, jest to zwrócenie mowy do osób obecnych, czy nieobecnych, czy nawet i do rzeczy martwych, i we wszystkich pismach z uczucia płynących i do uczucia drugich skierowanych; w mowach sejmowych i pogrzebowych niezmiernie wiele mocy i żywości wysłowieniu całemu nadaje. Tak Woroniec zwraca się w modlitwie do Boga i mówi:

„Boże Ojców naszych! Boże Patryarchów szeroko-
władnego w świecie rodu sławiańskiego! Pojrzyj łaskawie
na te milionowe roiska walecznych ludów i daj im uczuć
wysokie w Twych wyrokach przeznaczenie, które od ich
wzajemnej zgody, szacunku, przyjaźni i miłości brater-
skiej zawisło“.

A ksiądz Skarga wspomniawszy na żyjącego przed
wieki Zorobabela, jakoby do obecnego tak mówi:

„O błogosławiony miłośniku braciej twojej! Nie
ruszyło cię ono złoto i dobre mienie, i cześć ona po
królu wtórym być i świat rządzić i u ludzi tak wielką
sławę mieć; wszystkoś to porzucił i podeptał, abys ojczy-
źnie i braci swej Rzeczpospolitej służył. Wolales sam po-
niżonym być, aby ona głowę podniosła; wolales zostawać
ubogim, aby ona zbogaciała. Darowales matce swej wszyst-
kie pociechy swoje; wylales na nią wszystko szczęście
swoje, w jej dobrem i powstaniu i rozmnożeniu wszystkie
dobra swe zamykając!“

W poezyi piękny także zwrot myślom nadaje taka
apostrofa, jakiej przykładem może być następujący wyją-
tek z wiersza *Do sosny*:

„Mieszkanko boru, uboga sosno!
Skąd twe konary tak dzielnie rosna,

Ze śmiesz unosić w obszar nieścisły
Czoło, ostre zjeżone igły?
Powiedz, co tobie miłość mą jedna?
To — żeś bezbarwna, żeś taka biedna,
A przecież w górę spoglądasz śmiało,
Jak ubogiemu patrzeć przystało.
Zielona sosno! za toś mi droga,
Ze pierś twa nie wie, co znój, co trwoga;
Gdy wiatr pogwizdem zamieć ci wróży,
Wytrwale czoło nadstawiasz burzy.
Choć biedna, w szarej odziana korze,
Rychlej grom jednak pierś twą rozporze,
Niż twe ku ziemi nagnie ramiona
Zielona sosno, siostró rodzona!...

Hyperbola jest to przesadnia, której używamy wtedy, gdy w poruszeniu jakiego gwałtownego uczucia, granice prawdy przechodzimy. Człowiek w chwili uniesienia żywiej wszystko czuje i jakby przez powiększające szkło patrzy się na to, co go dotyka, a wtedy stosując swe wyrażenia do wrażeń, mija się z prawdą, ale daje wierny obraz usposobienia swojego. I tak: gdy matka mówi, że: *„we łzach skapaćby dziecko swoje mogła“* niema zapewne w tych jej słowach prawdy rzeczywistej, ale jest prawda jej uczucia; w twierdzeniu że: *„w jednej chwili wieki przeżyć można“*, jest także przesadnia co do czasu, ale maluje się w niej cała siła wrażeń, jakie ją wywołało; w codziennem życiu często używamy tej postaci, nie myśląc o tem bynajmniej, bo idąc tylko za swoim wrażeniem mówimy: *zbladła jak śmierć; upadła jak bomba; piorunem ta wieść przybyła, idzie żółtym krokiem* i t. d. Poeci, powieściopisarze, często używają hyperboli płynącej z ich żywej wyobraźni,

i może ona być piękną ich pisma ozdobą, ale zawsze najwłaściwszą i najpiękniejszą jest wtedy, gdy źródłem jej jest uczucie. Woronicz w jednej ze swych mów powiada: że „*zaleknione wiry Elstery przyjmując ze drżeniem pluszczące ranami zwiłoki, ponurym szumem i jękiem odmęty Oceanu przestraszyły*“ a w innej wspomina: „*wielkoludów, którzy temi Karpatami za brzegi mórz ciskali*“. Obie te przesadnie wypowiedziane w żywym uniesieniu zupełnie inaczej się wydają jak taka, w której ani prawdy, ani uczucia nie widać jak np. w tem wykrzyknieniu z powodu sukni ognistego koloru ¹⁾. „*Baronowo! chcesz miasto podpalić? te oczy i ta suknia, to pleonazm*“. Śliczny przykład hyperboli z uczucia płynącej dał także W. Pol w następującym ustępie z opowiadania Mohorta:

„Nie wiem, gdzie biegłem i dokąd ją niosłem,
Ale nad dachy i dęby urosłem.
I jakaś siła od ziemi mnie niosła,
I trumna w rękach ku niebu mi rosła“.

Ironia powszechnie za złośliwość uważana i rzeczywiście ostrą i dotkliwą wymówkę ukrywająca często, częściej daleko pod postacią: żartu, pochwały, lub przygany ze wsteczną myślą użytych, jest tylko grzecznem wypowiedzeniem prawdy, i dowcipem zastępuje nieraz niedelikatność obrażających wymówek, sprzeczek, krytyk i t. d.

Ironia, jako żart, najwybitniejszą jest we wszystkich satyrach Krasiekiego, z których śmiać się musieli nawet dotknięci niemi, jak: w *Pijaństwie*, w *Modnej żonie* i innych.

¹⁾ Komedya: Niewinne zaloty.

Ironia występująca jako przygana rzeczym dobrym, zacnym, lub jako pochwała dla nieuczeiwych, lub śmiesznych, ma na celu osoby trzecie, a nie te, o których zdaje się mówić. Np. jako pochwała:

Towarzystwa przykładzie, pracowite pszczoły,
Wpółród waszych zabiegów i skrzętej mozoły,
Któraż, chociaż ma porę dokazania snadnie,
Miód z pracą od sąiadki zbierany ukradnie?
Nasz to tylko przywilej, więc bądźmy nim dumni:
Zwierzęta złe i głupie; — my dobrzy, rozumni.

Krasicki.

Cobyś Wasza Ks. Mość rzekł, gdybym mu powiedział, że na sejmach nawet wierszami gadają? Jeżeli Opatrzność Boska nad polskim ludem zmiłować się nie raczy, proza — nawet z potocznej mowy wypędzona będzie. *To jednak przyznać trzeba, że poeci nasi w nagrodę tego, prawie wszyscy wiersze prozą piszą*“.

Węgierski do Krasickiego.

Jako przygana:

„Są inne dusze — głupcy! waryaty!
Co woła słomę domowej chaty;
Co wśród pomarańcz i ananasów,
Co wśród palm, pragną sosnowych lasów;
Gminne ich zdrowie bardziej przywykło
Karmić się szczawiem lub swoją ćwikłą.
Poradźtu z grubą duszą Litwina,
Co swej dzikości nie zapomina...
Co swą lepiankę, swych borów liście,
Kocha ogniście, kocha wieczyście;
Który rwąc z drzewa pomarańcz złoty,
Za szyszką sosen ginie z tęsknoty.
Co otoczony natury blaskiem,
Za dzikim borem, za żółtym piaskiem

Jak za kochanką tęskni kochanek.
Tak się dziwaczył, tak tęsknił Janek
Widząc na murach złożone szczyty,
On wolał domek słomą pokryty.
Nieuleczony, dziwny szaleniec!...
On w kraju pszenным śnił żyta wieniec!“

Syrokomla.

Ironia złośliwa już nietylko z dowcipu, ale z bardzo gorzkiego uczucia wypływa, z jakim J. N. Kamiński w balladzie *Bajazzo* mszcząc się za lekkomyślność ludzi, wśród śmiechu których umiera człowiek z boleści serdecznej powiada, że nad jego trupem:

„Noc razem ze świerszczem głuchą pieśń śpiewała,
Publiki nie było, — a małpa się śmiała“.

Jest nakoniec jeszcze jeden rodzaj ironii bolesną nazwanej, która jest wyrazem najwyższej, niemającej już łez, więc przerzucającej się w śmiech, boleści, albo też jest dumą i odwagą nieszczęścia, które szyderstwem z siebie zasłania się przed litością ludzi i tem smutniejsze robi na drugich wrażenie. Np. w piosence:

Co mam nie być wesoły?
Mym majątkiem dwa doły,
A w tych dołach złożona,
Z małym dzieckiem ma żona.
Oj ta dana, ta dana,
Doloż moja kochana! i t. d.

Co mam nie być wesoły?
Spaliły się stodoły,
Grad mi zboże wymłócił,
Nie będę się już trudził,

Oj ta dana, ta dana
Doloż moja kochana! i t. d.

Przekleństwo służy do wypowiedzenia gwałtownych i namiętnych uczuć, które w uniesieniu, lub w oburzeniu szlachetnem, w tej formie się wylewając, z nadzwyczajną mocą je malują i silnie na umysł i duszę działają przejmując ją przerażeniem i zgrozą. W poemacie S. Pruszkowej: *Dwie Gwiazdy*, w tłumaczeniach Odyńca: *Czciociele ognia* z Moora i *Dziewicy Jeziora* z Walterskotta są piękne tej postaci przykłady, z których najwymowniejszym, jest następujący:

„Hańba i biada z ojca na syna,
Kto krzyż ten widzi, a zapomina,
Że rósł na grobach klanu Alpina,
Gdzie dawnych wodzów jego rodzina
 Śpi w cieniu drzew tych opieki.
Niech zdrajca w nędzy wlokąc swe lata,
Nieopłakany schodzi ze świata!
Prochami jego wiatr niech pomiata!
Przekleństwo ojca, syna i brata
 Niechaj go ściga na wieki!
Gdy krzyż ten zacznie krążyć po klanie,
Przeklęta noga, co z nim ustanie!
Przeklęta ręka, co go odrzuci!
Przekłęte oko, co się odwróci,
 I serce, co się przeleknie!
Niech nieuczczone ziemskim pogrzebem,
Czerw zwłoki zdrajcy toczy pod niebem!
Sęp niech mu serce, kruk oczy wyje,
Jako ta ziemia stosu krew pije,
Krew jego w ziemię niech wsięknie!
Jako ta we krwi iskra błyszcząca
W nocy bez słońca, w mękach bez końca

Niech zgasną zdrajcy powieki!
Niech ten krzyż godło ludzkiej pociechy,
Co wszystkie ludzkie odkupił grzechy
Jego potępi na wieki!“

„Dziewica Jeziora“.

Błaganie zazwyczaj jest prośbą o upragnione rzeczy, ale jako postać mowy, może być ślicznem wypowiedzeniem życzeń, albo marzeń, choćby do ziszczenia niepodobnych wcale, ale z głęboko wzruszonego serca się rwących. I tak Zyg. Krasiński nieokreślonej tęsknocie swej duszy daje formę błagania, i woła do przyjaciela swego.

„O daj mi skowronka głośną nutę w błękitach! Daj śpiewy słowików i noce daj mi letnie, i księżyc — lampę miłości, lub urnę zmarłych bogów, jeżeli nań patrzysz z pod bram Kolizeum! Daj mi lasy szumne głosami Boga, gdy po wierzchołkach dębów i sosen zacznie biec dreszcz wiatrów! Daj pola nieprzejrzone traw zielonych lub rozbijałych kłosów! Daj mi, co chcesz, byleby to, co dasz, było życia obrazem lub dźwiękiem“.

Zyg. Krasiński.

A Bohdan Zaleski, zamiast powiedzieć, że dla niego Ukraina jest niebem, w uniesieniu uczucia swojego zwraca się do Boga z błaganem wypowiadającym całą jego siłę w tych słowach:

„ — — ... Miłość i tęsknota,
To jak dwie prądkie naszego żywota.
Bożeż mój, Boże! ... łzami modłę Ciebie
Jak umrę, — daj mi Ukrainę w niebie!“

Farys Karola Balińskiego w odpowiedzi na obietnice proroka, również w formie błagania wypowiada swoje marzenia, gdy mówi:

„Nie chcę huryssy choćby piękniejszej
Od tej, com niegdyś kochał na ziemi...
Lecz ja nie gardzę dary twojemi,
Ja tylko łaski błagam pełniejszej:
Za wszystkie, wszystkie twoje huryssy
Niech wstaną moi bracia *Farysy*!
O pozwól! pozwól! choćby na chwile
Zstąpić nam jeszcze w nasz kraj cyprysów,
I w dawnej naszej młodzieńczej sile
Pobujać orlim lotem *Farysów*!
I piersi dawnem orzeźwić biciem
I dawnem naszym zabłysnąć życiem...

Prozopopeja jest to wyższy stopień *personifikacji*, bo przez nią, nie tylko że istotom i rzeczom martwym nadajemy myśli, uczucie i ruch, ale jeszcze przypisujemy im mowę. W mowach pochwalnych, pogrzebowych, kościelnych, postać ta wspaniała jest ozdobą, gdy mowca własne swe myśli i uczucia kładzie w usta nieżyjących już osób, kraju całego, a także i przedmiotów jakichś, aby usuwając osobistość swoją, przez pośrednictwo innych, silniej na umysł i uczucie słuchaczy mógł działać.

Tak ks. Antoniewicz na gruzach spalonego w Krakowie kościoła pyta się wieży „pozostałej i stojącej jak widmo“.

Ależ wieżo! gdzież dzwony twoje? „A wieża mu odpowiada:“ Dzwony moje milczą. Długo dzwoniły jęcząc groźbą i prośbą do ludu całego, aby się nawrócił: bo gniew Boży nad głowami naszymi nad miastem naszym!

Ale napróżno! nikt jęku ich nie usłuchał, nikt jęku ich nie rozumiał...

W powieściach, i wogóle w pismach głębszem nacechowanych uczuciem, prozopopea podnosi i uwydatnia te uczucia żywo, niezmiernie wiele wdzięku i poetycznej barwy im dając. Tak p. Rautenstrachowa w swych podróżach p. t.: *W Alpach i za Alpami* w ten sposób każe brzozie wypowiedzieć własne swoje wrażenia i myśli:

„Część drogi przeleciawszy tęsknie i bez celu, błędzące oko spostrzegło przy drodze niedbale zwieszoną brzozę w białej swej szacie, z lekkimi na wiatr puszczonymi warkoczy... a widok tego rodzinnego drzewa nieznanego na południu inne obudził, a zatarł tamte wrażenia.

Byłato jakby na spotkanie z domu przybyła siostra... zdało mi się słyszeć czule wymówione słowa: „Czyś już zapomniała rodzinną twą strzechę?... gdzież się w twej duszy podziały wspomnienia lat dziecińczych... młodzieńczych marzeń... co może pod obcem nie zakwitłyby niebem!... Czyż nie słyszysz tego głosu, co mówi: pamiętaj i kochaj!“

O prozie i jej rodzajach.

Wszelkie pismo, dające obraz rzeczywistości, nazywa się prozą, która, ściślej ją określając, ma na celu przekonać, nauczyć, i malować istotną tylko prawdę, wszelkie upiększenia, idealizowanie, działające na serce, zostawiając poezyi.

Z takiego więc określenia wynika, że ze względu na ducha jakiegoś pisma niejedne wiersze, choćby udane nawet, najpospolitszą są prozą, gdy nierymowana mowa najczystsza poezją być może; ze względu jednak na formę, zazwyczaj wszystko, co nie ujęte rymem zaliczamy do prozy, a nazywamy ją piękną, gdy nie tylko na rozum, lecz na duszę, serce i wyobraźnię już działa.

Przedmioty jej są różne, i pisarz zarówno jak poeta, bierze je albo ze świata zewnętrznego, czyli materialnego, albo z wewnętrznego czyli duchowego, albo też oba te światy łączy, wykazując ścieranie się uczuć człowieka ze wszystkimi wpływami i okolicznościami, jakie przeciw nim występują do walki, i odpowiednio do źródła, z którego płyną, różne stanowią rodzaje.

Jedne z tych pism mają na celu stosunki rodzinne

i społeczne; drugie — kształcenie młodego pokolenia, inne zatrzymanie w żywej pamięci ubiegłej już przeszłości, jeszcze inne uszlachetnienie obyczajów, wykazanie prawdy, podniesienie ducha, a każde znów odpowiednio do celu i zakresu, jakie im piszący naznacza, właściwą formę przybiera.

Najważniejszymi z tych różnych rodzajów prozy są: listy, rozmowy, pamiętniki, żywoty, historia, opisy, mowy, powieści, a z pomniejszych w swoim zakresie są różne broszury, recenzje, krytyki, i t. p.

Wybierając z nich co najpowszedniejsze i najprzystępniejsze dla ogółu, zajmują nas najwięcej następujące:

L i s t.

Najpowszechniejszym i przez wszystkich uprawianym rodzajem pisma jest list, bo poprostu zastępuje rozmowę ustną między osobami, miejscem oddalonymi od siebie. Zwyczajną treścią jego są: rodzinne i serdeczne stosunki, interesa, prośby, lub obowiązkowe zadosyćuczynienie grzeczności, to jest: wszystko, co jest zwykłą treścią rozmowy, a list dobrze napisany powinien być wernym naśladowaniem pogawędek takich: Styl jego ma być jasny, naturalny i zastosowany do okoliczności pod wpływem których się pisze, i niema dla niego żadnych innych przepisów prócz tych, jakich przestrzegają w mowie dobrze wychowani ludzie, mający wzgląd na osobę, do której się odzywają, a także na przedmiot i cel, w jakim list do niej chcą pisać. Niema również żadnej stałej formy na początek i koniec listów serdecznych i poufałych, bo

tylko w pisanych do osób starszych wiekiem lub znaczeniem, koniecznem jest zatytułowanie go odpowiednie i umieszczenie na końcu kilku wyrazów zapewniających ich o takim uczuciu, jakie im od nas należy.

Zaczęcie listu, do równych nam i blizkich osób pisanego, powinno odpowiadać temu pierwszemu poruszeniu serca, z jakim piszący odezwałby się do osoby stawającej przed nim, i niecierpliwe pytanie, czy energiczna odpowiedź, dowcipny żart, czy wykrzyk smutnego uczucia, bez żadnych wstępów, zarówno są właściwe, jeżeli z duszy, czy chwilowego usposobienia wypłyną. Dalej, tak jak w potocznej mowie, tak samo i w liście po pierwszym i nieobrachowanym słowie nastąpić powinno wynurzenie tego, co się w czasie niewidzenia uczuło i stało, a idąc za kolejną ważności tych wydarzeń, lub wrażeń, (bez zostawiania głównej rzeczy na koniec lub przypisek) należy przeplatać opowiadanie tu pytaniem, tam wykrzyknikiem, tak, jak to w zwykłej rozmowie ma miejsce. Choćby zaś te wszystkie wieści były najrozmaitszej i najsprzeczniejszej treści, przecież w ten sposób wypowiedane być winny, aby się z sobą wiązały jakimś, życiu naszemu naturalnym, zwrotem od wesołej do smutnej, od lekkiej do poważnej rzeczy i wtedy będzie to coś nakształt mazaiki, co z tysiąca drobnych ułożona części, przecież jednolitą utworzy nam całość. Przykładem takich listów bywają najczęściej listy kobiece dla wrażliwego ich uczucia i żywej wyobraźni, z jaką chwytają drobnostki pomijane zwykle przez poważniejsze i głównej rzeczy szukające umysły; nie brak jednakże w literaturze naszej ślicznych wzorów listów rodzinnych i poufałych wyszłych

z pod pióra znakomitych naszych poetów i pisarzy jak: Zyg. Krasińskiego do swoich dzieci i przyjaciół, Ed. A. Odyńca do Korsaka, i innych.

Że główną cechą tego rodzaju pisma jest naturalność i zupełna swoboda wyrażen, stąd też wiele rodzajów prozy podszywa się pod tę formę, aby uprzystępnąć to, co z swej treści, pod inną formą, byłoby nazbyt poważnem. I tak: formę *listów* przybierają przedmioty nauki, sztuki, rozpraw politycznych, bo dają pole do wypowiedzenia własnych swoich myśli i oderwanych spostrzeżeń i takimi naukowymi listami są: Ig. Krasickiego o ogrodach, Hugo Kołłątaja w kwestyach politycznych i w przedmiotach naukowych; Kaz. Brodzińskiego o języku polskim; J. Kremiera o sztukach; Zyg. Krasińskiego, w przedmiotach uczuciowych i literackich i t. d. W taką formę *listu* oblekają się także powieści, gdy idzie o to, aby w listach kilku osób wzajemnie piszących do siebie, główne tylko uwydatnić fakta, lub pewne charakter, wydarzenia i uczucia w jasnem nam świetle wystawić, gdy każda z biorących w nich udział z innej strony maluje, albo gdy w listach jednej osoby tylko, mają się zawrzeć różnorodne i oderwane, lecz tworzące piękną całość: zdarzenia, spostrzeżenia i myśli. Taką powieść prawdziwie nauczającą historyczną treścią, a pełną uroku prostotą opowiadania, utworzyła Kl. Hofmanowa w *Listach Elżbiety Rzeczyckiej* a w takich jak *Krystyna* (też) jak *Pierścionki babuni* (Wojnarowskiej) najpiękniejsze myśli, zasady i uczucia również są w *listach* zamknięte.

R o z m o w y.

Rozmowy czyli dyalogi, jako proste następstwo pytań i odpowiedzi, odznaczające się, jeżeli można, jeszcze większą naturalnością niż listy, są nadzwyczaj dogodną formą dowodzenia jakiejś zasady, czy prawdy, przez zadawanie pytań wyczerpujących ją do dna, przez zbijanie zarzutów jej czynionych, i przez zestawienie różnych o niej i pojęć, i sądów. Osoby więc do niej wchodzące muszą się różnić, albo stopniem wykształcenia, gdy idzie o rzecz nauki; albo poglądem i charakterem swoim, gdy idzie o ocenienie zasług i obyczajów ludzi, i rozmowa taka w pierwszym razie: *filozoficzną*, w drugim *satyryczną* ze względu na tę, czy ową treść będzie.

Starożytni pisarze tej formy używali często, a greccy filozofowie jak Platon, Sokrates i inni, pierwsi jej wzór podali. Ignacy Krasicki na wzór Lucjana (również greckiego pisarza) pisał: *Rozmowy zmarłych* w których sławni mężowie nasi ze sobą, jak np. Kazimierz Wki z Bolesławem Chrobrym, lub ze zmarłymi w starożytnym świecie, jak Stefan Czarniecki z Fabiuszem, Piast z Daryuszem, wiedli te rozmowy dla uwydatnienia wzajemnych zasług swoich. W dawniejszej naszej literaturze mieliśmy także rozmowy Reja: *Wyrwasa z Dykasem*, *Plebana z kmiotkiem* i inne; Górnickiego Łukasza: *Rozmowa Polaka z Włochem* o niestalej u Polaków odzieży, w dzisiejszych zaś czasach rozmów użyto dla rozwijania w dzieciach pojęcia o cnocie i nauce, bo forma ta, czyni nadzwyczaj łatwym i popularnym wykład przedmiotów poważnych, dając sposobność wyjaśnienia ich w najprzystępniejszy sposób. Roz-

mowy takie pisał St. Jachowicz, Kl. Hoffmanowa prze-
ważnie w rzeczach moralności dotyczących, a w rzeczach
nauki odznaczają się: *Wieczory Czwartkowe*, traktujące
fizykę z przedziwną łatwością i prostotą przy całej grun-
towności przedmiotu.

Żywoty czyli biografie.

Jak wiele pism innych tak i biografie, czyli pi-
sanie żywotów znakomitych ludzi, od Greków początek
swoją wzięły, a upowszechniły się wielce z powodu nauki,
jaką nam w żywych przedstawiają przykładach. Pamięć
pozagrobowa jest na ziemi najwyższą i jedynie może
godną nieśmiertelnego ducha nagrodą lub karą za jego
czyny i uczucia. Kto więc za życia miał jakieś ważne do
spełnienia zadanie, tego charakter i czyny, a nawet i słowa,
poddają pod sąd współczesnych, by hołdem mu złożonym
potomnych zachęcić, lub potępiającym go wyrokiem po-
wstrzymać ich od naśladowania tegoż. Takiemu sądowi
głównie podlegają ludzie biorący udział w sprawach kra-
jowych czy to mieczem, czy piórem, czyli też słowem
żywym, a wtedy biograf maluje epokę w jakiej żyli, wy-
padki, w których czynny udział brali, pracę, jakiej do-
konali, i z historyczną ścisłością przedstawia moralną i umy-
słową ich stronę. Do historii i literatury takie biografie
są konieczne; w pierwszej: dla sprawiedliwego osądzenia
czynów człowieka według pobudek, jakimi się kierował,
w drugiej: dla sprawiedliwego ocenienia prac jego umy-
słu, względnie do ducha czasu, i indywidualności pisarza.
Takich ludzi żywoty pisali: And. Trzeciecki: Żywot Mi-

kołaja Reja; Jan Śniadecki, Naruszewicz, Hoffmanowa, Bartoszewicz, Pruszkowa, Wł. Wójcicki i inni.

W Cmentarzu Powązkowskim wydanym p. K. Wł. Wójcickiego znajdują się także pięknie skreślone żywoty nie tylko głośnych w świecie, ale i takich ludzi, co nie występując poza granicę prywatnego, rodzinnego życia, zasłużyli jednak na bardzo chlubną pamięć, przez cnoty swoje i ciche, a gorliwe spełnianie obowiązków powołania swego.

Pamiętniki.

Pamiętniki, są to pismem zebrane osobiste wspomnienia ludzi, którzy, albo wiele czuli i chcieli swemu sercu ulżyć tym sposobem, albo jakiś udział brali w ważnych wypadkach krajowych i chcieli je upamiętnić, zapisując wszystkie swe czyny i koleje życia, a także i wydarzenia, które przed ich oczyma płynęły.

Ważny to rodzaj jest pisma, bo pamiętniki takie, mogą być bogatym dla historyi materiałem, a w każdym razie zajmują one żywo, dając obraz życia, wyższych zazwyczaj umysłem, czy stanowiskiem ludzi. W starożytnych jeszcze czasach, już zajmowano się ich spisywaniem, i doszły nas pamiętniki Juliusza Cezara o wojnie z Gallami; w naszej zaś literaturze, od XVII-go wieku coraz więcej upowszechniać się zaczynały. Z tego to wieku mamy wysoko cenione pamiętniki Jana Chryzostoma Paska, który w swych zapiskach dla siebie samego czynionych, zostawił nam dokładny obraz społeczeństwa mu ludzi i obyczajów. Z XVIII-go wieku mamy pamiętniki: Karpińskiego, Niemcewicza, Jędrzeja Kitowicza i innych,

zawierające historyczne fakta podczas panowania Augusta III-go i Stanisława Poniatowskiego zebrane, a jeszcze późniejsze czasy dały życie wielu bardzo pamiętnikom, przez różnego stanowiska ludzi pisanych.

Formę pamiętników przybierają: charakterystyczne obrazy ubiegłej już przeszłości, — jak np.: *Pamiętniki kvestarza Ignacego Chodźki* i *Pamiętniki Soplicy*, Rzewuskiego, a także i powieści głęboko uczuciowe, w których autor głównym osobom każe wszystko samym o sobie mówić, aby ich wrażenia, uczucia i myśli z najsubtelniejszą ścisłością odmalować się mogły. Do takich powieści należą: *Wspomnienia wygnanki* P. Kraków; *Pamiętniki młodej sieroty* tejże; *Pamiętniki Wacławy Elizy Orzeszkowej*, i inne, a na czele wszystkich postawić należy *Dziennik Franciszki Krasińskiej* przez Kl. Hoffmanową pisany, który ślicznym, i prawdziwie znakomitym jest jej utworem.

Historya.

Historya jest obrazem przeszłości i wiernem zebraniem wypadków, składających się na losy pojedynczych, lub wielu razem narodów i odpowiednio do swego zakresu jest powszechną, lub szczegółową tylko.

Początek historyi jest w kronikach, czyli rocznikach, spisywanych po klasztorach przez zakonników, którzy je pisali w języku łacińskim, z powodu niewyrobień polskiego. Kroniki te jednak kraj cały obchodziły, bo zbierano w nich nietylko dowody poczynionych klasztorom nadań i fundacyi, ale zarazem kreślono wypadki rodzinne i czyny fundatorów klasztornych, którymi, że zwykle by-

wali książęta i panowie znakomici, wielkie znaczenie w sprawach kraju mający, stąd życie każdego, było częścią życia narodowego i na całość się jego składało.

Te to kroniki, wraz z podaniami ludu, pamiątkami i dokumentami, stały się bardzo ważnym materiałem do utworzenia historii, która obejmuje nie tylko już wypadki polityczne i sprawy wojenne, ale i całe życie narodowe, malując dzieje kościoła, oświaty, przemysłu, handlu i wszystkich wydarzeń wpływających na wzrost, lub też upadek, narodu.

Zadanie historii jest wielkie i bardzo ważne dla potomnych czasów; wskrzeszając nam przeszłość ubiegłą, uczy nas ona zarazem, co z niej jak świętą po praojcach spuściznę przechować mamy w uczuciu, a co nam za smutną, lecz pełną nauki przestrogę na przyszłość może posłużyć. Z tego też to względu spisywanie dziejów narodowych o ile ważnem, o tyle jest trudnem dla historyka zadaniem. Nic tu jego uczucie ani wyobraźnia według swej woli tworzyć nie ma prawa; wszystko na autentycznych, pod ścisłą krytyką rozpatrzonych dowodach, opierać się musi, a historyczna prawda, zarówno nienawiścią do swych przeciwników, jak miłością do kraju swojego, naruszoną w niej być nie może. Sumiennosc bez granic, bezstronność zupełna, wyższość moralna nie lękająca się namiętnych sądów ludzkich, wykształcenie wysokie i wszechstronne, umiejętność wynajdywania i korzystania ze źródeł historycznych, są to niezbędne przymioty, jakimi historyk odznaczać się powinien.

Podróże.

Stosownie do celu, w jakim kto podróże swoje odbywa i opisuje, stają się one: naukowemi lub opisowemi, a nawet do działu powieści zaliczonemi być mogą. Naukowe — dają nam tylko statystyczne wiadomości o krajach zwiedzanych; opisowe — rzucają jeszcze światło na umysłowe życie ich mieszkańców, na ich obyczaje, na sztuki; powieściowe — urozmaicone są jeszcze osobistemi wrażeniami i przygodami piszących.

Między podróżami, jakie liczymy w literaturze naszej wyróżnia się: *Pielgrzymka do Ziemi Świętej* X. Hołowińskiego, którą przed nim odbył i opisał Mikołaj Radziwiłł Sierotka; *Podróż do Włch* Józefa Kremera, w której głównie miał na celu tylko sztuki piękne; *Kartki z podróży* J. Ig. Kraszewskiego; Podróże Kl. Hoffmanowej; *W Alpach i za Alpami* Łucyi z Gedroiców Rautenstrauchowej; *Miasta, Góry i Doliny* (też) wchodzą już w zakres powieści, a do tegoż rodzaju zaliczają się: Podróże Ewy Felińskiej po Syberyi, i Podróże Tripplina, które jednak, mimo wielu zalet stylowych, mianowicie dowcipu i żywości opowiadania, nie mają wielkiej wartości dla braku *prawdy*, która podstawą takiego pisma być winna.

Przysłowia narodowe.

Każdy z osobna naród, ma swoje własne przysłowia, w których zawiera prawdy moralne, spostrzeżenia czynione nad ludźmi i życiem, a są one tak dalece objawem jego osobistych uczuć i myśli, że nigdy dosłownie

na obcy język tłumaczonemi być nie mogą, bez zatarcia ducha, jaki się w nich odbija. Np.:

„Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Cudze ręce lekkie, ale niepożyteczne. Czego oko nie widzi, tego sercu nie żal. Póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie“.

Podstawą takich przysłów jest, albo jak w powyższych: prawda moralna; albo jaki wypadek historyczny, albo zdarzenie miejscowe, którego pamięć lud przechowuje i umie zeń zręcznie korzystać, zastosowując je do odpowiedniej mu okoliczności. I tak z historycznych są takie jak:

Sprawił się jak rycerz z Babińskiej wyprawy¹⁾.

Porwał się jak gdański burmistrz na polskiego króla²⁾. Plecie jak Piekarski na mękach³⁾.

Okolicznościowe:

Szkoda czasu i atłasu. Wyrwał się jak Filip z Kopni. Ślusarz zawinił, kowala powiesili. Wyszedł jak Zabłocki na mydle. Znać pana po cholewach i t. d.

W epoce Zygmuntońskiej zbierali te przysłowia: Salomon Rysiński i Grzegorz Knapski; później: K. Wł. Wójcicki, Maks. Fredro, Karol Lipiński, i wydali je dla przechowania wspomnień narodowych i dopełnienia dziejów ojczystych, wykazaniem ducha i obyczajów naszych.

¹⁾ Za Zygmunta II-go. ²⁾ Za Stefana Batorego. ³⁾ Za Zygmunta III-go.

Myśli i zdania.

Znakomici pisarze ¹⁾ gruntownie pojmujący treść życia ludzkiego, podstawę jego szczęścia, i obowiązki względem Boga, kraju i bliźnich, w krótkich, oderwanych zdaniach wypowiadali swoje przekonania, zawierając w nich wielką prawdę religijną, albo też moralną; piękny objaw zacnego pojmowania rzeczy, lub trafny pogląd na stosunki społeczne, i myśli te wraz ze zdaniami, jakich mnóstwo mamy w Piśmie Świętem, stanowią głęboką dla nas naukę, jak w przytoczonych tutaj na przykład:

Wierny przyjaciel jest mocna obrona; kto go znalazł, skarb znalazł. Jałmużna nie zuboży; prawda nie ohydzi, statek nie oszpeci, msza nie opóźni.

Prawdziwie mądrym jest, kto pełni wolę Boga, a swojej się wyrzeka. Prawdziwie jest wielkim, kto ma wiele ducha miłości. (Z pisma Świętego).

Dobrze czyniąc innym, sobie łaskę wyświadczasz; miłsze jest czucie prawemu sercu, gdy daje, niż gdy bierze.

Wiele umie, kto nie umie nad potrzebę. Nic nie sprawi, kto serca nie ma. Dość z siebie czyni, kto wykonywa, co może. Kto tylko tego szuka, co jest łatwem, nigdy tego, co jest wielkiem, nie znajdzie. Nie wymagaj niczego po ludziach, a wszystko ci odbiorą. Ten nie żył, po kim piękna pamięć nie została. Kto się na swój rozum zupełnie spuszcza, pyszny raczej, a nie mądry, i t. d.

Powieść.

Powieść, obszerny ma zakres i wysokie stanowisko zajmuje w literaturze tegoczesnej, ale u nas taka, jaką ją dziś znamy, dopiero od roku 1831 rozwijać się po-

¹⁾ Krasicki, Potocki, Woronicz, Mickiewicz, Morawski, Brodziński i inni.

częła, gdy po wielu próbach od końca XVIII wieku, aż do powyższej daty dokonywanych, na właściwą drogę dla siebie trafiła. Naprzód, wzięwszy za swój przedmiot życie polityczne narodu, jego obyczaje i jego potrzeby, pojawiła się w charakterze powieści: tendencyjnych i historycznych; w następnej zaś epoce jej rozwoju wyrobił się jeszcze rodzaj powieści: obyczajowych, moralnych i humorystycznych.

Najpierwszym pisarzem powieści był u nas Ignacy Krasicki, (urodzony w roku 1734 † 1801), który dał wzór do pisania powieści: *tendencyjnemi* (czyli *dążnościowemi*) nazwanych.

Powieść tego rodzaju ma na celu wykrycie wad społeczeństwa całego, lub jego pewnej części; wykazanie potrzeby zreformowania jakichś ustaw lub instytucyi, a wogóle dąży do poprawy obyczajów, i takieto dwie powieści Ig. Krasicki napisał. *Pan Podstoli* stawał jako wzór zanego i rozumnego obywatela kraju, a *Przygody Mikołaja Doświadczyńskiego* wykazały go takim, jakim byli wszyscy naonczas z ich lekkomyślnością, marnotrawstwem i zamiłowaniem obczyzny. W rodzaju *Podstolego*, i jakoby dalszy jego ciąg, napisał Massalski p. t. „*Podstolic, czyli czem jesteśmy i czem być powinniśmy*“.

Z nowszych pisarzy, w rodzaju tendencyjnych powieści, Jan Zacharjasiewicz odznaczył się takimi jak: *Święty Jur*, jak: *Na kresach* ze stosunków księstwa Poznańskiego schwyconą i *W przededniu* na późniejszych wspomnieniach osnutą.

Romans historyczny jest obszernego zakresu powieścią, będącej właściwie dopełnieniem historii ze

strony jej wewnętrznej, to jest, ze strony uczucia i myśli. Przedmiotem jej jest jeden wielki ustęp z dziejów narodowych, ubarwiony dodatkami i szczegółami z życia osób biorących w nim udział, w celu odmalowania wszystkiego, o czem historia przemilcza, a co ma ścisły z nią związek jak: rodzinne stosunki, zwyczaje, obyczaje, a nawet domowe urzędy, zabawy i ubiory z pewnej epoki schwytane. Walter-Skott, pisarz angielski, dał początek takim romansom ¹⁾ a za jego przykładem poszedł Julian Ursyn Niemcewicz, napisawszy powieść z czasów Zygmunta Augusta: *Jan z Tenczyna*; później: Feliks Bernatowicz, którego *Pojata córka Lizdejki*, czyli *Litwini* w XIV wieku była pięknym i starannie obrobionym romansem historycznym, trzymającym się ściśle *prawdy* ze względu na osoby, fakta historyczne, miejscowości opisywane, i ten był na obce języki tłumaczony. Dalej: Aleksander Bronikowski pisał także powieści, z których najpiękniejszą jest: *Hipolit Boratyński* z czasów Zyg. Augusta; dzielniejszym od niego malarzem historycznej przeszłości był: Henryk Rzewuski w romansie: *Zamek Krakowski*, a więcej jeszcze: w *Listopadzie*; Zyg. Kaczkowski, w takich ślicznych utworach jak *Dziwo-żona*, *Sodalis Marianus*, *Annuncjata* z czasów Konfederacyi Barskiej, *Bracia ślubni* z czasów St. Poniatowskiego, *Starosta Hołobucki* z tychże; J. Ig. Kraszewski w powieściach: *Kordecki*, z wojen szwedzkich; *Zygmuntowskie czasy* i innych.

Powieść obyczajową polską stworzył pierwszy Józef Ignacy Kraszewski i dał jej za tło całe życie społeczne

¹⁾ Tłumaczone przez Dmochowskiego.

ze wszystkimi jego cnotami i wadami, z jego marzeniem i rzeczywistością, zabiegami i zawodami, i odtąd to wszystko przedmiotem jest tego rodzaju powieści.

Slicznie się ona rozwinęła pod piórem swego twórcy, a także: Zyg. Kaczkowskiego, Józefa Korzeniowskiego, Zacharyasiewicza, Pługa i innych, i wysokie stanowisko w literaturze naszej zajęła, bo jest obszernem polem do wypowiedzenia głębokich prawd, szlachetnych zasad i do wpłynięcia na obyczaje społeczne. Stąd też każda powieść musi mieć jakiś cel, czyli założenie będące ideą pisarza, który ją w ciągu powieści rozwija i przeprowadza w ten sposób, aby w końcu, po przeczytaniu dzieła, była ona jasną i wybitną wśród wielu szczegółów i dodatków, służących tylko do plastyczniejszego jej uwydatnienia i zjednania dla niej przekonania czytelnika, a które to dodatki właściwie są tylko formą zewnętrzną, czyli tejsze *idei* sukienką.

Wielu jednakże warunkom powieść odpowiedzieć musi, aby była tem, czem być w istocie powinna; bo jeżeli który, to ten rodzaj pisma, w całym znaczeniu tego wyrazu powinien mieć za podstawę: prawdę, za środek do jej wykazania piękno, a za cel swój dobro, i brak jednego tylko z tych warunków odbiera jej prawo do uznania wszystkich innych w niej zalet.

I tak: w powieści wymagamy prawdopodobieństwa — co do charakterów i uczuć wprowadzonych osób, do obyczajów, wydarzeń i miejscowości w niej opisywanych; piękna — w pełnem wdzięku i uczucia malowaniu obranego przedmiotu, w obmyślaniu żywo interesujących wydarzeń i położenia działających osób, w wytwor-

nem i ozdobnem wysłowieniu, a wystrzeganiu się wszystkiego, co razi ucho dobrze wychowanych i uczucie zacnie myślących ludzi; dobra — w uszanowaniu zasad moralnych i religijnych, w zacnem dążeniu do rozwinięcia pojęć o obowiązkach i cnocie, do wykazania w czem wielkość i szczęście człowieka prawdziwe, a obudzeniu wstrętu ku temu, co jest ohydne i niskie.

Jeżeli powieść prawdopodobieństwa nie odbije w treści, to piękno formy utraci cały swój urok, bo niema piękna bez prawdy. Jeżeli się znajdzie prawdopodobieństwo bez piękna w jego przedstawieniu, to nie zająwszy, nie trafi też do przekonania i uczucia drugich; najgorzej zaś, jeżeli w powieści znajdzie się piękno bez dobra na celu, bo wtedy zło jest poetyzowane, a w pociągającej serce formie przedstawione, fałszywą drogę życia ukazuje, brudzi myśli i uczucia, przytłumia głos surowych obowiązków i prawdy i do zepsucia obyczajów prowadzi: dlatego też czytanie powieści bez wyboru i umiejętnego kierunku największą szkodę duszy i umysłowi przynosi. O takich to utworach powiedział Józef Kremer, iż „po przeczytaniu dzieł tego rodzaju, gdy spojrzysz w siebie, rzekłbyś, iż dusza podobną się stała do świątnicy zrabowanej i znieważonej od hordy złodziejów; ołtarze obdarte, świecznik duszy wywrócony, naczynia święte porozrzucane, rozszarpane obrazy, co drogie sercu, to albo skradzione, albo zdeptane i sponiewierane”.

Z powieści odpowiadających wszystkiemu powyższemu warunkom: najwyżej stoi *Spekulant* Korzeniowskiego, a dalej: *Garbaty*, *Emeryt*, *Wędrówki Oryginała*, tegoż; *Dziwadła*, *Świat i Poeta*, *Chata za wsią* i wiele innych Kra-

szewskiego; *Handzia Zahornicka* i *Szandor Kowacz* Jeża; *Oficyalista* A. Pługa, *Wnuczeta* Kaczkowskiego, *Marek Poraj*, *Marcyan Kordysz*, *Nemezys*, *Wiktorya Regina Zacharjasiewicz*: i t. d.

Z kobiet piszących pięknem piórem i w duchu prawdziwej moralności odznaczyły się: Kl. Hoffmanowa, w takich powieściach jak: *Jan z Czarnolesia* i *Krystyna*; Elżbieta Jaraczewska: *Wieczór Adwentowy*, *Zofia* i *Emilia*; *Pierwsza młodość*, *pierwsze uczucie*; Gabryela z Güntherów Puzynina, Marya z Chomętowskich Borkowska (b. Redaktorka *Kółka Rodzinnego*) Marya Ilnicka Redaktorka *Bluszczu*, Paulina Wilkońska autorka powieści: *Wieś* i *Miaśto*, *Mrowin* i *Trock* i innych; Narcyza Żmichowska, która wypowiedziała wiele pięknych prawd i głęboko uczuciowych myśli w opowiadaniach prozą, mającej prawo liczenia się do poezyi. Dzisiaj, odznaczają się talentem: Walerja Morzkowska i Orzeszkowa Eliza.

Powieść moralna ma na celu w pięknych obrazkach dać młodzieży i dzieciom wzór cnoty, zaszczerpić w nich zasady moralności prawdziwej, zachęcić do nauki i pracy, rozbudzić w nich szlachetne popędy, a wystawić zarazem szkodliwość wszystkich wad i nałogów ich wieku. Na tem polu nieoszacowane zasługi położyli: Teofil Nowosielski, Kl. Hoffmanowa, a dalej Paulina Krakowowa, Pruszkowa, Prusiecka, Trojanowska (Horoszkiewiczowa), Izdebska, Kamieńska, Jan Kanty Gregorowicz jako Redaktor *Przyjaciela Dzieci*.

Powieść humorystyczna jest rodzajem dowcipnej satyry wymierzonej przeciwko wszystkiemu, nietyle wadom, ile

śmiesznościom społeczeństwa, a tym rodzajem powieści odznaczył się August Wilkoński autor *Ramot i Ramotek*; A. Wileczyński autor *Starego komendanta* i innych drobnych powieści; Jordan autor *Wędrówek Delegata*.

Powieści ludowe. Jakkolwiek powieści ludowe ¹⁾ były pierwszą rodzimą powieścią, uważamy je jednak za ostatni rodzaj prozy, bo są najbliższe poezyi, i jeżeli formą do pierwszej, to duchem już do tej drugiej się liczą.

Powieść ludowa, z legendami, podaniami i pieśnią, jest gruntem, na którym się oparła i zakwitła czysto narodowa literatura nasza; niewykwintna formą, całe skarby uczucia i fantazyi zawiera w sobie jednakże. W swoich podaniach historycznych przechowała takie wspomnienia, jak o królowej Kindze; w miejscowych — otacza urokiem nadzwyczajności i cudów krzyże i figury przydrożne, niedostępne miejsca lasów Śto-Krzyżkich, wierzchołki ich gór Łysą górą nazwanych, sterczące głązy i skały, źródelka i pieczary; w utworach swej wyobraźni dziwnie jest poetyczna jak: w określeniu szczęścia ludzkiego przez symboliczną paproć; a w opowieściach z życia swojego schwyconych, tworzy nieraz całe poematy wiary, miłości i poświęcenia, jak: w Marysi sierotce, służącej u Matki Boskiej i gotującej na Jej słowo z kilku ziarenek kaszki cały obiad dla swej pani, dla siebie, dla pieska i kotka; jak w Urocznych oczach, które ojciec poświęca dla szczęścia dziecka swojego, jak w chłopku,

¹⁾ Zwane *klechdami* od *klechy* sługi kościelnego, który jako najmądrzejszy we wsi — najlepiej opowiadać je umiał.

topiącym się dlatego, by nie zanieść *powietrza* do swojej wioski rodzinnej.

Odgadli w nich te skarby ludzie wysokiej za to zasługi, jakimi są K. Wł. Wójciecki, Berwiński, Michał Glin-ski, Zegota Pauli, Roman Zmorski, Barszczewski, Adam Czarnocki, (Zoryan Dołęga Chodakowski) Ludwik Juce-wicz, i inni; onito jasno zrozumieli, że trzeba się nam zwró-cić do owego źródła niewysłowionych piękności, z którego lud je czerpał, i że tylko po nitkach z jego piersi i myśli wysnutych dojdziemy do owego gruntu, na którym jedy-nie może śmiało stanąć i wznieść się wysoko pyszna bu-dowa, wyrobionego już słowa. Zebrali więc owe baśnie, podania i pieśni, i wydali drukiem pomiędzy 1825-tym a 30-tym rokiem, i dopiero na tle uczuć i pojęć w nich zamkniętych, wieley nasi pisarze i poeci osnuwają swoje pełne uroku pieśni i powieści, bo wszystko to są rzeczy, z których tryskające myśli obejmują niebo, ziemię i bli-żnich, i o których nasz wielki wieszcz powiedział:

„O wieści gminna! ty arko przymierza
Między dawnemi i młodszemi laty!
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty“.

· Z Konrada Mickiewicza.

Podział stylu ze względu na epokę. (Wiek).

Uważając styl za zewnętrzną formę, w jaką ukła-damy swe myśli, można go słusznie przyrównać do ubioru, podlegającego różnym zmianom stosownie do ducha czasu, czyli inaczej mówiąc: do charakteru wieku, który ze zmianą wypadków składających się na historią

kościola, oświaty i całego kraju, kładł także cechę swoją na stroju ciała i myśli.

Zmiany te uderzające są w wieku XVI-ym, XVII-ym, XVIII-ym i XIX-ym, bo poprzedzające były tylko jakby przygotowaniem do tego, co się na nasz *Wiek złoty* złożyło, od którego, styl polski zaczyna swoje koleje.

W wieku tym słusznie: *złotą epoką* nazwanym, język wyrabiający się na tłumaczeniu Pisma Śgo znalazł w swym skarbcu wyrazy na odmalowanie i pełnych prostoty obrazów patryarchalnego życia pierwszych ludzi Starożytności i najwznioślejszych Objawień, najgłębszych Tajemnic — Nowego; styl zaś naginający się do wzorów Greckich i Rzymskich pisarzy, przyswoił sobie ową zwięzłość, jedność i siłę, do jakiej nawykł, wyrażając się przez kilka wieków w ich mowie. Pisarze ówczesni czysto *szlacheckiego* nastroju, występują jako stróże cnoty, moralności i obyczajów narodowych; zbierają wspomnienia przeszłości, wyświetlają zasługi przodków, rozbierają kwestye polityczne i religijne, a wszystko to były przedmioty poważne, malujące życie rzeczywiste i surowo pojęte obowiązki obywatelskie, więc styl tego rodzaju doskonale się do nich nadawał i najwłaściwszą był formą tej myśli, w jakiej się duch narodowy objawił.

Mniej od dzisiejszego gładki i ozdobny, pozostanie na zawsze wzorem stylu dobrego, bo oprócz powyżej wymienionych zalet, cechowały go jeszcze i wszystkie inne, jakieśmy za główne przymioty stylu uznali, to jest: naturalność, prostota, przedziwna czystość pod względem wyrazów, a także: i zwrotów języka.

Wiek XVII (aż do połowy XVIII) był najsmutniejszym czasem dla oświaty i literatury naszej, a styl ówczesny daje wymowne świadectwo o upadku języka i piśmiennictwa naszego.

Epoka to przewagi *panów* w widokach własnych posługujących się szlachtą; więc rozwiały się dawne jej tradycje; duch narodu przestał tworzyć samodzielnie i umilkł wobec głosu podnoszącego się na schlebianie próżności magnatów, dla czysto materialnych korzyści. Z drugiej znów strony, system uczenia po szkołach doprowadził do tego, że językiem pokaleczonym wyrazami i całemi łacińskimi zdaniami pisano w sposób tak napuszony i górny, że stylowi zabrakło nawet najważniejszej podstawy, nie tylko zalety, bo: jasności w myślach, a naturalności w wypowiedzeniu tychże. W panegirykach układanych na cześć panów, nawet ich herbów rodzinnych, przy ubieganiu się za szumnobrzmiącemi, bez żadnego sensu wyrazami, nie umiano się zdobyć nawet na prosty tytuł dla swych dziwacznych utworów.

Jedna tylko historia pod formą pamiętników, prawdą i życiem na tle tej panegirycznej literatury jaśniała, a język, pełny makaronizmów w świeckiej i potocznej mowie, w ustach kaznodziejów kościelnych pięknie o własnej już sile się rozwijał i nie oglądając się na klasyczne wzory, natchnione myśli malował precudnie, w sposób nieuczony, stylem aż rubasznym może wielką prostotą swoją, ale niemniej przez to przemawiającym do duszy.

Świetnieto były wyjątki, ale zawsze *wyjątki* i dla-

tego wiek ten zasłużył na napuszoną, w skażonym języku nazwę: *scholastyczno-makaronicznej-panegirycznej* epoki.

Wiek XVIII (aż do 1825) przyniósł wielkie przemiany w wyobrażeniach, obyczajach, a także i w kierunku oświaty i literatury naszej. St. August rozmiłowany we wszystkim co francuskie było, pierwszy daje pohop do przejmowania ogłady, mody, i etykiety tamtejszego dworu, a Konarski dojrzawszy w literaturze kwitnącej za Ludwika XIV-go, myśl zdrową, zdolną usunąć czechość panującą w naszej, daje ją za wzór do naśladowania pisarzom i poetom ówczesnym.

Wznosi się więc oświata, ale obce wpływy zawładnęły myślą i na obce nam pole niewiary i materyalizmu sprowadziły ducha: literatura więc czysto narodowa nie rozbudza się jeszcze, bo nie na swojskim gruncie, i nie własnem uczuciem pisarze tej epoki tchnąć życie w nią usiłują. Serce, ni wyobraźnia, nie ma żadnego udziału w ich pracach: historia i wymowa, tak obszerne teraz pole do rozwijania się mająca, na podstawie: prawdy, rzeczywistości i faktów, występuje w poważnej i uroczystej formie, a we wszystkich pismach wogóle, bo nawet w poezyi, rozsądek bierze górę nad uczuciem, nauka trzyma wyobraźnię na wodzy i największy nawet talent hamuje się w swobodzie wypowiedzenia siebie, by niczem nie uchybić przepisom przez klasyków francuskich podanym. Choć więc skutkiem reformy, przez Konarskiego zaprowadzonej w szkołach, język całą swą świetność odzyskał, choć myśl zdrowsza ozdobniejszą formę przybrała, a styl wyrobił się znakomicie pod piórem Śniadeckich,

Trembeckiego, Krasickiego, Woronicza, Piramowicza i innych, to jednak, że był ograniczony formami, jakich za przykładem francuskich, nasi pisarze pilnowali się ściśle, że myśl w cudze ślady wstępując, nie miała ni żywotnej treści, ni swobody polotu w wyższe, nad materyalny — światy, więc ta epoka znowu, wzorów ślepo się trzymająca, nazwę *klasycznej* przyjęła.

Nareszcie wiek nasz, epoką *odrodzenia* nazwany, jeszcze inaczej tym świetnie już wyrobionym językiem przemówił. Zeszłowieczny styl naginający się ku pięknu według wzorów francuskich, teraz w całym blasku odbił nam to piękno, gdy stał się obrazem myśli i uczuć czysto narodowych i swojskich, przechowanych w bajkach, klechdach, legendach i pieśniach, a teraz *o d r o d z o n y c h* i ze mgły wieków w jasnym występujących blasku. Oparłszy się na gruncie literatury rodzimej, pierwotnej, wszyscy pisarze i poeci nasi nie tylko już świat rzeczywisty, ale świat ducha, świat pełen fantazyi i marzeń malować zaczęli, i styl swój nacechowali uczuciem całego narodu i własnej swej duszy, i tą dziwnie lotną wyobraźnią, co wysnuta z myśli ludu naszego, poza świat materyalny wybiega. Do wszystkich więc przymiotów, jakimi się odznaczył styl XVI-go i XVIII-go wieku, stylowi naszego czasu przybyło wiele jeszcze uroku i wdzięku, bo językiem prześlicznym i dziwnie harmonijnym dla ucha wypowiada śmiało a naturalnie, ozdobnie a z prostotą, rozumnie a z uczuciem, wszystko, co tylko czy z świata zewnętrznego, czy z duszy piszącego, ma jako przedmiot do obrobienia wypłynąć. Nie krępuje się już żadnemi for-

mami, nie trzyma się żadnych przepisów, ale swobodnie bieży w ślad myśli i wrażeń pisarza, i wypowiadając wszystko, co jego sercu i drogie jest i święte, co go oburza i boli, co zachwyca i w uniesienie wprawia, każe ludziom płakać od jego tęsknoty i bólu, czcić to, co on uwielbia i kocha, rozmarzać się słodkiem, a burzyć namiętnem jego uczuciem, unosić się ku temu pięknu, które jego dusza na ziemi i niebiosach dojrzała, i w tem pięknie szukać owej wielkiej i jedynej prawdy, co z Boga poczęta, ku Bogu też i dąży, i jest jedyną podstawą wszystkiego d o b r a na ziemi.

WZORY STYLU EPOKI ZŁOTEJ W WIEKU XVI.

Wyjątki ze Zwierciadła Reja.

Jakiego ćwiczenia mają życzyć poczciwy rodzicy
działkom swoim.

„A tak poczciwi rodzicowie mają to sobie iście pilnie uważać w jakie ćwiczenie, a w jakie sprawy działki swe wprowadzać mają, gdyż się przyrodzenie nasze rodzi jako goła tabliczka, a co na niej napiszą, to już tak zawzdy na sobie nieść musi. Boć mądrość na świecie jest, jakoby jaki ozdobny ratusz w jakim zacnym mieście, rozlicznymi cnotami, jak on ratusz wieżyczkami osadzona. A nauki poczciwe, a ćwiczenia roztropne są jako gościńce, do onego miasta z rozlicznych stron, które łacwie, kto ma baczność roztropną przewodnikiem, doprowadzą do ratusza onego. A tam już między onemi wieżycami rozkosznemi, to jest między cnotami onemi, pewnie sobie znajdziesz spokojną gospodę do każdego poczciwego postanowienia żywota swego!

„Potem, gdy już też ona młodość podraść będzie, nie wadzi mu też *poczetłszy* (poczytawszy) sobie, czego potrzeba nauczyć się: i konika osieść i jako sobie na nim poigrać, a jakoby *gi* też czasu *potrzeby* (wojny) obrócić. A jeśliby mógł i *drzeweczko* (drzewce, dzida) znieść, tedy i to nie wadzi z nim sobie poigrać, ręką uważać, do pier-

ścionka albo do czapeczki pomierzyć, a poduczać się z młodu, coby się i czasem z pocziwym, a nie opitym towarzystwem posiedzieć, pomówić, pożartować, bo ztąd i ćwiczenie i zachowanie na potym i znajomość *roście*. Niewadzi mu też czasem pouczyć się, i poszermować, i poskakać, na *luteńce* pograć; wszystko to są pocziwe zabawki.

„Przodkowie nasi święci jako pychy używali“.

Zapomniałeś podobno onych świętych przodków twoich, a wielkich miłośników Pańskich, jeśliż też tak wzgóre podnosili głowy swoje, albo jeśliż tak sprośnie nadymali twarzy swoje przeciw bliźnim swoim, albo jeśli tak szukali, a zabiegali pożytkom świata tego dla nędznej a tej szarej pychy jego. Mało ci znali alabastrów, marmurów, złota, srebra, pstrych opon, i innych dziwnych przysmaczków ku temu u Boga sprosnemu grzechowi. Kwiateczki, a piękna traweczka, to było obicie ich: namiotek albo chruściana budka, to były marmury i alabastry ich: podpłomycek na węglu upieczony, a kawalec baraninki, to były półmiski ich: miłość wierna, powinność życzliwa, sprawiedliwość, bogobojność, pomierność, to były wszystkie ubiory ich, wszystkie klejnoty ich. A zwali się sługami Bożemi, i sługami bliźnich swoich, a patrz jacy tam byli wieley panowie, oni prorocy, oni zacni patryarchowie, daleko zacniejsi. Nie graniczyli się, nie pozywali się, nie łupili sobie oczu, dla marnych pożytków świata tego, tak jako dziś widzimy, leda dla sprosnej, a małej krzywdeczki, nie to człowieka zabić, nie to ręce mu osiec, nie to z majątności jego wypozywać go. A oni święci ludzie, niczym się inszym nie sądzili, jedno prawdą świętą, a cnotami swojemi, a słowa ich były *jest? jest! niemasz? niemasz!*

„Ale jako nastały odmienności czasów, jako nastały wystawne zamki, kosztowne miasta, dziwne kształty, dzi-

wne ubiory, dziwne a wymyślne, a snadź i z postrachem na poły, jedla a picia rozliczne; także też pospołu z tym nastąpiła sproсна pycha, niepobożne łakomstwo, srogie łupieztwo, okrutna niesprawiedliwość, tak iż się łyzy leją niewinnych ludzi, wołając o pomstę do pana na ty, które tu na to wystawił, aby ich dobrodziejami a obrońcami byli, gdyż je pismo zowie bogi ziemskimi, a dobrodziejami ludzi im poruczonych. A ztąd Pan doślepi oczu każdego takiego, że się już nie będzie mógł obaczyć w każdym z tych szkodliwym przypadku swoim, aż go dowiedzie do onych mocnych dekretów Pańskich, a do srogięgo a pewnego zginienia jego.

Wyjątki z Dworzanina polskiego.

Łukasza Górnickiego.

Była przypowieść u Greków: „Tak żyj, jakoby tego nikt nie uczuł, żeś żył na świecie,“ którą przypowieść Plutarch szkaluje i gani; a wywodzi, iż nikomu w tej ciemności żyć nie przystoi. Albowiem kto cnotliwie a mądrze żyje, ten w kacie nie siedząc i przykładem i pomocą użyteczny ludziom być może; a kto zaś źle a głupie, ten, wždy (przynajmniej) nie pokrywając swoich niedostatków, swoich chorób, na takowego człowieka trafić może, który ono wszystko uleczy i naprawi.

Jakoż ja w tej mierze z Plutarchem dzierzę (trzymam) i powiadam, iż tak mądemu jako (i) głupiemu uledz między trupy nie przystoi, ale głupiemu, (gdz się to jest pierwszy stopień do mądrości, chcieć się dać leczyć) do tego się mieć trzeba, żeby za pokazaniem prostoty swojej ludziom, pozbył głupstwa, a mądemu zaś to należy, iżby obmyślał dobro pospolite; a odnosząc za pocziwe sprawy sławę i pochwałę, nie szedł milczkiem z świata, jako nieme zwierzęta schodzą.

Przymioty dworzanina.

Dworzanin ten mój sercem mężkiem a wspaniałą myślą zawždy się znacznie popisać ma. Jedno też zaś nie chcę, aby zuchwalstwo w nim panowało, iżby pochmurnem wejrzeniem, postawą srogą, odętym wąsem straszyć miał, a nie umiał łagodnie mówić, jedno z fukiem, a wszystko o wojennych rzeczach, a jako zbroja najmiejsza jego pierzyna, a z przyłbice (y) najsmaczniejszy trunek: bo kiedyby takowy miał być, prędkoby każdemu człowiekowi obmierzył, a zasłużyłby słyszeć one słowa, które poczeiwa pani jedna takiemuż zuchwalcowi na biesiedzie, powiedziała; bo gdy ten po kilkakroć poczczon (uczczony) tem był od niej, żeby się abo do muzyki przysiadł, abo tańcował, abo wždy rozmową się jaką z pannami bawił: a każdy raz dobry pan nic innego nie powiedział, jedno, iż to jest lekkich ludzi dzieło, nie jego ćwiczenia rzemiosło. Spytała go nakoniec pani: A to rzemiosło waszmości jakież wždy (przecie) jest? Odpowiedział jej, uczyniwszy pierwszej postawę srogą: We krwi, prawi, nieprzyjacielskiej brodzić, a swej nie żałować. Rzekła zatem pani: Mnieby się zdało, ponieważ teraz wojny niemasz, abyś dał się waszmość tłustem (tłustością) namazać, a wspólek (razem) ze zbroją i z tem wszystkim, czego waszmość przeciwko nieprzyjacielowi używasz dał się gdzie do szafy schować, aż do tego czasu, kiedy wojna będzie, abyś waszmość bardziej niż teraz nie zardzewiał“.

O języku polskim.

Z Górnickiego.

Dworzanin będzie miał we wszystkim gracyą, a zwłaszcza w mowie, jeśli się strzedz będzie wydwarzania, której wady pełno wszędzie; podobno u nas w Polsce więcej niż gdzie indziej: albowiem nasz Polak, by jedno kęs z domu wyjechał, wnet nie chce inaczej mówić jedno tym

językiem, gdzie troszkę zmieszkał: jeśli był we Włoszech to za każdym słowem: Signor; jeśli we Francyi, to: par ma foi; jeśli w Hiszpanii, to: Nos ostros cauaglieros: a czasem drugi chociaż nie będzie w Czechach, jedno iż granice Szląską przejedzie, to już inaczej nie będzie chciał mówić jedno po Czesku; a Czeszczyzna, wie to Bóg jaka będzie. A jeśli mu rzeczesz, żeby swym językiem mówił: to powiada iż zapomniał, albo że mu się przyrodzony język prawdziwie gruby widzi: czego dowodząc, wyrwie jakie staropolskie z Bogarodzice słowo, a z Czeskiem jakim gładkiem słówkiem na sztych je wysadzi, aby swego języka grubość, a obcego piękność pokazał: nakoniec i z tym na plac wyjedzie, że niemal każdy w Polskim języku wymowca, Czeskich słów, miasto polskich używa, jakoby to było nazchwał dobrze.

Nie ma się co podobać, kiedy kto mając własne Polskie słowo, zarzuciwszy ono pożyczka na jego miejsce z cudzego języka a miasto *Stanów* Koronnych, mówi: *Sławy* koronne, bo to jest nie inaczej, jedno jako kiedyby kto Polaki wyganiał z ziemię, a Czechy do niej przyjmował: w czym jakiby był rozum, widzi to każdy. Prawda to jest, gdzieby słowa Polskiego nie było na tę rzecz, którąby Polak ochrzcić miał, albo w przetłumaczeniu z jednego języka na drugi, potrzebowałby cudzego słowa: nietylko tego nie ganie, kiedy z tak podobnego mowie naszej języka, jak jest Czeski, weźmie słowo, ale też i z Łacińskiego, zwłaszcza jeśli by łatwie ku wyrozumieniu, abo już nieco utarte słowa było, wziąć mu dozwalam. Takżeć podobna naszym wymowce Polscy sławni czynili. Czego nierozumiejąc dzisiejszy z onegoż wydwarzania, które tak bardzo człowiekowi nie przystoi, przyszło im na to, że jeli niewstydliwie w swój język kłaść dziwne słowa cudzoziemskie, a miasto słów Polskich stawiać Czeskie, dobrze niż nasze podlejsze. Za tym to idzie, iż tych nowych Cyceronów mało rozumiemy; a tego, prosto nic, co nam kiedy na piśmie podadzą.

Nie wiem czemu by inakże pisanie byź miało niż mowa; gdyż pisanie nic innego nie jest, jedno jakiś kształt a wyobrażenie mowy, które zostaje, chociaż już człowiek wypowiedział, jakoby wizerunkiem tego, co się rzekło: a prosto jest pisanie ta rzecz, która daje żywot słowom. Otoż ona trudność, która z słów cudzoziemskich roście rychlejby się jeszcze zeszła w mowie niż w pisaniu: bo gdy mówimy, ci którzy nas słuchają, mogą spytać, jako się co rozumieć ma; ale kiedy ja cudze pisanie czytam, gdyż nie masz tego co pisał, trudno nam wiedzieć co to jest, czego wyrozumieć nie mogę. A przeto jeśli mowa nie ma byź trudna ku wyrozumieniu, pogotowiu pisanie. Zwłaszcza iż uczeni ludzie tak powiadają: że to najcudniejsza mowa, która jest podobna pięknemu pisaniu. Co jeśli tak jest, to pewnie pismu się to nie zejdzie, aby trudne byź miało, mali byź mowa każdemu ku wyrozumieniu łatwa.

Co się tycze Polskich słów starych, jeżeli je odżywiać mamy tak powiadam: iż ktoby tymi słowy, których teraz używamy, zamietać, a starodawnych na to miejsce chwytać się chciał, nie inaczejby czynił, jedno jako ów, ktoby chciał wzgardziwszy chlebem, żołądz jeść, jako starego wieku ludzie jadają. Słów używać mamy jako menice, bo której ludzie nie znają, tej nie biorą, także i słów nie rozumieją innych, jedno te, które są w zwyczaju pospolitym. Lecz gdzieby dzisiejszego słowa nie było na tę rzecz, którąby Dworzanin opisać chciał, nie tylko mię nie obrazi starożytne słowo, ale ja wolę, niż cudzoziemskie.

A com mowę Łacińską wspomniał, widzę byź ten obyczaj, iż niektórzy naszy, chcą pokazać, iż wiele umiając co trzecie słowo to po Łacinie mówią: a może je przyrównać do owej kuffy, w której troszkę wina; albo do pęcherza, w których jedno kilka ziarn grochu; albowiem gdy zakolacesz w próżną kuffę, wielki dźwięk daje,

a pełna nie; jako i pęcherz pełen grochu. Także i ci, iż kilka tylko słów umieją, więc z nimi coraz na plac: a w tym i ono głupie swoje wydwarzanie pokazują i drudzy ich nie rozumieją.

.

Wyjątek z mowy ks. Piotra Skargi

mianiej ua pogrzebie Królowej Polskiej Anny Jagiellonki d 12 Listopada 1593 r. w Krakowie.

Godzi się po śmierci człowieka pobożnego chwalić, przykład cnót jego ludziom zostawić, pamiątką wieczną dobroć jego uczcić, i żałować a płakać śmierci jego.

„Przed śmiercią nie chwal nikogo“, dla odmiany i nie dotrwania, któremu ludzka słabość podległa; lecz po dokonaniu pracy i drogi żywota tego, i po skończeniu roboty „chwalmy dobre robotniki“, aby wspomnianie ich było ku błogosławieństwu, nam do zbudowania, onym do zapłaty. Nie będziem chwalić tej białej głowy Królewskiej z urody i wdzięczności, bo to lekkie i wspólne ze złemi dary; ale jako mędrzec każe, z bojaźni Bożej i z cnót, które z niej rosną, słać je winni jesteśmy. Pierwej jednak włożyć to chćę do sere waszych dla zbawiennej przy pogrzebie nauki: jako śmierć wielkich ludzi płci obojej, większe w nas użalenie nad ludzką nędzą wzbudza; jaśniej w niej na słabość szczęścia świeckiego patrzmy: znaczniejszy jest i głośniejszy ich upadek, większa w nich bojaźń mocy Boskiej, straszliwszy do sądu Bożego przystęp, większa szkoda i żałość, gdy wielkiego i królewskiego stanu ludzie umierają.

Okrom samego w cieie żywota nie wiele ubogiemu śmierć odejmuje. Mało miał, niewiele traci, i nie jest wielkie nad śmiercią jego użalenie. Lecz człowiek stanu i szczęścia wielkiego, z bogatego staje się ubożuchny nędznik; póki żył, tysiącami szafował, skrzynie złota i srebra napelniał; swoim to być mienił, i w tem się kochał

i przygód żadnych się nie bał: a gdy zasnął, nie nie znalazł w ręku swoich! Ze wszystkiego złupiony i odarty, jako pojmaniec najnędzniejszy został. Z owego rozkosznika w potrawach, w szatach, pościeli, jedwabiach, w woniach drogich, staje się brzydki i sprosny trup; z owego podniosłego i gromadnego wielkim dworem ludzi ubranych i zacnych otoczonego, staje się u grobu i w ziemi, odbieżany, wzgardzony i osierociały. Z owego możnego, przed którym wszyscy drżeli, staje się pośmiewisko i wzgarda; jako straszdyłło u prosa, po którym ptacy depcą, co na-przód przystąpić do niego nie śmieli. Z onego, który do siebie wszystko garnał, zbierał, brał, zamykał, ścisnął, stała się rozbita puszka, w którą młot śmierci uderzył, i z niej wszystko wysypał.

O! dziwna i straszliwa odmiano! Tak gdy Amaza wielki Dawida Króla Hetman, zabity, na drodze z wyciekłemi trzewy leżał, żołnierze mijający mówili: „Onże to tak wielki Pan, co chciał być na miejscu Joabowem? patrz na co przyszedł“. Gdy Jezabelę, przed którą ziemia drżała z okna zrzuconą i zdeptaną kopytami końskimi, psy jadły, lud mówił? „Onaż to Jezabel?“ Srogie i ciężkie odmiany w śmierci panów wielkich smutne uzalenie nad nędzą ludzką pobudzają, czego na ubogich i niskich ludkach nie znać.

Na wielkich panach, gdy umierają, łacniej doznawamy słabości wszystkiego ludzkiego szczęścia i niepodobnej naprawy i trwałości jego. Gdy ubogi umarł, mówimy: nędza go i niedostatek umorzył; nie miał co jeść, grubemi potrawami się zepsował, i robotą zerwał: nie miał się czem leczyć, ani barwierza, ani doktora mieć nie mógł, ani lekarstw potrzebnych. A panu wielkiemu z Indij lekarstwa przywożono, z Włoch doktory miał, co najkosztowniejszych i najzdrowszych potraw używał, a przecie nic nie pomogło, odjąć się śmierci nie mógł.

Gdy ubogiego kmiotka zabija i wszystko po nim zginie, nie dziwujemy się i ludzkiej niepotężności nie

znamy, bo mały odjąć się nie mógł, i jako robak zdeptytany jest. Ale gdy pan i król wielki, który takie wojska i taką straszliwą moc i dostatek wojenny i domowy miał, upadnie i poleże, i wszystko się po nim rozproszy, dopiero mówimy: „Nie na świecie nie masz mocnego ani trwałego, odmiana i nędza najwyższe szczęście czyni, trochę się ukaże, a wnet odbieży i zdradzi“. Gdy kto ubogi umrze, wstrząsienia, wzruszenia i odmian żadnych po nim nie masz: jakoby liść z dębu cichucho zleciał, jako o jego narodzeniu tak też o śmierci ledwie kto wiedział i nie masz po nim rozruchów ani swarów, ani niepokojów, ani odmian. Lecz gdy pan wielki umarł, jako dąb mocny ogromny głos i trzask lecąc na ziemię uczynił. Wszyscy się przelekli, drudzy w niepokoje i w swary wielkie po nim wpadli: drudzy szkodę i zgubę swoją śmiercią jego odnieśli, i jest z śmierci panów i królów większy przestach i nauka dzielniejsza. Przestach jest, bo jeśli lew tak poległ, a cóż szczeniátko? jeśli się dąb tak mocny obalił, a cóż z małą wierzbinką będzie? Nauka jest, iż szczęścia świata tego, nie takie są jako się widzieć dadzą, ale są, jako je apostoł nazwał, malowaniem, rzeczy samej w sobie nie mające.

Na pańskich śmieciach straszliwsza jest moc Boska. Panowie są jako morze, które się wiatry podnosi i burzy, i straszliwi są, wszystkim zatopieniem grożąc. Lecz im Bóg mówi: „Uciehnij! póty wylewej, tu stój“, gdy im koniec żywota zamierza i moc ich króci. Nie wielka siła trzeinę złamać i ubogiego umorzyć, ale żelazo przełomić, króle i pany zniszczyć, to moc jest najwyższa i straszliwa, której się wszyscy zawsze bać mamy.

Nakoniec większa jest szkoda i żalność z pańskiej śmierci, niżeli z ubogiego; bo panowie i królowie dobrzy, wielkie pożytki ludziom czynią, rządem, sprawiedliwością, obroną: pokojem i czujnem o poddanych swoich obmyślaniem. Gdy król Saul zabity jest na wojnie, kazał Dawid białym głowom płakać, mówiąc: „Córki Izraelskie

płacząc nad Saulem, który was odziewał jedwabiem w rozkoszach, który dawał ubiory złote strojom waszym“. Pewnie ręką swą Saul niewiastom poddanym niedawał ubiorów; ale je dawał obroną i pokojem, za którym się bogactwa i dobre mienia rozmnażają pod pany, którzy miłują swój lud. Jako był on Machabeusz i bracia jego miłośnicy narodu swego, dla którego radzi zdrowie swoje kładli; gdy w bitwie poległ, płakał lud mówiąc: „Polegli mocarze, którzy wybawili lud Izraelski“. Nad Abnerem, gdy umarł, Dawid płakać też kazał, bo wiele wszystkim na jednym królu, albo hetmanie dobrym zależy. Gdy dobry pan umrze, słusznie jako jest u proroka mówić i żałować mamy: „Upadła korona z głowy naszej, biada nam, żeśmy zgrzeszyli“. Acz też z drugiej strony wielka jest ludziom ochłoda i radość, gdy zły pan i niepożyteczny albo tyran umiera. Bo inaczej światby nigdy pokoju nie miał, gdyby śmierć nie pomagała. A kto go ukróci? a kto złego naprawi? a kto jadowitego lwa i wilka, który się ludzką krwią karmi, uskromi? sama śmierć, która w tej mierze bardzo jest pożyteczną, iż złym nie da na wieki grzeszyć i szkodom, i niepokojom ludzkim zabiega, gdy tyrany i niesprawiedliwe morzy i zabija.

Nie o takich nam teraz rzecz, ale o tej wielkiej królowej Annie Jagiellonce, której żałośny ten pogrzeb czynim, która nietylko szkody żadnej królestwu temu i ludziom swym nieczyniła, ale osobliwą miłością narodu swego będąc, wielce im pożyteczną była; pokój, dobre ich rozmnażała i z wielkich trudności wyrывała, iż zejścia jej bez żałości i serdecznego bólu i wylania łez naszych wspominać nie możemy. Nietyle wszystkim pożyteczna i rzeczpospolitej i poddanym swym jako matką była, ale tę cnotę przełożonych dobrych z przodków swoich wzięła i ona rodzaj ich jako ostatni potomek zamknęła. Prawnuczka jest Jagielly, ta Anna Królowa, który Litewskie szerokie państwa z koroną tą złączył, poznawszy Boga prawego, cały naród litewski mu uzyskał; — córką

jest Zygmunta. On między wszystkimi braty swemi w panowaniu najślawniejszy i najszcześniejszy był, — wielki obrońca wiary, nabożeństwem Bogu miły, zwycięzctwy wielkimi sławny, nieprzyjaciołom koronnym straszliwy, domowym swym wdzięczny, miłośnik wielki ludu swojego, mądry, sprawiedliwy, cnót chrześcijańskich pilny. Między czterema córkami Zygmontowemi, dla wielu niebezpieczności, które Bóg przez nią oddalał, sama została.

Młodość jej i wychowanie przystojne królewskiej dostojności i chrześcijańskiej było. Od starszych swoich wiary katolickiej nabożeństwa przyuczywszy się, dziwnie je rozmnażała i statecznie w nich trwała. Na modlitwie i kościołach wiele godzin, nad zwyczaj i siłę niewieścią trawiła między pospółstwem, nieznajoma, jako uboga jedna w kościele zostawała, zwłaszcza w Warszawie u Bernardynów. W postach była bardzo surowa, zwłaszcza, gdy do ŚŚ. Sakramentów przystępować miała, abo gdy w potrzebach pospolitych jakie modlitwy nakazane były; abo gdy mąż jej Stefan na wojnie przemieszkował. Środy nigdy jedzeniem mięsa, aż do śmierci i z czeladką swoją nie przestąpiła. W ceremoniach i służbie kościelnej tak była umiętętna i ćwiczona, iż sama kapłanom, zwłaszcza warszawskim, za biskupa i wizytatora stała i na nią się w pilności służby Bożej oglądać musieli. Miłowała stan panieński i w nim miała wolę zostać aż do śmierci, by jej była miłość ku rzeczy pospolitej i ojczyzny, uspokojenie królestwa tego nie odradziło.

Po wszystek wiek swój żadnej nigdy przymówki, ani podejrzenia ze strony skromności nie miała i była zawdy wszelakiej nieuczciwości nieprzyjacielem, swoim nie przepuściła, i dlatego wiele prześladowania i frasunków od wyższego stanu białychgłów cierpiała. Żywot wszystek jej pełny był frasunków i utrapienia, na których królom i wielkim stanom nie schodzi; drudzy mniemają, że to największe szczęście na świecie królem być albo królową; a wysokie drzewa więcej wiatrom mocnym

podległe, częstsze na nie troski i bojaźnie: na wyniosłe wieże częściej gromy biją. Bardziej ich każda krzywda i nędza boli, bardziej ich każdy przypadek stroszcze.

Z młodości patrzyła na śmierć ojca swego Zygmunta wielkiego; patrzyła na smutny odjazd matki swojej Bony z Polski, po której z siostrą Katarzyną zostając i ona się ciesząc, i tę pociechę żegnając ją do Szwecyi utraciła, i sama w sieroctwie wielkim została, które acz król August opatrował, jednak srogie przypadki przymieszane były, w których oczu swoich od łez nie osuszała. Przypadła ci żłka pokusa wszystkiemu królestwu, a jej najbardziej jako ostatnie osierocenie: śmierć brata jej króla Augusta, bez zostawienia potomka płci królewskiej. Sama tylko we płci swej z domu królewskiego zostając, oczy wszystkich ludzi na się obracała. Przychodziły na nią takie czasy, iż w niedostatku niemalym zostawać musiała, nie wiedząc czem i kuchnią opatrzyć. Raz nie została jeno przy jednym kubeczku srebrnym, na który, aż do śmierci *sierotką* go zowiąc, rada patrzyła.

Na wielkie zamieszania w królestwie podczas *bezkrólewia* i rozdzielenia ludzi patrząc, gdy jedni tego, drudzy owego, niezgodnie i z niebezpieczeństwem ojczyzny obierali, jako była wielka miłośnica ojczyzny swojej, na modlitwach i postach prawie omdlewała; kapłany i inne, które mogła nabożne, do wołania ku Bogu, pobudzając. A gdy jej większa część Stanów koronnych dała znać, iż pokój i utrzymanie ojczyzny, inaczej stać nie może, jedno, żeby *wojewodę Siedmiogrodzkiego Stefana*, za małżonka wzięła, długo się rozmyślając, uczyniła nareszcie miłości ku ojczyźnie zadosyć, i na męża takiego przyzwoliła. Z czem się często i przed ludźmi nietyło przed Bogiem oświadczała, iż to z samego szczerego ku ludu swemu baczenia i chęci uczyniła. Co się nam wszystkim i koronie szczęśliwie powiodło. Bo za takim małżeństwem pokój i jedność królestwu się wróciła, i cokolwiek dobrego i sławnego, i tej R. P. pożytecznego Stefan, król

wielki, dzielny i mądry, małżonek jej uczynił, to się słuszenie ma przyczytać jej ku ojczyźnie miłości“.

Lat jedenaście z Stefanem wojennym przeżywszy i z jego się rycerskich niebezpieczeństw frasując, a zwycięstw gęstych i mądrego królestwa sprawowania pociechę mając, wielkiego smutku z śmierci jego zażyła i nowe się trwogi dla bezkrólewia otworzyły, w których ona znowu do zgody lud przywieść chcąc, życzyła siostrzeńcowi swemu Zygmuntowi, dzisiejszemu panu naszemu jako własnemu synowi, królestwa. Do czego, za jakim staraniem i uczuciem i pilnością za kłopoty wielkimi i nakłady przyszła, wy lepiej wszyscy pamiętacie. Jakie miała prześladowania i bojaźni od przeciwników tej elekcji, wiecie. Wojny one i oblężenie Krakowa jako ją dręczyły? U Piotrkowa z jaką się trwogą i bojaźnią do Warszawy wracała? Jednak po wielkich troskach pocieszył ją Bóg, iż ośm lat patrzyła na królowanie jakoby syna swego, iż oglądała tego potomstwo, wnuczki swoje, córeczki i syna króla Imści na rękę swoich piastując. Lecz po tej pociesze nastąpił kłopot nieodbyty, to jest ostatnia niemoc i śmierć bliska i t. d.

WZORY STYLU EPOKI PANEGIRYCZNEJ Z WIEKU XVII.

O r a c y a.

Winszując Imięnin J. W. Imć Pani Teresie z Wy-
chowskich Sapieżyny Kasztelanowy Trockiey, Sta-
rościny Mereckiey ect: Fundatorce Scholarum Piarum
Wileńskiego. (Początek).

Obowiązana Fundatorskiemu JWW. Mei Pani Do-
brodziejki Imieniowi wiecznym wdzięczności Prawem Szkół
naszych pobożność, aby się na solenny Pańskich Imięnin
rekurs z uprzejmą serc y affektów popisała dewocją,
całe chwały y wotów *compendium* ¹⁾ w iedney szczegól-
nie Herbownego Abdanku literze koncentruje. N. Należa-
łoby z dozgonnego obligu nie skąpey w szafunku Dobro-
dzieystw na ubóstwo nasze Prowizorce złotym sławy pió-
rem pamiętne następującym wiekom pochwalać pisać foliały,
w trojakiey kwalitetów istności prawdziwey wieku tego
Teressie, czyli jedney cnót wszystkich istocie należałoby
jednostayną ust wszystkich harmonią, zgodnym wotow
popisem solenny Imięnin ogłosić tryumf, wielkich w Oy-
czyźnie Statystow Corce, Dam Sarmackich ozdobie, sła-
wnych Mowcow na powinne werbować Panegiryki, ale
z kądże wiadoma tey władzy nabydź może niezdolność,

¹⁾ Streszczenie.

aby wybor Pańskich kwalitetów w jakimkolwiek podobieństwie publicznemu na widok wystawiła oku? bo czyli herbowne J. W. Domu Twoiego zważam ozdoby, Rodowity Abdank dla tego podobno Polskiego na piersiach Orła wyrażony, że lubo sobie złotey ten wolności charakter nieodmienną Regnantów miłość, stateczność Senatu, affekta sprzyiające poddaństwa chęci, wszystkich uprzemy serca zapisuie, przecież trudno mu takiey dobrać ręki, ktoraby doskonale *pretium* ¹⁾ tego okryśliła; czyli Seraficznego w osobie JWW. Mci Pani Dobrodzieyki wysokość miarkuję Imienia, nietylkoś tytułem, ale doskonałym cnot, i życia Patronki naśladowaniem prawdziwa tych wieków *Teressa*, to jest troista doskonałości istność przy którey stogębna Krasomowców perora trzech zliczyć nieumie.

Impety winszuiące Imięnin z różnych cyrkumstancyi.

1) *Winszując komu Anielskiego Imienia*. Luboć w sercu moim ku Osobie W. M. W. Mci Pana *nunquam tardat amor*, ²⁾ przeciesz *in expressionem* ³⁾ życzliwey Imięniowi W. M. W. Mci Pana aggratulacyi wyżey dnia dzisieyszego gurutuje affekt, kiedy Anielskie Patrona jego skrzydła wolnego mu dodaią polotu, ktore ażeby samemu W. M. W. Mci Pana *Signa viarum praeunte volatu* ⁴⁾ do wszelkich w honorach preeminencyi pokazały, a oraz *in tabulis* ⁵⁾ niezgluzowaney u świata pamięci *famam scribant perennem*, ⁶⁾ życzliwe *suffragatur votum* ⁷⁾.

¹⁾ Cenę, wartość.

²⁾ Nigdy miłość nie jest opieszalą.

³⁾ Dla wyrażenia.

⁴⁾ Drogoskazy poprzedzającemu w locie.

⁵⁾ Na tablicach.

⁶⁾ Wypisały wiekuistą chwałą.

⁷⁾ Składa się życzenie.

M o w a.

Prosząc o Damę Rodziców przez przyjaciół

(Zakończenie).

Pozwolże W. M. Pan Prześwietnego Domu *dextro pedetangere limen* ¹⁾ przyimiy otwartym sercem w Ojcowski respekt szczyrą do usług W. M. Pana garnącego się powolnością przyjaciela, razem y Syna. *Et Pater esse velis* ²⁾ przy nas assekuracya, że będzie *ad mensuram* ³⁾ wielkim W. M. P. expektatywom; wszak urodzenie Jmci jako *dives avis et utroque Jovem de sanguine ducens*, ⁴⁾ tak wszystkim wiadome, a innych talentow znaczny wybor, czyli to *a Parente natura* ⁵⁾ czyli *a Magistro* ⁶⁾ *experientia rerum* chwalebnie nabyty głośnieny nad Krasomowców mowi sam za sobą. *Ipsa sibi virtus laus est, nec fastibus altis erigitur ala usumque, petit clarescere vulgi* ⁷⁾. A z tąd że oczekiwanych W. M. Pana nie zawiedzie nadziei, gotowy dowód. Już że tedy W. M. Pan to nam deklarny miłościwie, co z łaski na darowiznę chowasz. Tchnij w łaskawym responsie swoim *Verbum vitae*, ⁸⁾ którym Jmć Pan N. w upragnionych chęciach ożywiony, gdy życie dla życia, bo kochanego z ręki W. M. P. odbierze przyjaciela, y Jego jak własne życie pieszczono piastować będzie, y oraz z nami W. M. Panu żyć będzie w obliżu wdzięczności nieśmiertelnym: *Ipsaque post verus funera vivet amor* ⁹⁾.

¹⁾ Prawą nogą dotknąć progu.

²⁾ Ojcem chciej być.

³⁾ Do miary.

⁴⁾ Bogaty w przodków i w obojgu krwi (po ojcu i matce)) Jowisza mający.

⁵⁾ Od ojca natura.

⁶⁾ Od nauczyciela (mistrza) doświadczenie w sprawach.

⁷⁾ Cnota samą, dobrą jest chwałą.

⁸⁾ Słowo życia.

⁹⁾ Miłość prawdziwa żyć będzie nawet po pogrzebie.

M o w a.

Oddając Pannę Młodą.

(Skrócone).

Nic więcej od akeydentalnego w życiu błogosławieństwa zgodniejszego, jako w miłej z przyjacielem żyć y umierać komitywie N. N. Niechay kto na pieczołym przychylney fortuny spoczywa łonie, niech serce w nieoschle pomyslnych szczęśliwości opływa kanary, jeżeli kochany przyjaciel troskliwych w życiu nie cukruje momentów, gorzkim stanie słodycz w gardle piołunem, opłakanym wesołości smutkiem *nullius boni sine amico jucunda possessio* ¹⁾. Jakoż kto przyjaciela nie ma, jednym całe życie kłopotem: *sine amico omnis cognatio esi taedia, omnis terra peregrinatio, omnis vita tormentum*, ²⁾ kto z Boskiego odebrał Dekretu, z nim jedyne chęci *coronamentum*, ³⁾ serce serca *in Convictorem* ⁴⁾ życia y przygod, z nim *pretiosum et speciosum thesaurum*, ⁵⁾ w którym wszystkie życia błogosławionego losy zamknęła fortuna: *amicus fidelis medicamentum vitae* ⁶⁾. Tegoż dziś błogosławieństwa y szczęścia odbierasz Maxymę Mci Panie N. kiedy *dotibus et fortuna parem*, ⁷⁾ urodą Pulcheryą, wspaniałością Augustę, wszystkimi wdziękami jedną z trzech odbierasz Gracyi. Nietrzeba tu *verborum colore* JMć Pannie dodawać lustru, którą tak natury jako i fortuny wyborem wdzięków łaskawe utalentowały nieba. Wszak ieżeli pięć najosobliwszych Talentow przezorna w Damach upatrzyła starożytność: *sit pia, sit prudens, pulchra, pudica, potens* ⁸⁾.

1) Żadnych dóbr nie jest miłym posiadanie bez przyjaciela.

2) Bez przyjaciela wielki związek rodzinny jest wstrętnym, cała ziemia pielgrzymką, całe życie męką.

3) Uwieszczenie.

4) Na współnika życia.

5) Skarb kosztowny i okazały.

6) Wierny przyjaciel lekarstwem jest życia.

7) Wianem i majątkiem równą.

8) Niech będzie pobożną, roztropną, piękną, wstydliwą, możną.

Nad tych wymiary i liczbę większa się nie równie w Osobie Jmć Panny zacnych przymiotów aukcyą wynajduje. Żyć w niej pobożność, którą jako z kandorem dziecinnego mleka z piersi wysłała Macierzyńskich, tak teraz *intaminatis fulget honoribus*; ¹⁾ kwitną wstydu różę, którym purpurowego glansu bez podchlebstwa może ustąpić Jutrzenka, tej kształt urody i symetria, której owe gładkości *dolum* ²⁾ wstydzic się może, któremu kłamliwa poety podchlebiła Muza: *Nec Tibi par usquam Phrygiae, nec solis ab ortu inter formosas altera nomen habet* ³⁾. Bierz że już Mei Panie N. *in sociam vitae* ⁴⁾ szczęścia i przygod Towarzysza Jmć N. Bierz tak zacnego przyjaciela, ostatnią nadziei koronę, niech dalszych szczodrze przydają Nieba: *feliciter aevum ducite concordēs, sint nati sintque nepotes, cernat et in proavo sibimet quod pronepos optet* ⁵⁾.

M o w a.

Przy depozycji Ciała J. W. Jmci Pana Antoniego Dunina Regenta W. X. Lit. Starosty Zahorańskiego etc.

Haec requies mea in saeculum saeculi, hic habitabo, quoniam elegi eam ⁶⁾ Psalm 131 mo:

Ciekawą daleko nie zachodzę kwestyą, kto dnia dzisiejszego wybrał sobie w tutejszym szkół pobożnych Collegium zamawia stancyą: *hic habitabo, quoniam elegi*

¹⁾ Błyszczysz nieskalaną cześć.

²⁾ Pozór.

³⁾ Niema równej Tobie nigdzie we Frygii, ani też od wschodu słońca niema owego imienia między pięknościami.

⁴⁾ Na towarzyszkę życia.

⁵⁾ Spędzając wiek w szczęściu i zgodzie, niech będą dzieci, niech będą i wnuki, niechaj w sobie samym jako w pradziadzie widzi każdy co prawnuk życzy.

⁶⁾ Tu jest miejsce spoczynku mojego na wieki wieków, tu mieszkać będę, ponieważ wybrałem je.

eam; ¹⁾ nie pytam co za gość w tym Domu Boskim długi aż do dnia Sądnego dla spoczynku oblicza nocleg *haec requies mea in saeculum saeculi* ²⁾ rzecz y pod czas okropnego wieczora przy zapalonych u katafalku pochodniach wszystkim jaśnie oczywista stawa! co mówię? dał ci by Bog, aby na podpórę Prześwietnego Domu, na utrzymanie interessów publicznych powstał, y stanął: ale już upadł, y leży: *superest ex nomine pulvis*; ³⁾ leży w oczach J. O. J. W. Wielmożnego Spektatora J. W. W. X. Lit. Regent! Ten ci to dnia dzisiejszego twardym piero zahartowawszy żalem, po ostatniey z życia y świata rumacyi, stancją sobie w podziemnym zapisuie grobie: *hic habitabo* ⁴⁾ dokąd go owa na ostatnią potyczkę nie nie wzbudzi pobudka: *surgite mortui ad iudicium* ⁵⁾. Ten się do ciemnego przenosi locha, którego honor, y sławę herbowny Łabędź rownym Orła przymiotem do jasnoświeśnych wyniosł splendorow: *junctisque æra cygnis carpsit iter* ⁶⁾. O iak nie spodziana w krotkim czasie odmiana! Tey ci, tey, podpadają ludzkie szczęścia fortuny, successa, alternacie: *miscentur tristia laetis*, ⁷⁾ tak się przemieniaią y przemiiąją świata tego stany: *fors omnia versat* ⁸⁾. Ale dostoy placu, do upadłej na placu gradywa niegdyś stoiący Pułkownika! stoy y osądź W. Regencie, sprawiedliwy sądow Assessorskich Arbitrze czy słuszna życie za śmierć, za grob Pańskie reysteraty, pokoie, krzesła, rezydencye za trumnę, wspaniałe za katafalk kotary równie zamieniać: *quae societas lucis ad tenebras?* ⁹⁾. Słyszę! ach słyszę! co

¹⁾ Tu mieszkać będę, ponieważ wybrałem to (miejsce).

²⁾ Tu jest spoczynek mój na wieki wieków.

³⁾ Z imienia proch pozostał.

⁴⁾ Tu mieszkać będę.

⁵⁾ Wstancie zmarli na sąd.

⁶⁾ I złączonemi łabędziami skrzydłami poszybował w powietrze.

⁷⁾ Smutek miesza się z wesołością,

⁸⁾ Ślepy traf wszystko zmienia.

⁹⁾ Cóż za wspólność światła i uroku.

za Dekret z Regentowskiego wypada piora: *aequa lege necessitas insignes sortitur, et imos*; ¹⁾ trudno się ma temu prawu sprzeciwić, które równą wszystkich uymuie obligacyą: *aequa lege sortitur*; ²⁾ ten Dom wieczności wszystkim stoi otworem. Tu się najpierwsze świata tego stany, tu po woynach Hektorowie etc na wieczny się kładą spoczynek: *Haec requies mea*; ³⁾ tu się nie tylko herbowne gnieźdzą Łabędzie, ale też koronne Orły, Jastrzębie, Korwiny, Pogonie, Gryfy, etc. z królewskich beret na śmiertelny przelatują cyprys: *sic numina fatis volvitur, et nullo Lachesis discrimine saevit* ⁴⁾. Ale nie mogłeś się na życie tak ostremu śmiertelney przycięciu kosa, kawalerskim założyć pałaszem W. Pułkowniku? nie mogłeś surowey na gwałt fatów zawziętych rzucić kondemnaty, albo dłuższego przywilej napisać życia, W. W. X. Lit. Regencie? Niemasz, nie y podczas walnego Seymu na śmierć rady! ach iaka zuchwałość zawziętych w imprezie fatów!

¹⁾ Równem prawem nieubłagana konieczność wylosowuyuje znakomitych i najniższych.

²⁾ Równem prawem wylosowuyuje.

³⁾ Tu spoczynek mój.

⁴⁾ Tak i bóstwami rządzi fatalizm i bez żadnej różnicy okrutną jest Lachesis.

WZORY STYLU EPOKI KLASYCYZMU

w wieku XVIII.

Pierwsze lata Doświadczyńskiego.

Ignacy Krasicki.

Ktokolwiek opisanie życia mego czytać będzie, niech wie zawczasu, że to ani spowiedź, ani panegiryk. Nie dla próżnej chwały, ani upokorzenia mojego, tę pracę przedsięwzięłem; ale siedząc na wsi, gdy mam czas wolny, wolę go obrócić na to pisanie, niż łamać kark za zajęciem albo w kuflu podagry szukać.

Urodziłem się w domu uczciwym, szlacheckim: którego roku, nie wyrażam, bo to się nikomu na nic nie zda: do mojej historyi chronologija mniej potrzebna, a mnie też nie bardzo miło przypominać sobie, żem stary. Gdybym się chciał zasadzać na świadectwach konkluzyi i panegiryków, przypisanych przodkom moim, które zbutwiały dotąd u mnie w kaplicy wiszą, znalazłbym się może w pokrewieństwie ze wszystkimi familiami w Europie, alem ja od tej próżności daleki. Niesiecki nas w swoim herbarzu, na złość Paprockiemu i Okolskiemu pomieścił: i mnie samemu dostało się czytać w jednym starym manuskrypcie, iż podczas owego sławnego gliniańskiego rokoszu, Doświadczyński niósł buńczuk przed Rafałem Gra-

nowskim, Marszałkiem naówczas i Hetmanem Wielkim Koronnym.

Nim zacznę mówić o mojem wychowaniu, nie od rzeczy zda mi się, nadmienić cokolwiek o tych, od których życie wzięłem, to jest poprostu o moim ojcu i o mojej matce. Ojciec mój po stopniach Skarbnik, Wojski, Miecznik, Łowczy, Cześnik, Podstoli, sześćdziesięcioletnie ziemi swojej i województwa usługi, a ustawiczne na sejmiki elekcyjne i gospodarskie peregrynacye, przy kresie życia szczęśliwie nagrodzone i ukoronowane zobaczył: został stolnikiem. Do tego nawet stopnia konsyderacyi już był przyszedł, że go podano ostatnim kandydatem do Podśędkowstwa; ale przeciwna cnocie fortuna nie pozwoliła dojść tego stopnia; prędko się jednak uspokoił zwyczajną nieszcześliwym refleksyą nad marnościami świata tego.

Dopomogła do takowej rezolucyi nader szczęśliwa natura, był albowiem z tego rodzaju ludzi, których to pospolicie nazywają: Dobra dusza. Nie on o tem nie wiedział, co robili Grecy i Rzymianie, i jeżeli co zasłyszał o Czechu i Lechu, to chyba w parafii na kazaniu. Co mu powiedział niegdyś jego ojciec, a jak starzy twierdzili, jeszcze lepsza dusza, niż on, to też samo on nam ustawicznie powiadał; tak dalece, iż u nas nie tylko wieś, ale i sposoby mówienia i myślenia były dziedziczne. Wreszcie był to człowiek rzetelny, szczery, przyjacielski i choć nie umiał cnót definiować, umiał je pełnić. Z tej jednak nieumiejętności definiowania pochodziło, iż się był względem ludzkości nieco pomylił: rozumiał albowiem, iż dobrze w dom gościa przyjąć, jest toż samo, co się z nim upić. Ztąd poszło, że się i inwentarz zmniejszył, i zdrowie nadwyreżyło; znosił jednak podagrę sercem heroicznem; i kiedy mu czasem pofolgowała, często natenczas powtarzał, iż miło cierpieć dla kochanej ojczyzny. Matka moja z dzieciństwa wychowana na wsi, dla odpustu chyba nawiedzała poblizsze miasta: zkąd każdy łatwo

wnieść sobie może, że jej na wielu talentach terażniejszych brakło. Nie obchodziło ją to bynajmniej; i gdy raz strofowana była od jednego modnego kawalera, iż zdawała się mieć zbyt surowe maxymy i dzikość niejaka, obrażającą oczy wielkiego świata, rzekła mu w szczerości ducha: że woli prostacką cnotę, niż grzeszne występki.

Pierwsze lata niemowlęstwa mojego, przepędzone były w orszaku niewiast; nie dobrze jeszcze artykułowane słowa tłumaczyły piastunki i nianki za dziwnie roztropne odpowiedzi; te z niesłychaną skwapliwością zaraz opowiadano matce mojej, która zwyczajnie od tego punktu zaczynała dyskursa w każdym posiedzeniu; potakiwali ziewając sąsiedzi, a nie jeden byłby może nakoniec i zasnął, gdyby ich był ojciec nie budził częstemi kielichy. Orzeźwieni naówczas, wynurzali kolejną obfite życzenia i prorocтва, a mój ojciec płakał.

W dalszym czasów przeciągu nieraz na myśl przychodziły zdrożności pierwiastkowej edukacyi. i zastanawiałem się nad tem, jak jest rzecz zła i szkodliwa, w niemowlęcym nawet wieku, poruczać dzieci osobom nie mającym żadnego oświecenia. Tkwią mi do tego czasu w głowie bajki i straszne powieści, którychem się nadto nasłuchał; i częstokroć mimo rozumną konwikcyą, muszę się z sobą pasować, żebym gułom i zabobonom nie wierzył, lub wykorzenił bojaźń jakowąś i wstręt, gdy zostaje bez światła, albo na osobności.

Nadto wkraadał się nieznacznie gust obmowy; słysząc albowiem, jak każdego z dworskich obyczaje niewiasty krytykowały, te zaś powieści mile przyjmowane przed starszymi bywały, wziąłem to sobie za punkt pozyskania łaski matki lub ochmistrzyni, cokolwiek też przed nimi na drugich mówić, a gdy brakło okazyi, udawać się musiałem do kłamstwa. Uważałem i to, że jak wieczorne rozmowy były zwyczajne o upiorach, czarownicach i strachach, tak ranne o snach: jedna drugiej

z kobiet opowiadała, co się jej śniło; a z ich tłumaczeń i wrózek nauczyłem się, iż gdy się komu ogień marzy, gościa w domu spodziewać się trzeba; a gdy ząb wypadnie, zapewne natenczas ktoś z krewnych umrze.

Tak do lat siedmiu przebywszy w domu, trafiło się iż przyjechał do nas brat matki mojej, człowiek urzędem, nauką i wiadomością świata znamienity. Przypatrzywałem się pilnie wujowi memu, tym bardziej, iż wiedziałem, że go Rodzice moi bardzo szanowali; dziwowałem się, iż dwa dni u nas siedząc, jeszcze się był nie upił; Księdzu lektorowi, mówiącemu o upiorach, wierzyć nie chciał.

To mi wstąpi do niego zaczęło czynić, iż ze mną, nie tak jak drudzy bawił: a co gorsza, zapędzoną w pochwały moją matkę nie pomału, mnie zaś niezmiernie zmieszał, gdy się zapytał, czy ja umiem czytać i pisać i inne wiekowi przyzwoite mam wiadomości.

Pierwszy raz obiliły się o moje uszy natenczas takowe słowa; matka z początku chciała o czem inszem dyskurs zacząć, ale gdy coraz bardziej nalegał, rzekła natenczas, i ledwo nie słowo w słowo jej dyskurs pamiętam. Podobno się zdziwisz braciszku, gdy ci powiem szczerze, że nasz Mikołajek dotąd ani pisać, ani czytać nie umie; ale nie będziesz nas z mężem moim winował, gdy ci opowiem przyczyny, dla których nie chcieliśmy się spieszyć z jego nauką. Najprzód dziecię jest delikatne, słabe; mogłaby mu szkodzić zbytnia sedentarya, którą i nad elementarzem mieć trzeba. Potem, jak sam W. M. Pan widzisz, niezmiernie jest bojaźliwe; gdybyśmy mu dyrektora dali, straciłoby fantazją: ta zaś raz stracona powetować się nie może. Trudno też znaleźć doskonałego takiego człowieka, jakiegobyśmy chcieli mieć do jego edukacyi; a nakoniec, już to ostatnia rzecz, jak mówią, młode żrebie łamać.

Dobrze mówisz, moja Panno, odezwał się Jegomość; świętej pamięci nieboszczyk Ojciec mój (Panie! świeć nad

duszą jego) toż samo o mnie mówił; ale jednakowo, kiedy Jegomość tak mówi, podobno lepiej dać Mikołajka do szkół. Opatrzy z łaski swojej miejsce i człowieka, a tymczasem wypijmy za zdrowie Jegomości, mojego Miłościwego Pana i kochanego mego dobrodzieja.

Z jaką radością moją, a może i matki, odjechał nazajutrz ten wspólny nasz nieprzyjaciół, wyrazić trudno: jednak jego dyskurs zostawił w umyśle ojcowskim fatalną impresyą. Coraz mowę zaczynał o szkołach; nawet kupiono elementarz i tablicę do pisania. Bolało to niezmiernie matkę; jednak jako była bogobojna, gdy jej w tem uczyniono skrupuły, że mnie na zgubę moją pieści, uczyniła zapewne najheroicniejszą w życiu swoim ofiarę, gdy zezwoliła na to, abym był wysłany do szkół publicznych; ojciec albowiem upornie i z wielką natarczywością ganił domową edukacyę, dla tej przyczyny, że tego przedtem w Polsce nie bywało. Co na to odpowiedziała matka, nie pamiętam, to wiem i dobrze pamiętać będę, że po długich utarczkach, troskach, pożegnaniach, błogosławieństwach, nakoniec w rzewliwym płaczu do szkół wyprawiony zostałem.

Z pamiętników Franciszka Karpińskiego.

Dzieckiem będąc w szkołach już ja ciebie, słodka przyjaźni, poznałem! Do 400 studentów było w Stanisławowie, czemuż ja do dwóch tylko Malickiego i Sosnowskiego tak jak oni do mnie przyłgnałem? Trzeba wyznać, że prócz szacunku wspólnego, który najgruntowniej wszystkie przyjaźni ludzkie umacnia, a na którym nateraz małośmy się podobno znali, jest coś w wieku, twarzy, sposobach obchodzenia się i myślenia podobnego, co przyjaciół połączyć zwykło. Z Sosnowskim, który był w niższej szkole ode mnie, do takiej przyjaźni przyszło, żeśmy nie tylko sobie w kościele przysięgli, że się do śmierci kochać będziemy, ale nawet kartkę małą z pod-

pisami nas obudwóch napisaliśmy, w której, prócz poprzysiężenia przyjaźni, była obietnica wspólna, że któryby z nas pierwszej umarł, ten drugiemu ma się po śmierci (jak natenczas wierzono możliwości takiego uiszczenia) widocznie pokazać i o stanie swoim na tamtym świecie powiedzieć. Co żeby tem mocniejsze było, kartkę napisaną pod obrus ołtarza w miejscu gdzie ksiądz konsekruje położyliśmy, do mszy księdzu obadwaj służyli, i dla utwierdzenia większego tych naszych układów na tejże samej mszy obadwaj komunikowali. W pół roku potem pojechawszy na święta do rodziców, mój przyjaciel Sosnowski umarł; przyprowadzono ciało jego do Stanisławowa i w grobie kolegiaty tamtejszej pochowano. Okna domu, w którym ja mieszkałem, były obrócone na kraty grobów kolegiaty. Cóż tam było bojaźni, ażeby do mnie mój Sosnowski według mi danego przyrzeczenia nie przyszedł; jak długo bezsenne nocy w strachu trawione, póki wypowiadał się i komunią świętą przyjąwszy, śmiały potem, w nocy nawet ku kracie grobowej szedłem i ducha przyjaciela nadaremnie wywoływałem, to mi się nigdy nie pokazał! Tak usłużna i drobnym dzieciom religia, spokojnemi ich i szczęśliwemi, czyni.

I z drugim przyjacielem Malickim raz przyjaźń mało mi na złe nie wyszła. Starsze klasy, jako to: Poetowie, Retorowie i Filozofowie w ławkach siadywali, a młodsze przed ławkami się modliły. W dzień jakiś świąteczny stojąc obok z przyjacielem moim Malickim podczas kazania śmieliśmy się i łokciami, żartując z drugich, potracali. Ojciec mój niespodziewanie dla mnie przybywszy na nabożeństwo, widział z ławek nieprzyzwoitą w kościele swawolę moją i zaszedłszy poza ławki, z tyłu stanąwszy za mną, ciężki mi wyciął policzek, przydawszy głośno: „złego i w kościele biją!“ A potem poszedł do swojej ławki i spokojnie kazania słuchał; prawda z strony ojca, a wstyd z mojej strony, przypominały mi na potem skromność w kościele.

Krew żywa, która do swywoł poruszała, była mi razem pomocą, żem się i naznaczonych mi na pamięć pensów najłatwiej zawsze nauczył, i honor jakiś sprawował, żeby w szkole nademnie lepiej się uczącego nie było. Dyrektor mój Nadziejowski zwyczajnie przed pójściem z rana do szkół pensów, na pamięć wydawanych, raz mnie słuchać nie chciał, bo (powiedział) że słyszał w nocy, jak przez sen doskonale wszystkie pensa wydałem. Ale taż sama żywość zrobiła mnie do mojej religii wpojonej przez ojca gorąco przywiązanym. Nasłuchawszy się żywotów ŚŚ. Pustelników, wzięwszy torbę jakąś i dwa chleby ukradkiem od naszej gospodyni, uciekłem w nocy, do blizkiej Stanisławowa dąbrowy, chcąc odtąd mieszkać na pustyni i żyć żołądzą, pomału przy chlebie przyzwyczajając się. Trzy dni mnie szukano, czwartego sam przyszedłem, zreflektowany, że nie będę mógł do żołądź przywyknąć. Rózga nauczyła pustelnika, że żyjąc między ludźmi, więcej bliźniemu przysługi zrobić można, którego kochać na puszczy jest tylko to mówić, a nie czynić. Widząc w ołtarzu obraz św. Sebastjana strzałami pokłutego, przyszła mi znowu myśl być męczennikiem dla wiary. Wiedziałem, że Chocim miasto tureckie na Wołoszczyźnie, nie tak od Stanisławowa odległe; umyśliłem tam się koniecznie dostać i w środku tego miasta, Mahometa proroka Muzułmanów, ostatniemi lżycy wyrazami: tak obrażeni Turcy, pewnieby mnie za wiarę moją zamordowali. Myśląc o sposobach wypełnienia projektu tego, przyszło mi do głowy doświadczyć pierwej, jak też na cierpienia ran jestem wytrzymały. Dużą szpilkę utkwilem sobie w udo. Z bólu krzyku narobiwszy, i widząc się tak niecierpliwym i szpilkę, i myśl zostania męczennikiem porzuciłem. Lubiąc muzykę, najbardziej na skrzypcach, chciałem się jej uczyć najusilniej; ale ojciec z przesądów wieku tamtejszego, jak i mówić po francuzku, na skrzypcach uczyć się także zakazał. Znowu źle zrozumiana religia połączona z chęcią

nauczenia się na instrumencie, wyganiała mnie do Częstochowy, ażebym uciekłszy z domu, tam służąc przy kapeli kościelnej, razem N. P. Częstochowskiej przez kilka lat służył. Ale ten układ ksiądz mi na spowiedzi odradził: nie czynić złe (jak mówił) martwiąc rodziców, ażeby się działo dobrze.

Okolo tych czasów osobliwsze zdarzenie na Podolu trafiło się. Ubogi szlachcic służąc za ekonoma u pana (którego zapomniałem nazwisko) człowiek poczciwy, ale w zapisywaniu ekspensów niedbały, gdy przyszło do rachunków, tysiąc kilkaset złotych winnym został. Nie bał się zaboru, bo nad kontusz, żupan i kilka koszul, nie więcej nie miał, ale bojąc się kar albo więzienia, uciekł nocą i o mil kilkanaście od dawnego pana, przystał do drugiego na taką funkeyę. Po półroczu dowiedział się pan stary, gdzie się jego zbieg znajduje i posłał podług prawa, woźnego i dwóch szlachty, ażeby zbiega aresztowali. Dniem przed ich przybyciem umarł zbieg ów u nowego pana na folwarku. Pokazano tedy woźnemu i dwóm szlachcie do aresztowania przybyłym już trupa w tym samym kontuszu i żupanie, w którym uciekł od dawnego pana, na katafalku złożonego, z wyznaniem urzędowem: że nic się po nim nie zostało prócz kilku koszul. Woźny i szlachta powrócili nazad do pana opowiadając o śmierci zbiega, i że zapewne nic po nim nie zostało się, a tymczasem tegoż dnia, że kościół łaciński był o kilka mil odległy, ciało zmarłego podwódką dworską chłopom wieść do pogrzebu kazano. Już blisko byli kościoła, kiedy trup mniemany (a którego pewnie krisis choroby uspiła była) ruszać się począł a wreszcie i wieko od trumny zrzucił. Czasy to były, w których najwięcej w upiory wierzono i biedni chłopi zląkwszy się, w blizkie krzaki pouciekali. Trup mniemany tymczasem podniósł się i usiadł w trumnie, a widząc co się z nim było stało, i z trumny miarkując, że go do grobu wieziono, postrzegłszy razem w krzakach chłopą kryjącego się, na Boga zaklinać po-

czał, ażeby do niego przystąpił. Póki mu nie przyszło do głowy przeżegnać się, póty mu chłopci niedowierzali; ale potem zbliżywszy się i poznawszy, że istotnie żyje, z nim nazad do domu powrócili, gdzie on przybywszy prosił najusilniej tego nowego pana, ażeby go nazajutrz do starego odesłał, bo „ja (powiadał) przed moją tą niby śmiercią największy na duszy ciężar czułem, żem od pana dawnego uciekł, nie wypłaciwszy się mu, przynajmniej służąc, za jego szkody“. Dał się łatwo pan uprosić i nazajutrz odesłał go do starego jego pana, u którego stanawszy, wszedł mniemany trup do pokoju, w tym samym kontuszu, w którym był uciekł, właśnie wtenczas kiedy pan jego dawny w tymże pokoju przed zwierciadłem naprzeciwko drzwi będącem na stoliku pisał. Widząc w zwierciadle przychodzącego dawnego ekonoma zmarłego, a obróciwszy się jeszcze do niego i potwierdziwszy, że ten sam jest, z krzykiem uciekł do drugiej izby, gdzie się zamknął. On biedny prosić przede drzwiami począł, ażeby mu ciężki na duszy zaciągniiony dług darował. A pan z za drzwi krzyknie zalękniony: „Ale wyjdź mi z domu, ale wyjdź mi z domu“, ale przecież poznano po wszystkich przestkach, co się stało, i pocciwy ekonom służył panu do śmierci, która w kilka lat nastąpiła.

O języku polskim ¹⁾.

Jana Śniadeckiego.

Język polski godziź się uważać w swem niemo-włęctwie i w tym stanie nieokrzesania i dziecizny, jakby w nim ani rzeczy oddawna znane, dobrze nazwane nie były, ani nazwiska i wyrazy wymawiane i pisane właściwie? Oto pierwsze zapytanie, którem sobie robił biorąc się do pisania w tym języku. Kiedy naród cały,

¹⁾ Porównaj z rozdziałem: „O języku polskim“ Górnickiego na str. 174 i z ustępem z Krewera na str. 41.

mówił od swego początku tym językiem, stanowił i pisał w nim prawa; kiedy w tym języku ma przełożoną biblią i najszacowniejsze dzieła starożytnych i dzisiejszych narodów europejskich; kiedy tyle posiada rozlicznych wiadomości i nauk w tym języku ogłoszonych; kiedy wydał tylu prawdziwych i wielkich poetów, a w prozie po Reju z Nagłowic, Stanisławie Orzechowskim, Łukaszu Górnickim, Piotrze Skardze, Kazimierzu Kojalowiczu, miał jeszcze znakomitych pisarzy: w Ignacym Krasickim, Adamie Naruszewiczu, Franciszku Dmochowskim, Hugonie Kołłątaju, Grzegorzu Piramowiczu, Onufrym Kopczyńskim, nie wspominając tylu innych dotąd żyjących: język tylu pracami od trzech wieków zbogacony, tylu pięknościami i zaszczytami świetniejący, nie może się uważać w stanie dzieciństwa i niedojrzałości! — Wszystko więc, co było dawno znane, musi mieć swoje nazwisko, które potrzeba tylko w tym języku wyszukiwać i wydobywać z zamieszania, a na rzeczy dawno wiadome nowych słów i nazwisk stwarzać się nie godzi.

Nie godzi się też słów i wyrazów znanych i powszechnie przyjętych wykrzywiać, przerabiać i odmieniać. Bo jeżeli chlubimy się z tego, czego inne europejskie narody za sobą nie mają, że rozumiemy wszyscy język wieku Zygmunatów, starać się powinniśmy, aby ci ojcowie mowy naszej, gdyby wyszli z swych grobów, w rzeczach sobie znanych mogli nas wzajemnie rozumieć.

I na tem zdaje się mi polega stałość, ocalenie i zachowanie narodowego języka. Język nie jest strojem kobiecym, wystawionym na dziwactwa mody i wymysły przymilenia, któreby wolno było giąć, wykręcać i przerabiać, żeby go potem porzucić i zaniechać. Jest to owszem ustawa, wskazana przez towarzyską potrzebę; wyrabiana wiekami ze skłonności, obyczajów i charakteru narodu, doskonalona postrzeżeniami i talentem znakomych ludzi, a utwierdzona zgodnem przyjęciem i powszechnem całego ludu używaniem. Tak ustanowiony język

jest znamieniem rozróżniającem od siebie narody i ich pokolenia tak jak imiona, nazwiska, herby i przydomki, rozróżniają osoby i familie w towarzystwie. Jeżeli więc każdy obraża się i oburza, kiedy kto jego nazwisko przekreśla i kaleczy, albo co w jego znakach i herbie odmienia: z równą słusnością urażać się powinien naród, kiedy kto ośmiela się przerabiać i odmieniać jego język i wyrazy od dawna i powszechnie przyjęte. Dlatego taki krok nieuwagi, nie wiem czy źle, czy dobrze, brałem zawsze za winę obrażonego narodu. Wszystkie oświecone Europy kraje tkliwe są na podobne wykroczenia, i przebaczać im nie zwykły. Wiemy na jak skrzętne szpiegowania, na jak uszczypliwe wyrzuty i szyderstwo wystawiona była akademja francuzka w Paryżu, trudniąca się doskonaleniem języka, ilekolwiek razy chciała się odważyć na jaką w języku lub jego wyrazie odmianę! — Naród, który wydał tylu wielkich pisarzy, uważał swój język, jak ową Arkę świętą, której nie godziło się dotykać, tylko uprzywilejowanym, to jest nadzwyczajnym talentem udarowanym ludziom. Wszystkich fabrykantów nowych słów i odmian okrywano obelgą i szyderstwem, i ogłoszano jako nieumiejących języka. I lubo w tym narodzie do przesady skłonny, często zbyt daleko posuwano tę żarliwość, wszelako ostrość ta i surowość miała swoje pobudki w miłości własnej, i dumie narodowej.

Język jest skazówką stopnia, do którego przyszedł naród w cywilizacyi i oświeceniu. Jeżeli język jest ciemny, nieokrzesany, ubogi w wyrazy na znaczenie rzeczy, myśli i namiętności w rozmaitych ich cieniach, przemianach i stopniach; jeżeli prawidła jego nazywania, wymawiania i pisania nie są ustanowione i dobrze oznaczone: naród nie wyszedł jeszcze z dziczyzny, ani do rzędu oświeconych i ucywilizowanych ludów nie ma prawa należeć. My Polacy na cóż się chlubimy wiekami Zygmunatów i Stanisława Augusta? Na co stawiamy na naszą

chwałę tyle dzieł wzorowych w różnym rodzaju nauk i wiadomości? Na co w tych dziełach wychwalamy tyle zaszczytów dowcipu i umiejętności, na co uwielbiamy języka naszego jasność, bogactwo i dzielność, jeżeli w XIX wieku pozwalamy twierdzić i drukiem ogłaszać potrzebę przerabiania nazwisk, sposobu ich inaczej wymawiania i pisania, w rzeczach i myślach potocznych? Cóż nam po prawidłach gramatycznych przez Kopeczyńskiego tak pracowicie wyszukanych, tak umiejętnie i gruntownie dowiedzionych, jeżeli ich nie mamy słuchać i zachowywać w pisaniu? Na co się zda ogrom tak potrzebnych, tak nieocenionych mozołów Lindego w jego słowniku na to sporządzonym, aby nas obeznać z rzetelnem znaczeniem i wdroić we właściwe użycie słów i wyrazów? Na co się, mówię zda tak ważna robota, jeżeli się otworzyła nowa i bogata mina geniuszów, reformatorów, i fabrykantów słów, którzy depeząc wszystką powagę wielkich pisarzy, podają się i ogłaszają za doktorów narodu?

Takiem sobie w bolesnem wzruszeniu porobił pytania, kiedy mi wpadły w ręce książki i pisma, w których, jak gdyby w szpitalu chromych i kalek, znalazłem wyrazy prawdziwie polskie i czyste, zmienione, powykręcane, i jak na łożu tyrańskim Prokusta, obcięte i podreżone; inne znowu bez żadnej potrzeby niezgrabnie potworzone i polepione! W innych krajach ludzie bardzo długo są uczniami wielkich pisarzy, pracowitego ćwiczenia i głębokiego rozmyślenia; u nas każdy zaraz chce być nauczycielem, reformatorem i prawodawcą! Geniusz polski jestże to twór złożony z pierwiastków nieładu i dziwactwa: kiedy czego się tylko dotknie, wszystko mięsza, burzy i wywraca, własnej nawet mowie nie przepuszczając!!

Zygmunt August w Wiśniczu

z Niemcewicza.

Królestwo odpocząwszy nieco, wyszli na wieczerzę do przygotowanej ku temu sali; poprzedzali ich z łaskami wielcy marszałkowie: Kmita i Mielecki. Królestwo z senatorami u osobnego siedzieli stołu; uginał się ten stół od pozłocistych sreber i złotych roztruchanów, usługiwali giermkowie i pokojowcy wojewody. Przy wetach ofiarowała gospodyni królestwu marcypan, zalecając, że był przez jej siostrzenice pieczony. Kmita, jako był do kielicha sławny, napęłnił małmazyą szczerozłoty, ogromny roztruchan i wychylił go za zdrowie Królewskie: toż gdy uczynili i inni, zadrżały okna zamkowe od huku dział, strzelby, kotłów, trąb i odgłosów przytomnych. Król małym kieliszkiem pił wojewody zdrowie.

Po skończonej wieczerzy Kmita, zbliżywszy się z uszanowaniem do króla:

— Miłościwy Panie, — rzekł mu — mam Waszą Królewską Mość prosić o łaskę jedne.

— O cóż, mój Wojewodo? — spytał król.

— O to, byś Wasza Królewska Mość pozwolił panu Tęczyńskiemu pasować na rycerzów dwóch siostrzeńców moich, pana Barzego i Stadnickiego.

— A sąż przygotowani do tego?

— Zupełnie — odparł wojewoda — ostatnie ob-
rządki dzisiejszej nocy odprawia.

— Całem sercem — odpowiedział król; — niech się to jutro stanie.

Przyzwał Kmita siostrzeńców, którzy Królewską ucałowali rękę.

Dwaj młodzieńcy, kilka dni poprzednich na modlitwie i pokucie strawiwszy, w towarzystwie kumów, których jak do chrztu potrzebowano, weszli o świcie do kaplicy zamkowej dla odprawienia spowiedzi i przygotowania się do Komunii świętej. O godzinie dziesiątej

pokazali się królestwo i dwór cały w wyższej loży; na wzniesionem krześle w bogatej szacie, lekką tylko mający karacnę, usiadł Jan Tęczyński. Ksiądz Podlódowski, biskup sufragan krakowski, śpiewał mszę świętą. Ta gdy się skończyła, ujrzano dwóch młodzieńców w odzieży białej, z mieczem rycerskim na ukos zawieszonym na szyi, zbliżających się do wielkiego ołtarza i miecze te oddających księdzu Podlódowskiemu: ten poświęciwszy je, znów je zawiesił na szyi Barzemu i Stadnickiemu, którzy ze złożonymi rękami i pobożnie spuszczonej oczyma ukłękli przed młodym Tęczyńskim i oręże mu swoje oddali, prosząc, by ich raczył na rycerzów pasować.

— Dlaczegoż żądacie zaszczytu tego? — zapytał Tęczyński.

— Byśmy się stali godnymi bronienia wiary świętej, ojczyzny, króla i uciśnionej niewinności.

— Wyrzekacież się — zapytał znowu Tęczyński — wszystkich czynów, któreby zaszczyty rycerstwa splamić mogły: bojaźni w boju, nieuczciwości w pokoju, obłudy, pochlebstwa i chciwości?

— Wyrzekamy! — zawołali młodzieńcy.

Tu panny dworskie podawały im kolejną zbroję, zaczynając od lewej ostrogi, dalej pancerz, naramiennik, naręczaki, nagolenniki, na koniec miecze. Natychmiast powstał z krzesła Tęczyński i dobywszy szpady, po trzykroć płazem jej uderzył klęczących po ramieniu i raz dłonią po policzku, co było znaczeniem, że jeżeli chcą godnie dokonywać powinności stanu swego, gotować się powinni na cierpliwe wszelkich przykrości wytrwanie. Tęczyński raz jeszcze dotykając ich szpadą, rzekł do każdego. „W imię Boga, świętego Michała, i świętego Jerzego! bądź mężny, śmiały i wierny!“

Natychmiast giermkowie podali im szyszak, tarczę i kopiję. Na dziedzińcu stały już bogato przybrane bachmaty, na które młodzieńcy, nie kładąc nogi w strzemień, wskoczyli, nowem chlubiąc się dostojenstwem, toczyli na

koniach, potrząsając do góry kopijami i błyskając w powietrzu główniami ostrych oreży.

Przygotował był Kmita turnieje, lecz Zygmunt August, ogłosiwszy je także na wkrótce odprawić się mającą koronacją królowej Barbary, prosił, aby się igrzyska te odbyły razem. Resztę poranku strawił król na oglądaniu pysznych zamku wiślickiego pomieszczań. Lśniły się wszędy ogromne stosy sreber i złota: srebrne wanny, cebry, perłowe konchy na podstawach z drogich kamieni, dęte ze złota małe posągi i rozmaite drogich ciekawości przedmioty. Najdłużej atoli zastanawiał się król nad obrazami, wizerunki dawnych, sławnych Polaków przypominającymi. Widziano tam portret Goworka, nieodstępного Leszka Białego przyjaciela; Bodzanty, arcybiskupa gnieźnieńskiego, co pradziada królewskiego na królestwo polskie koronował; Zbigniewa Oleśnickiego, któremu król ten w bitwie pod Grunwaldem życie był winien; Zawiszy Czarnego, głośno po świecie z dzieł rycerskich znanego.

Królowa Barbara prędko przeszedłszy, długo wlepione miała oczy w duży obraz, wystawiający wesele Władysława Jagiełły z Jadwigą. Jakoż przechodził on inne malowania pięknem pokupieniem figur, wyrażeniem w twarzy rozmaitych duszy poruszeń, żywością farb, bogactwem i przepysznym ubiorem, całym nakoniec sceny tej układem.

Tu Piotr Baranowski, podczaszy piotrkowski i marszałek dworu wojewody, dał znać, że już dano do stołu. Wziął król małżonkę swą pod rękę i udał się do sali jadalnej. Trwała wspaniała uczta, aż do wieczora prawie. Tymczasem Kmita, nigdy hojniejszy jak przy końcu biesiady, przystąpił do króla i schyliwszy kolano prosił, aby August na pamiątkę, że uczył progi jego, przyjął dar mały. Był to puchar jaspisowy, na którym cyfra królowej B. R. z koroną na wierzchu w dużych dyamentach wysadzana była. Obróciwszy się potem do królo-

wej: — „I ty Pani! — rzekł — z prawa Polski, z wdzięków Cypru królowa, racz od sługi Twego upominek ten przyjąć!“ Tu położył przed królową Barbarą kanak z dużych szafirów, obwiedzionych perłami, mający wpośrodku pyszny onyx z wyrżniętym podobnym nader wizerunkiem królewskim. Królestwo spojrzeli na siebie: zakłopotali ich nieco te dary, lecz nie chcąc obrażać wojewody, z dobrą je chęcią przyjęli. Lecz nie tu koniec gospodarza hojności; wszyscy panowie i dworscy królewscy odebrali od niego pamiątki: ci konie, owi pierścienie, inni łańcuchy, lamy złote i tym podobne. Tęczyński przyjąć musiał zupełną zbroję i szyszak, należące niegdyś do powinowatego przodków Kmity, Zawiszy Czarnego. Była ta zbroja cała powleczone szmelcem czarnym i gęsto przesypana gwiazdami z uryańskich pereł.

— Nikomu — rzekł — zbroja ta nie należy właściwiej, jak Waszmości: jesteś bowiem Zawiszą wieku naszego.

Po obiedzie poszedł król w karty. Grano w flusa: potrzeba było mieć trzy króle, by wygrać. Żartobliwy pan pokazując dwa, rzekł: „Wygrałem“. — „Miłościwy Panie! — rzekł grający z nim Spytek z Zakliczyna, podskarbi w. kor. — nie widzę jak dwa króle“. — „A mnieżto za nie liczysz? — odparł August, — Ja trzeci“.

Zaledwie słońce promienie swe zgasiło, gdy pałające łono tysiącznych światel uderzyło o potężne szyby okien wiśnickiego zamku.

Król i królowa, postrzegłszy to, zeszli coprędzej do ogrodu.

Co za widok uderzył oczy ich! Cały ogród i łączący się z nim zwierzyńiec płonęły w niezliczonych ogniach. Roztaczające się wpośród gajów tych wody we wszystkich zagięciach swoich kilkakrotnie odbijającym się szeregiem gęstych lamp otoczone były. Ogień te tło

lazurowe niebios, przesypane tysiącami gwiazd iskrzących odbijając się o czyste wód kryształ, wystawiały zadziwionym oczom migające się pole szafirów i diamentów. W lampach ze szkła rozmaitych kolorów, zawieszonych na drzewach, kształty różnych owoców noszących, jaśniały pąsowe granaty, złoty owoc pomarańcz i inne płonące dary Pamony. Sploty jaśminów i róż świeżych, łącząc szereg długi ogromnych drzew pomarańczowych, napępniały powietrze najprzyjemniejszą wonią. Tu i owdzie zawieszone były tarcze w gęstych ogniach, noszące na sobie cyfry króla i pięknej królowej.

Na końcu nieprzejranej ulicy z modrzewiów, nad brzegiem czystych strumieni, wznosiła się okrągła koryncka świątynia, cała gorejąca w lampach; wpośród niej widzieć się dawał przezroczysty obraz w naturalnej wielkości z portretem Zygmunta Augusta i królowej Barbary.

Tu zaszły królestwu drogę hoże dziewice i młode chłopięta w białe, lekkie suknie ubrane, niebieskimi wstęgami przepasane; zawieszone u góry w postaci aniołków dziecięta, na srebrnych unosząc się skrzydłach, przelatywały przed nimi, i wonne rzucając kwiaty, śpiewały.

Naprzeciw świątyni rozbity był bogaty namiot turecki, szyty perłami i złotem; podniesione ściany jego odkrywały stół dla królestwa przygotowany. Ustały chóry, królestwo usiedli na wywyższonem miejscu; w oddaleniu dęta muzyka słyszeć się dała, wszyscy podawali się weselu, gdy nagle przezroczysty obraz naprzeciw świątyni zajął się płomieniem. Rzucono się zewsząd na ratowanie go; uratowano tylko połowę, druga nosząca wizerunek królowej, całkiem ogniem spłonęła. Królowa Barbara spostrzegłszy to, zemdląła i błądząc swą głowę na ramieniu królewskiem zwiesiła. Powszechna radość za-

mieniła się w trwogę: przełęczniony król pierwszy zaczął ją trzeźwić; przypadli lekarze, za pomocą ich otworzyła królowa Barbara oczy. „Ach! wszystko — rzekła z westchnieniem, — potwierdza smutne me bliskiego końca przecucie“.

Przypadek ten przerwał tak świetnie przygotowane gody.

WZORY STYLU EPOKI ODRODZENIA

w wieku XIX.

Ofiara pierwszego kwiatka.

Jeszcze zima nie zupełnie opuściła naszą krainę, jeszcze nie wszystkie pączki otwierać się zaczęły i ziemia w wielu miejscach ostrą i nierozmarzłą się wydawała, kiedy razu jednego, biegło przez lasek sześciolatnie dziecko.

Mimo przykrej drogi, mimo tylko szmatkiem owiniętych nóżek, pospieszał chłopczyzna niemal coraz zwaśniej, odgarniając kiedy niekiedy jasne włoski nasuwające mu się na czoło. Zatrzymał się wreszcie, zboczył już i tak z krętej ścieżki, podskoczył w lewo, to znowu na prawo, a nakoniec z krzykiem radosnym pokazał, że dobiegł kresu swych życzeń. Pod maleńkim jałowcowym krzaczkiem, był śliczny, świeżuchny, dopiero co rozkwitły pierwiosnek. „Ach cóżto za radość, rzekł sam do siebie, śliczna panienska dotrzyma obietnicy i bez wątpienia, da mi jeszcze co więcej nad okrągłą, białą złotówkę. Ileż ja sobie rzeczy za nią kupię... a kto wie, może... i w uniesieniu dziecięcym, spojrzawszy na przeziębłe nóżki: trzewiczki! — zawołał głośno.

I urwał kwiatek nadobny, a wzięwszy go ostrożnie w rękę, ku udeptanej pospieszył ścieżce. I biegł znowu

bez wytchnienia, póki nie ujrzał szerokiej, wysadzonej drogi, do ładnego prowadzącej dworku. Lecz tu na samym skrócie stoi kapliczka, a mimo wielkiego pośpiechu, jakże tu nie wejść do niej, nie ucałować drogiego obrazu Najświętszej Dziewicy, którą matenka nim zasnęła na zawsze, kochać jak drugą matkę przykazała. Wszedł więc chłopczyzna niepewnym krokiem, ukląkł przed obrazem, złożył drobne rączki i modlić się, polecać opiece Matki Boskiej zaczął, tak jak matka jeszcze uczyła; a twarz jej tak mu się wydała piękną, takim tchnęła dobroci wyrazem, że złożyć przed nią w ofierze kwiatów, tyle przed chwilą ceniony, nieczem mu się teraz zdało, byłby chętnie dał co więcej jeszcze. Złożywszy pierwiosnek przed obrazem, pełen lubej radości opuścił kapliczkę; już i ponętne zabawki i ciepłe trzewiczki zniknęły z myśli, lecz nigdy jeszcze tak swobodnym, tak pełnym dobrej myśli się nie czuł.

Boska Dziewica nie opuściła dziecięcia, co tak wcześniej jej opieki wzywało. Janek wyrósł zdrowo na uczciwego i użytecznego człowieka, Bóg mu błogosławił, kochali ludzie, bo pamiętał na słowa matki, nie wahał się uczynić ofiary dla Tej, która mu pierwszą zastąpić miała.

Powietrze.

Była to niedziela — niedziela dzień tak ważny, tak uroczysty dla pracowitych wieśniaków; jednak nie widać radości na twarzach skromnych mieszkańców Wierzbowa. Czemuż milczą ochoce skrzypki, niegdyś do miłej wzywające rozrywki? Czemuż ustał wesół gwar zebranych kumoszek i głośnie rozprawy starszych wiekiem gospodarzy? Co znaczy posępność, ten wyraz przerażenia? — Kto pozamykał te chatki? gdzie są ich właściciele? — Co przyczyną łez tej rozpaczającej niewiasty? Kto wydarł Matkę tym tułającym się diatkom? — Zaraza! okropna zaraza!..

Powoli, donośnie, ozwał się odgłos kościelnego dzwonu, do wieczornej wzywając modlitwy. Ucichły szmery, wszyscy jakby jedną niewidzialną pchnięci siłą, padli na kolana, i gorącemi słowy i pełnem czucia wejrzaniem błagali litości Boga.

Ostatni raz dzwon uderzył uroczyście, żałośnie, a w jego dźwięku było coś tak smętnego, tak okropnego, jak gdyby był echem konających jęku, skargą pozostałych sierot, lub nowych klęsk przepowiednią. O! długo, długo ten odgłos złowieszczy drżał w uszach słuchających, choć coraz ciszej, choć coraz słabiej, lecz zawsze z równem wrażeniem, aż nareszcie skończył zupełnie. Ale powstał jęk drugi, już nie marzeń, przewidzeń, nie urojenia, tylko jęk boleści. — Małe, wynędzniałe dziecko w odartej sukience, z piętnem choroby i wyniszczenia przywlekło się do murów cmentarza okrażającego świątynię; chciało postąpić dalej — zadrzały nóżki i padło bezsilne na ziemię. — Jeszcze raz wzniosło zapadłe oczy, w których ogień gorączki walczył z mgłą śmierci, poruszyły się spieczone usta jakby chłodzącego szukając napoju, podniosła się zsiniała rączka, i dziecko zawołało na wpół umarłym głosem „wody!.. kropelkę wody dajcie!“...

Posunęło się kilka osób, ale myśl zarazy nagle ich cofnęło, i rozpierzchnął się tłum patrzących, a bojaźń śmierci ostudziła uczucie ludzkości w sercach tych ludzi, którzy przed chwilą sami tak kornie błagali miłosierdzia

Wtem się wyrывa z pośród tłumu niewiasta; jej odzież nosi cechę kilkodniowej podróży; na licach maluje się wyraz zmordowania i pośpiechu. Ona jedna rozumiała błagalny głos dziecięcia! Ach ten głos jej tak drogi, ledwie zachował cząstkę dawnego dźwięku — jednak poznało go serce!.. Wstrzymuje ją nieczułych zgraja, — zabrania — grozi — straszy; ona nie słucha — ona wyrывa się z rąk natrętników i bieży, bo

któraż matka lęka się śmierci na widok konającego dziecięcia?

O już są razem!.. synu mój! zawołała chwytając go z dziką rozpaczą w swoje objęcia; synu mój! jęknęła mocnym, przedłużonym głosem i w tych wyrazach wyłała się cała jej dusza.

Stała niema, martwa, jakby nagle rażona uderzeniem piorunu. Znów porwała dziecko, okrywa je pieścizotą, uściskami, jak gdyby chciała wspomnieniem szczęścia, obietnicą rozkoszy zmusić do pozostania ulatującą duszę i własnym technieniem przedłużyć coraz wolniejszy oddech swojego syna.

Poznało nakoniec dziecko obecność matki! chciało jej czułem nagrodzić wejrzeniem, ale łza śmiertelna zaćmiła oko, uśmiech skonał na usteczkach — a kiedy wezbranej tkliwości kropelka potoczyła się po wyblądłym licu, już w osłupiałych oczkach nie płonął ogień życia!

Z Zorzy.

Listy brata i siostry.

List pierwszy. Zdzisław do Wandy.

Pierwszy raz w życiu odbieram list od Ciebie, kochana Wando, i przyznaję, że mi wielką radość sprawił. Piszesz, że tułając się długo po obcych domach, osiadłaś nareszcie na zawsze u Ciotki naszej, która już za córkę Cię uważa. Zaczęła swoją opiekę od przedstawienia Ci Twoich obecnych powinności, ona pierwsza Cię nauczyła, że nie mając rodziców, w starszym bracie powinnaś widzieć opiekuna i ojca. Rozrzewnił mnie Twój list, i słodką ku Ciotce przejął wdzięcznością; w samej rzeczy, rodzeństwo osierocone więcej od innego kochać się powinno, a wzajemnem przywiązaniem łagodzić wspólną i niepowetowaną rodziców stratę... Ale dlaczegoż kochana siostro, te uczucia po francusku wyrażasz? wszakżeśmy

oboje Polacy? wszak w kraju polskim mieszkamy? po polsku więc pisuj do brata. Mowa ojczysta najmilsza i najprzyzwoitsza każdemu; wyrazy przywiązania w niej kreślone, jeszcze snadniej do serca trafiają, bo sam dźwięk narodowego języka słodko to serce porusza... Pamiętam, żeś od dzieciństwa wielką wróżyła do wszystkiego zdatność; wiem, że gdziekolwiek byłaś, wszędzie Twoją pilność chwalono; z odebranego świeżo listu widzę, że te nadzieje i te pochwały mylnemi nie były; w dwunastu latach trudno tłomaczyć się głódziej i jaśniej, a jeszcze w obcej mowie; wyglądam zatem z prawdziwą niecierpliwością listu od Ciebie po polsku napisanego; wierzaj mi, podwoi się tym sposobem wdzięk korespondencyi naszej, bo gdzież szukać milszej mowy od mowy naddziadów? i w jakiejżeby uczucia i myśli łatwiej wydać można jak w tej, którą najpierwej usta nasze przemówiły?

List trzeci.

Wiesz, com zrobił z twoim polskim listem? nie odczytawszy go, rozdarłem. Wybacz Wando, ale w pierwszej chwili nie mogłem się wstrzymać. Wiesz, com jeszcze zrobił? oto na nieszczęście wpadł mi zaraz potem pierwszy Twój list w rękę, i ten podarłem, bom się szczerze na Ciebie rozgniewał. Tak dobrze na wiek swój obcym pisząc językiem, jak możesz ojczystym takie brednie prawić? Wstyd mnie za ciebie; a gdy sobie przypomnę, żeś gotowa do uznania tego błędu, szczerze Cię żałuję. Nazwałaś mnie sama swoim opiekunem i ojcem; starszy od Ciebie sześcioma laty, mam niejakię prawo do użyczenia Ci rad dobrych; nie dziwuj się więc, jeśli do Ciebie po ojcowsku napiszę; pochlebiam sobie, że i ciotka gniewać się na mnie nie będzie; ona dobrocią swoją tę śmiałość mi nadała.

Na miłość, którą masz ku mnie, zaklinam Cię sio-

stro, wejdź w siebie, zastanów się, i uznaj, jaką to jest niedorzecznością przyswajać sobie obcą mowę, w niej jedynie mówić, czytać, pisać, mając własną tak piękną i bogatą. Wiem niestety! że ten przesąd jest niemal powszechnym u płci Twojej: że pomimo pozornej jakowejś odmiany, ciągle u was obcy język nad ojczystym przewodzi; wiem, że plemię wzrastających dziewcząt, nie wielkie postępy mowie naszej wróży, wiem, że gdybym w tej chwili mógł przejrzeć cudem jakim wszystkie dziewczynek twego wieku i stanu, dzienniki, listy, zeszyty, imienniki, modlitwy nawet, znalazłbym wszędzie francuski język w robocie, a zaledwie odkryłoby się dziesięć na sto, które ojczystą zamięłowały mowę. Lecz ta ślepotą im powszechniejsza, tem więcej szkodliwa i bardziej bolesna. Język polski drogą jest po ojcach naszych spuścizną; za jego jedyną pomocą możemy podnieść literaturę krajową. Jakżeżby gardzić tym skarbem!..

Twój list rozgniewał mnie, ale gdym się nad nim zastanowił, boleść miejsce gniewu zajęła, i nie do Ciebie jednej, ale do wszystkich rówieńnic Twoich głęboki żal powziąłem. Ach! pomyślałem sobie, gdybym miał z dziesięć lat więcej, gdybym już pisał dobrze, zrobiłbym odezwę do wzrastających dziewcząt za mową ojczystą; możeby moje słowa do ich serc trafiły. Ale tak, cóż uczynić mogę?..

Tańska.

Jan Zamoyski.

Na kazaniu Melchiora Mościckiego.

Przez Tańską.

Byłoto w czwartą Niedzielę Listopada 1582 roku: wielka Msza co dopiero odprawiać się zaczęła w kościele Dominikanów we Lwowie, a po pierwszej Ewangelii miał mieć kazanie jeden z najslawniejszych owego wieku kaznodziejów, syn ubogich mieszczan z Przemyśla,

Melchior Mościcki: czem był, co umiał, własnej pracy był winien: ozdoba Duchowieństwa polskiego i Dominikanów zakonu, kilkakrotnie urząd ich prowincyała sprawując, odmówiwszy arcybiskupstwo lwowskie, do królów nietylko wolny, ale śmiały miał przystęp. On na Sejmie piotrkowskim, kiedy Zygmunt August pisma przeciwne wierze chciał podpisywać, pióro mu z ręki wytrącił; on — dowcipu ostrego, biegły w świeckich umiejętnościach, głęboki w duchownych, niespracowany w sporach, układny we wszystkich postępkach, przenikliwy w rozwijaniu wątpliwości, dobry przewodnik w tłumaczeniu Pisma św. i niezmiernie w niem wyćwiczony, młot na przeciwników kościoła, niezwalczony w zapasach z nimi, roztropany w ich przekonywaniu, przez kilkanaście Sejmów kazywał.

On i dziś, lubo już starzec siedmdziesiątletni, miał się dać słyszeć spragnionym oddawna wymowy jego Lwowianom. Natłok też w kościele był niesłychany; wszystkie ławki, wszystkie miejsca zajęte były: troskliwe matki wynosiły niemowlęta swoje w górę, bojąc się, by ich nie przyduszono. Chociaż mróz tęgi dech prawie na dworze tamował, tu pary z ust idącej widać nie było; ganki kościoła ugiwały się pod ciężarem natłoczonych widzów; a ci lubo spoglądali z góry, przecież prócz kapłana spełniającego św. ofiarę, niczyjej całej postawy ujrzeć nie mogli; głowy tylko rozmaitego kształtu, wygolone lub z wymuskanemi czuprynami, w kapikach, kołpaczkach, w czołnkach, w warkoczach, przedstawiały się ich oczom; za lada pchnięciem, przez przybycie nowej osoby sprawionem, wszystkie te głowy poniewolnie posuwały się naprzód i znowu wtył wracały, jak kłosa zboża, któremi wiatr kołysze, albo rozbujanej wody bałwany. Wtem przy drzwiach kościelnych wszczął się szmer jakiś: słowo Hetman, lubo cicho wymówione, z ust do ust przechodząc, o sam wielki ołtarz się odbiło; nagle obecni, i lubo tak ściśnieni, jakby dotknięci cu-

downą rószechką Mojżesza, rozdwoili się i wolną wśród kościoła otworzyli ścieżkę. Powstał wprawdzie w tymże samym czasie płacz dzieci, skargi niewiast, gniew naciśkanych mężczyzn: ale odgłos ten zagłuszonym został szelestem wchodzących, szczęką ich pałaszów, brzękiem długich ostróg, odbijaniem się butów kowanych o kamienną posadzkę; a chociaż w takiej ciasnocie ledwo oddychać mogli widzowie, wspinali się jeszcze na palce, wyciągali szyje ponad ramionami sąsiadów, ażeby ujrzeć ten świetny orszak, świetniejszego jeszcze Naczelnika. Był nim wielki Jan Zamoyski. Z zwykłą sobie odwagą i biegleścią szczęśliwą prowadząc wojnę właśnie przed rokiem po zdobyciu Ostroroga, Hetmanem był został, z tą samą władzą, jaką niedawno piastował tak godnie Jan Tarnowski. Po zawartym w Zapolu pokoju, jechał do założonego przez siebie Zamościa z orszakiem dworzan i rycerzy: rad był zapewne stanąć jak najprędzej w domu, ale równie pobożny jak mężny, nie chciał gwałcić święta i w Niedzielę przed odbytem nabożeństwem puszczać się w dalszą podróż bez nagłej potrzeby. Nie był mu przecież powrót do domu tak pilny, jak kiedy przed dwiema laty z połockiej wracał wyprawy; wtedy czekała na niego z utęsknieniem ukochana żona; dziś młodą, piękną, cnotliwą Krystynę zimny głaz pokrywał, a bohatera, którego cały kraj witał radośnie, w domu tylko własnym nie miał kto powitać. Jak do przejścia przez kościół tak i do siedzenia Hetman, nim zażądał, wygodne znalazł miejsce; jeszcze nie doszedł do pierwszej ławki, kiedy już próżną była; zajął ją; a nie tylko nikt przy nim usiąść nie śmiał, ale skoro kto z bliska stojących, siłą natłoku wepchniętym do niej został, cofał się natychmiast z tem uszanowaniem, jak gdyby stopni tronu się był dotknął. Nie mogły być niemiłe Zamoyskiemu te publiczne uszanowania oznaki: Kto, jak on, szablą, piórem, radą, majątkiem zasłużył się ojczyźnie, temu nagrody i pochwały od współziomków są tylko

należną daniną; nie próżną chlubę, lecz słodkie zaspokojenie w sercu rodzą, gdyż są sprawiedliwości wymiarem. Jednak to nieustanne szamotanie się, przerywało mu pobożne odmawianie łacińskich modlitw z bogatej księgi, którą przed nim jeden z dworzan rozłożył, a widząc obok ławki swojej sędziwego wojownika, już niemal zsiadłego od opierania się tłoczącej ciżbie, wskazał mu, że wejść może. Dawny husarskiej chorągwi towarzysz, okryty głębokimi na twarzy kresami, skaleczały na jedną nogę i właśnie pod dowództwem Zamoyskiego przed kilkoma laty w te godła waleczności opatrzony, nie śmiał usłuchać od razu; ale zachęcony łaskawem Hetmana wejściem, wszedł do ławki: dawny wódz spojrzawszy wtedy na nogę jego, dał mu jeszcze znak, żeby usiadł. — Już temu nie chciał być powolny sędziwy towarzysz, a cała jego postawa mówiła, że nie zapomniał jeszcze do tego stopnia obowiązków żołnierza dla starszego. Lecz Zamoyski trzając ręką jego, rzekł mu pocichu: „Siadaj bracie! wiekiem i tą bliźną starszys ty odemnie, przed laty obok mnie walczyłeś, dziś spocznij“. Usiadł towarzysz i podniósł z dumą głowę siwizną okrytą; blade jego lice i poorane czoło przybrały na chwilę barwę młodości; oko pomroką wieku zasute, zabłysło równym ogniem, jak oko czterdziestoletniego Hetmana; poprawił rzemiennego pasa i zakreślił wąsa. W tej chwili Kapłan, sprawujący ofiarę, tyle znaczące życzenie: „Pan z wami“ oświadczywszy zgromadzonemu ludowi, roztworzył księgę Ewangelii i czytać na głos słowo Boże zaczął. Powstali wszyscy, powstał i Zamoyski, a dzielną prawicą dobył do połowy zawsze zwyciężkiego oręża: nie wielu z przytomnych poszło za jego przykładem, bo już u stanu rycerskiego siedł w zapomnienie ów zwyczaj, którym od Mieczysława ojcowie nasi okazywali swoją gotowość do bronienia wiary; ale na ten widok łzy rozczulenia stanęły w oczach starego towarzysza, i padły na pałasz jego, tyle razy w krwi zmaczany i także na pól dobyty.

Pasieczna.

Z listów ks. Karola Antoniewicza.

Jesteśmy w Pasiecznej. — I cóżto jest ta Pasieczna? zapytacie. Oto skały najeżone dokoła, kilka potoków wszerek i wzdłuż, i w prawo i w lewo krzyżują się, i buczą i szumią, i pienia się i gniewają; to znowu pokornie liżą nogi tych skał: kilka chałup huculskich, jak gniazda orle zawieszonych na górach, to i cała Pasieczna; niby to wieś, niby obóz koczujących pielgrzymów, co przez puszcę świata ciągną do nieba wpośród łez i boleści, bo na łzach, nędzy i boleści nie zbywa tu nikomu: bieda, głód i choroby dziwnie sobie tę okolicę upodobały, i komorę zamieszkały w tych chatach huculskich! O! co tu nędzy! Ludzie, jak bydło, burzany i trawę zbierają po skałach, aby głód zaspokoić; gromady zgłodniałych dziattek, jak te polne ptaszęta, otwierają usta za okruszyną chleba, a opuchłe z głodu matki nie mają czem dzieci własnych ratować od strasznej śmierci! Biedny góral podobno najlepiej, jeśli nie rozumem i rozmysłem, to wrodzonym instynktem pojął, co to jest życie wygnańca na ziemi: jak ptastwo przelotne buduje gniazda, tak i on gniazdo swoje, ot gdziekolwiek, do skały przyczepi, bo te kilka deseczek do kupy zbitych, daleko bardziej do gniazda, niż do domu podobne. I tu rodzi się biedna dziecina, i tu umiera stary hucuł, i świat go nie znał, i on świata nie znał, chyba o tyle, ile ten sprawił mu boleści; i te górskie pokolenia, jak te jodły po parowach, wznoszą się i nikną; a pamięci ich ani na grobach, ani na sercach żadnego śladu niema. — Pięknie tu, i bardzo pięknie, i smutno, i wesoło, i posępnie, i jasno, tak jak w duszy, że mi się czasem śmiać, czasem płakać chce, sam nie wiem dlaczego. Jak stare zamczyska dziwnych kształtów skały pilnują nas, abyśmy ztąd nie uciekli, a na ich wierchołkach, jak nieme straże, pojedyncze sterczą jodły. Gra chmur i słońca,

które czasem nadgląda, co się dzieje w tych zakątkach, dziwna, przedziwna; — tu nie mnie, ale mistrza malarza potrzeba, bo ja tylko patrzeć się umiem, jako te chmury czepiają się skał wierchołka, podobne do biednego serca, co się Boga ująć pragnie; ale pomimo całej piękności skał, bo to polskie skały, wiatry cudzoziemskie pędzą biedną chmurę, która w rozpaczę łzami deszczu się rozpłynie, i tak przynajmniej na rodzinnej zostanie ziemi.

Cmentarz w Pasiecznej na wysokiej pochyłej górze, na miejscu kamienistem, zasłany grobami, krzyżami, grób koło grobu, krzyż koło krzyża, kości koło kości. Biedni huculi, tak za życia jak i po śmierci! ciasno im i gorzko, ale za to dusza w przestronnych raduje się przybytkach. Krzyżyki małe, proste dwa patyki na krzyż przewiercone, które pierwsza śnieżna nawałnica łamie, i dlatego to cały ten cmentarz temi połamanemi krzyżów szczątkami okryty, dziwny przedstawia widok: tak tu coś smutnego i tęsknego, co na innych cmentarzach widzieć i czuć się nie daje; parę drzewek posadzonych na grobach, na pół wyschłych, cała jego ozdoba.

Było to samo południe... Z miejsca, gdzie siedział prześliczny był widok na małą dolinkę i wieże cerkiewne, baszty hamerni, domki i zagrody, potoki wężykiem płynące; szmer i gwar tak rozmaity wód i lasów, ludzi i bydła, a tu tak cicho, tak samotnie, tylko bąk jakiś przyłączył się do mnie, i rozniewany mrucał, że nie było ani jednego zwierzęcia, gdzieby mógł usiąść, i wciąż koło mnie krążył, jakby się dziwiąc, co tu żywy między umarłymi porabia!

Po wszystkich górach i skałach, z kijem w rękę i brewijarzem pod pachą w Imię Boskie wędruję, wesoło lub smutno, jak Bóg da; znajomość mam tu po wszystkich zakątkach, i niejedna chwilka zbawienna spędziła się przy gawędce w huculskiej chatce. Ja ich nibyto nauczam, a tym czasem więcej od nich korzystam. Oni cierpią! ale jak cierpią... a kto cierpi, ten ma wię-

cej mądrości jak najmędrszy filozof. O jakże się serce kraje, widzieć tych ludzi głodnych, błakających się za kawałkiem chleba, te matki, co patrzą na dzieci umierające z głodu!

Przed kilkoma dniami dwóch hucułów kopalo rudę żelazną do hamerni; wtem góra się usuwa, i zasypuje jednego z nich do połowy; towarzysz biegnie spieszno szukać pomocy; żona tegoż, młoda kobieta, mając w polu przy sobie małe dziecko, słyszy, że góra zasypała jednego z pracujących w kopalni, rzuca wszystko, porywa dziecko i biegnie w rozpacz, lecz gdy jej i dziecko jest przeszkodą, zostawia je na środku drogi i przybiega na miejsce nieszczęścia, gdy właśnie ludzie zebrani ziemię odrzucali, aby ratować przywalonego; pada na kolana, płacze, ręce załamuje; napróżno pokazują jej, że to nie jej mąż, ona patrzy i nie widzi, słucha i nie słyszy, i dopóty się nie daje uspokoić, dopóki sam mąż nie przyszedł i nie uspokoił ją. A to mówią, że ci ludzie uczucia nie mają! Oj mają, ale wtenczas, gdy im potrzeba, nie dla parady, aby się niem popisywać; tylko że to uczucie nierozumiane, boleśnie zawsze zranione, kryje się i tai w sercu jak potok górny w skałach, ale w chwilach ważnych z całą potęgą na jaw się okazuje, i wszystkim wykrzyk podziwienia wywołuje: „Ktoby się spodziewał, że pod tą lichą siermięgą bije takie serce?“ kto? nikt ludu naszego nie zna i znać nie chce. — Tego biednego z pogruchotanemi nogami przyniesiono do domu, nazajutrz poszedłem go odwiedzić: mieszka na dzikim ustroniu, wpośród potężnych skał i jodeł; wszedłszy na podwórze, posłyszałem dzwonek cerkiewny i zapytałem przewodniczącego hucuła, na co to dzwonia; odpowiedział mi, że to właśnie w tej chwili umarła matka tego biedaka; stara, słaba już była, ale widok syna w takim stanie dobił ją; dwadzieścia cztery godzin tylko przeżyła po tej boleści. Wszedłem do izby: blady, przy trupie na ławie położony, palił się kaganek, aby ten smutny obraz

śmierci i nędzy w ciemnej oświecił izbie; obok trupa matki syn cierpiący, dwoje dorosłych dziewcząt przykrywało ciepłe jeszcze ciało starej, a gromadka dzieci obojętnem okiem patrzyła na życie i śmierć; a jednak taki był spokój na wszystkich twarzach, zaiste i we wszystkich sercach, bo biedny ten lud nie z książek, ale z własnego nauczył się doświadczenia, że ta ziemia jest łez i płaczu doliną. Zebrało się więcej ludzi z sąsiednich chat, i wspólnie przyklękawszy, pomodliwszy się przy ciele, pomówiłem z nimi i pocieszyłem jak i czem mogłem, a z błogosławieństwem ludu pogoniłem w ciemny głęboki las, skąd też późno w wieczór do chaty naszej wróciłem, bo mi dobrze było pozostać na chwilę samotnym. Mój Boże! tak historia całego życia naszego rozwinęła się w całej prawdzie przed oczyma memi. Biedna hucułka przeżyła lat siedemdziesiąt, całe jej życie było pracą, boleścią i nędzą, i boleść była przyczyną jej śmierci. I oto z pogrzebu wróciłem. Gdy ciało do grobu spuszczali, promienie słoneczne przez ciemną przebijając się chmurę, oświeciły cmentarz i gromadkę zebranych w około grobu, w poważnem milczeniu huculów i huculek; jeszcze raz uklękawszy i pomodliwszy się wspólnie, po serdecznem pożegnaniu rozeszliśmy się każdy w swoją stronę. Kto szuka wrażeń i pragnie wzruszeń, na co mu romansów i teatrów, niech tu przyjdzie, niech te skały odwiedza, a zobaczy; niech się z tym ludem rozmówi, a posłyszysz w rzeczywistości to, co najbujniejsza wyobraźnia w czczych marzeniach dać mu nie może.

Pożar puszczy.

Przez W. Pola.

Wszędzie, gdzie tylko człowiek nie zdoła ogarnąć obszarów natury, wszędzie gdzie tylko człowiek nie zdoła wytłoczyć na niej piętna swego ducha, powtarzają się też same zjawiska. Najprzód gospodarzy wichry i roz-

nosi nasiona przyszłego życia; w ślad jego zaradzająca się roślinność, która jest warunkiem wszelkich wyższych potęg istnienia, a gdy ta płaszczem swoim okryje powierzchnię ziemi, zamieniając ją w uroczysko bogów i przybytek człowieka, wówczas dopiero podejmuje człowiek walkę z potężnem życiem roślinności pierwotnej, a jako dzikie dziecko natury, poczyną zniszczeniem sere dzieło.

Czując się za słabym do tej walki, wzywa pomocy niszczących żywiołów, a tak gospodarzy, wichrze roślin na ziemi, a po niej ogień w przymierzu z człowiekiem.

Do osobliwości tedy tych okolic będą jeszcze należały letnie gory lasów, czyli pożary puszczy.

Jak u nas zdarzy się widzieć podczas posuchy gorzące błota lub stawiska niekiedy, tak tu są zwykłym zjawiskiem gorzące puszcze.

Opuszczone lub z pustoty nałożone ognisko, wiehrami rozdęte, obejmuje niekiedy kołem całe okolice leśne.

Z trzaskiem czepia się pożar najprzód krzewów, wrzosowiny, mchów, wyschłej trawy i smolnych korzeni po ziemi, nurtując spodem i zwęgłając wszystko pod piaskiem, czego się tylko uchwyci, potem zbiega pożar wysokim słupem po sośnie lub jodle i osmala w jednej chwili wszystką choinę. Żywica występuje z drzewa na korę, która z trzaskiem od gorąca pęka i całe drzewo płonie jak pochodnia w potokach palącej się żywicy... Powoli zbiega z niego płomień tej olbrzymiej głowni w przelocie, gdy wiatr silniej zadmie, aż w końcu przepalona wali się z łomotem i sypie pod niebo iskrami, uderzywszy w piekielne ognisko!..

Widziałem pożar taki. Zrana na milę rozciągały się dymy pod sklepieniami puszczy, równą, wąską, błękitnąwą smugą i stały w miejscu nieruchome. Zdala huczało ognisko; — gorąco nie dozwalało przystąpić i cała puszcza drżała w ogrzanem powietrzu. W południe ścielił się dym po ziemi i nic nie można było widzieć. W nocy

stał ogień ogromnym słupem wśród puszczy, wysoko bił płomień, iskry leciały... i wielka luna świeciła na niebie. Po tygodniach i po miesiącach całych jaśnieją nad puszciami łuny takie, a co noc w tej samej stronie, a co noc szerzej, aż je w końcu szarga jesienna zalewa.

Przykrym jest widok puszczy zgorzałej i wystygłej; bo nie zaraz odżywia się roślinność na podobnem spalenisku, zwłaszcza tam, gdzie roślinność północna zwolna się tylko dorabia swego istnienia, gdzie ze zniszczeniem lasu znika zarazem na długo, na bardzo długo, całe podślanie roślinności drobnej, które jest koniecznym warunkiem roślinnego życia w wyższych jego potęgach.

Widziałem, jak się raz wyniósł ogień wązkim oszyjkiem torfów z puszczy na otwarte błota i zamienił je w ciąg jednej nocy w palący trzon. Nurtując po wyschłym torfowisku, płynął ogień w gorejących potokach, podobien do rzeki dzielącej się na drobne ramiona, aż całą postać ogarnął... Następnie zbliżały się pociągami wiatru te ogniste rzeki ku sobie, i tworząc osobne centra, uderzyły płomieniami w górę. Przez jedną chwilę zdawało się całe obszerne bagnisko ognistą powodzią zalane, potem opadł płomień, a czarne dymy skrzyły się w wielkich kłębach ku niebu... Gdy je wiatr odniósł, poczerniało znowu całe bagno i tylko małe ogniska gorzały przez resztę nocy po każdej wyniosłej kępinie. Paląca się puszcza podobna była do gorejącego miasta, a palące się torfowiska po kępach do małych ognisk wielkiego obozu, który się rozłożył pod miastem...

Jeśli podobny widok jest okropnym, osobliwym będzie widok puszczy wśród ciemnej nocy odwiecznem próchnem świecącej. Miejscami wśród zawalnych lasów leżą całe pokolenia drzew obok siebie, pokrywając pokładem swym tak gęsto ziemię, że noga nie dotyka piasku.

Na pozór czerstwe pnie i zwaliska rozsypują się za stąpieniem jak purchawka, i noga tonie w nich aż do dna.

Mchem porośłe i nietknięte kłody czernieją pośród nocy, lub są niewidzialne wcale, lecz stąpieniem potarte i rozrzucone próchno rozświeca się mdłym fosforycznym światłem i idący nocą, zostawia po sobie niby gorejące ślady upiora... Ryś tropi tak sarnę, myśliwy zwierza wszelkiego, i nocne tropy wśród puszczy zawałnych znane są w języku łowieckim na Litwie.

Ze stepu.

W. Pol.

Panujące wiatry są tu wschodnie, przeciągłe i ostre, okropne jesienią lub w czasie zimowych zadymek! Rzadki dzień spokojny — tylko rankami i wieczorami ucisza się wiatr. I uroczą jest ta cisza wieczorna w powietrzu, po wietrznym i burzliwym dniu. W czasie upałów letnich, powiewa od wschodu wiatr spiekły. Aż na brzegach Wołgi i po słonych bezwodnych stepach rozpalone powietrze wali się wschodnimi wiatry, niesione spiekłą powodzią na Dniepr, i cała noc niewystarcza nieraz na wychłodzenie tej spieki. Kiedy po zupełnem uciszeniu się wiatru, słyszeć tylko lekki szum trawy, a potem znowu nowe fale rozpalonego powietrza na zmysły uderzą, zda się, jak gdyby z gorejącego pieca, upał powionął. Tenże sam wiatr wypala także na srokatem polu oziminy i niszczy rozkoszną roślinność stepów, a już na schyłku wiosny, lub w połowie lata, smutnym jest ich widok.

Zzółkłą, rudą mietlicą, porastają trawy, lasy bodjaków wywiedłe osypują puchy... Oczerety spłowiały... Na wypasionym stepie szeroko popękała ziemia. Widnokrąg przybliżył się oku. Pomniejsze wyschły jeziora. O milę i o dwie pędzą spragnione stada do poidła... Niebo jak za mgłą... Czerwoną strężogą zadętą, bez jasności promiennej, stoi słońce samotnie na niebie i step paszeje zgorzały — i odłogiem leżące ziemie jałowiejają...

W powietrzu cicho — tylko gdzieś w dali przegania tumau kurzawą, — a gdy się młynem zawinie, idzie słupem wysokim w niebiosą, rwąc pod się pokosy trawy i prochy ze stepu... Naówczas to, kiedy spiekły wiatr jeszcze powieje, zda się, iż kropli wody niema w powietrzu, ani na ziemi, tylko po dolinach ściele się miejscami trawnik zielony, w małych płatkach. Są to zasłone wody, które i pod tę porę podsycają trawy, a kopiąc w takich miejscach, napotyka się zawsze w pewnej głębokości na wodę, a niekiedy nawet na żywe podziemne źródło.

Piękną jest noc na stepie! Czasami nad wieczorem uciszą się wiatry — i tak spokojnie w powietrzu — i nawet gwarliwe milkną oczerety, a jak we dnie kierunek stepem na mogiły, tak nocą na gwiazdy. — Głęboko roztwiera się niebo — i jaśniej niż nad puszciami wyiskrza się mleczna droga... Koń chociażby znużony, rzeźwi się chłodem i dziczą, i strzyże czujnie uszyna, a głucho na milę tętni ziemia tabunami zbity... Spokojnie pod mogiłą gore ogień nałożony z wyschłego burzanu... Słyszać lot dzikich kaczek wracających stadami z żeru na jeziorka... Szumnie wachlują lotkami wśród ciszy. Za łupem lecą ziemne sowy i wrzasną czasami. Przepiórki wabią się w zbożach — bąk wodny huka po trzcinach.

Równy i płasko, jak krąg czarny, leży świat stepowy; — nisko, po krańcach tego kręgu, gasną ostatki zorzy zachodniej, a na krótkiej świętojańskiej nocy, za ledwo zgasła na zachodzie, a już ciż świta od wschodu — i zda się, że się jej jasność tylko po krańcach ziemi przesunęła...

Mgły lekkie ślać się poczynają — gwiazdy blednieją — ognisko popieleje... Koń grzebie pod sobą, śpiący step się trzeźwi, — a gdy słońce podejdzie, zrywa się znowu wichur stepowy od wschodu!..

Egzamin w gimnazjum Krzemienieckiem.

(Z „Ramot“ starego Detiuka).

Otworzyły się publiczne egzamina. W Krzemieńcu młodzież z prawdziwym zapalem oddawała się naukom. Popisy, szczególnie z fizyki i chemii, objaśnione doświadczeniami; z wymowy i literatury, okraszone przytoczonemi wzorowemi przekładami prozy i wiersza, zgromadzonych słuchaczy zachwycaly. Zadowoleni byli goście, rozrzewniał się pociechą szanowny pasterz, rodzice uwielbiali Czackiego, Czacki ojcowskiej doznawał radości, i w duchu gorącej wiary niósł Panu dzięki, że trudy i starania jego błogosławił.

Po trzechdniowych popisach nastąpił dzień rozdawania nagród. Biblioteka jeszcze ukończoną nie była, a sala żadna nie wystarczała obszernością na objęcie tylu osób zbierających się na ten akt uroczysty: w gmachu więc wspaniałym, w kościele gimnazyalnym, uroczystość każdą podobną obchodzono. W środku kościoła, po prawej ręce od wchodu wzniesione siedzenie biskupa, po lewej tron z portretem Cesarza, wokoło krzesła dwoma rzędami, które zasiedli poważni obywatele, ojcowie i matki; poza nimi porządkiem uczniowie klas i kursów, dalej mnóstwo interesowanych lub tylko ciekawych widzów. Jeszcze niema Czackiego, Komisarzów i senatu nauczycielskiego. Klasami rozstawieni zajęli swe miejsca, na czele każdej klasy gromada celujących, należytej nagrody oczekują. Kursa osobno stają; wszyscy w mundurach, wszyscy weseli, czyż wszyscy nagrody biorą? Nader mała liczba niebiorących przynajmniej listu pochwalnego, wpośród świetniejących zasługą zniknęła. Śmiało i wesoło poglądają, ale ułożeniem skromni i przyzwoici; bo tu nietylko przyozdabiają umysły, tu i serca kształcą i w nadpsute nawet, wzniosłe uczucia natchnąć potrafią; bo tu naczelnikiem jest przykład, jest wzór, za którym dążą wszyscy, którzy prawego obywatela imieniem szczy-

cić się pragną. Od drzwi wehlowych dał się słyszeć szelest; wszystkich oczy w tę stronę się zwróciły, wszystkich usta szepnęły: „idą“. Jakoż weszli nauczyciele parami, porządkiem starszeństwa; dwóch ostatnich nieśli, jeden dyplom cesarski, drugi na tacy medale; za nimi dyrektor i prefekt, dalej komisarze: Michał Sobański, Wacław Boreyko, ks. Maksymilian Jabłonowski i Filip Plater, pisarz komisyi, Rudzki i plenipotent funduszów edukacyjnych Borkowski, na końcu szedł Czacki, a za nim sekretarz gimnazjalny ze stosem atestatów i listów pochwalnych. Rozstąpili się wszyscy, grono szanownych mężów zasiadło swoje krzesła; na tronie pod portretem cesarskim złożono dyplom, na stopniach listy pochwalne, sekretarz stanął za krzesłem Czackiego. Ks. Biskup zaintonował „Veni Creator“, po którego odśpiewaniu Czacki zagaił posiedzenie krótką a piękną przemową. Profesor Choński w uzonej rozprawie wykazał korzyści uczenia ekonomii politycznej.

Nastąpiło rozdanie nagród: od pierwszej klasy aż do trzeciego kursu, każdemu, oddając list pochwalny, coś stosownego, coś przyjemnego Czacki powiedział. Następowały medale. Od najdawniejszych czasów trwał u nas zwyczaj, że je rozdawali rodzice, znakomitsi dygnitarze lub damy, a zwłaszcza jeśli byli pokrewni medalowego ucznia; nie mającym obecnej na akcie rodziny, oddawali tę nagrodę ks. Biskup, poważni ojcowie i dostojne matrony. Dawniej Król Stanisław sam przypinał zasłużonym medale, ale jeżeli matka była obecną, Król zostawiał jej pierwszeństwo uwieńczenia zasługi syna. W tym roku p. Michał Sobański brata i synowca medalem ozdobił. „Zaszczyć tą nagrodą zasłużoną ich pilność i obyczajność, dostojny mężu!“ przemówił Czacki. „Zastąp tu im ojców, których opiekę tak godnie im zastępowałeś; zaszczyć, zaszczyć ich, nim twój syn, dorósłszy lat do nauki sposobnych, odebrać znak taki z rąk rodziców zasłuży. Wy zaś młodzieńcy możecie się pochlubić, żeście

z rąk takiego czcigodnego krewnego ten znak waszej zasługi odebrali i starajcie się być jemu podobni“. Izidor i Piotr Sobański byli z drugiego kursu. Następował kurs trzeci, na którym najbezsronniej złoty medal nauczyciele przysadzili Józefowi Czackiemu. Szedł piękny młodzieniec po nagrodę skromnie lecz śmiało, ale spojrzawszy na matkę, której wyraz twarzy zdradzał walkę uczuć wewnętrznych, jeszcze żywszym spłonął rumieńcem i nie tak już pewnym krokiem postąpił ku ojcu. „Synu mój Józefie!“ rzekł ojciec, „ufność moja bez granic w charakterze i sumieniu władz tej szkoły, upewnia mnie, że nie sama ku mnie życzliwość, ani żaden interes w przysądzeniu ci tej nagrody zdaniem ich kierowały. Żeś na nią zasłużył, zacni ci nauczyciele mnie zapewnniają; wierzę więc, z prawdziwą serca uciechą zasługę twoją uznają i do tego drżącego z radości ojcowskiego serca przyciskam! Wam dostojni nauczyciele i przełożeni tej szkoły najczulsze składał dzięki, żeście wszczepili w ten młodociany umysł zamiłowanie nauk i szlachetną emulacją. Czem on będzie na świecie, wasze to dzieło; a za trudy około niego podjęte nagrodą, moja ku wam wdzięczność, która do grobu serca mego nie odstąpi. Ale mój synu! ukończywszy zawód naukowy wychodzisz na świat; wręczyłem ci w tym względzie moje uwagi, tu ci jeszcze kilka jedynie słów powiem. Wielkie zaciągnąłeś obowiązki względem tej szkoły! Ja jedną nogą nad grobem już stoję, może głos mój już po raz ostatni w tych się murach rozlega.

„Na tobie mój synu cała moja nadzieja! Ty się przejmiesz mojami względem tej szkoły uczuciami; ty z mojej wdzięczności masz się wypłacić tej szkole, tym czcigodnym współziomkom, tej ziemi rodzinnej, która cię wydała i wykarmiła. Twojej i mojej wdzięczności dowiedziesz, jeśli w całym twym życiu, postępując drogą wiary i prawości, staniesz się godnym szacunku tych życzliwych współobywateli, godnym opieki twojego Mo-

narchy, godnym imienia ucznia gimnazjum Wołyńskiego; na znak, że mi to przyrzekasz, podaj mi dłoń twoją!“ A ujawszy syna pod ramię, a drugą ręką medal: „Pójdź — rzece — synu kochany, nikt godniej nie zdoła ozdobić cię tym znakiem zaszczytnym, jak ta, która z mlekiem swoim przelała w twe serce uczucia miłości Boga, miłości honoru i miłości kraju!“ Nie mógł już więcej mówić, łzy głos stłumiły. Oddał żonie medal, a Józef przed matką zgiął kolano; drżącą ręką starościna przypięła medal synowi, pochyliła się nad głową i gdy chciała do niego przemówić, płacz głośny wydarł się z piersi szczerśliwej matki; objęła piękną głowę młodzieńca, przycisnęła do serca, i łzy czcigodnych rodziców zmieszały się ze łzami godnego ich syna; a te łzy były łzami radości, niemymi tłumaczami rodzicielskiego błogosławieństwa.

Gdy starościna przypięła synowi medal i ojciec wręczył mu atestat szkolny, przykląkł młody Czacki przed splotanym Pasterzem, który go ojcowskiem sercem na dalszą kolej życia pobłogosławił. Zakończył tę całą uroczystość czcigodny ks. Biskup hymnem św. Ambrożego i powszechnem błogosławieństwem.

Wakacye rozproszyły uczniów i nauczycieli; tamci do domów własnych lub rodzin, do własnych kątów się udali; nauczyciele znaleźli przytułek pod gościnną strzechą naszego czcigodnego obywatelstwa.

Jezioro Leman.

Zyg. Krasińskiego.

O milę jeszcze przed Lausanną odkrył się mojemu oku widok, zawierający wszystko, co tylko przyrodzenie stworzyć może wzniosłego i pięknego. Jezioro Leman, zdające się być małym oceanem, błyszczało przy promieniach jesiennego słońca, jak masa nieprzeliczonych dyamentów. Wzruszone fale snuły się jedna za drugą nakszałt splotów ognistego węża, a części jeziora, na

które padał cień gór nadbrzeżnych, podobne były do roztopionego *Lapis lazuli*, w którego łonie osadzono świetniejące farbami tęczy drogie kamienie. Ten ogromny obszar wody lekkim wiatrem wzdymanej, przedstawiał zachwycający obraz, co chwila zmienny, co chwila piękniejszy. Światło igrające w zwierciadłach Lemanu, zamieniało je, to na szyby lodu, to znowu w fałdowane przestrzenie, w których każda kropla przybiera jasny blask srebra. Kiedy wiatr unoszący się ponad wodą zwalniał, odbite w jej toniach góry i skały nowy tworzyły widok. Każda nadbrzeżna chatka zstępowała ze szczytu góry swojej, by kąpać się w przezroczystych jeziora wodach; każdy szczyt skał niebotycznych opuszczał niebiosy, by się odświeżać w zwierciadlanej toni. Zieloność trawy, dotąd jeszcze mrozami nie ujętej, białość śniegu wieńczącego wyżyny, mieszały się z niebieskawą Lemanu barwą. Wioski po bokach rozsypane pełne były ogrodów i drzew, jesienną szatą okrytych. Tu sosna samotna, przypominająca mi Polskę, wznosiła się nad poziome krzewy; — tu lipa żółtkłemi szeleściła listkami za przelotem wiatru, którego skrzydła rozwiały białe żagle statków jeziora; — tu modrzew ciemną zielonością ocieniał skał wierchołki, a po bokach bluszcz i różnobarwne, wijąc się, rośliny czarodziejskie tworzyły sklepienia. Dalej znowu dziksza poczyniała się okolica; naga skała śmiało czoło pod chmury dźwigając, wydaje się jak olbrzym, pogardzający murawą i kwieciami; — strumień huczący spada z jej urwisk i pianą biegnie w dolinę, gdzie pośród umajonych wybrzeży spokojniejszym już płynie korytem. Świerki rosną tu i owdzie nad chatą, której białe ściany zdaleka jeszcze wzrok przyciągają; ciasna ścieżka wiję się od jej drzwi, aż do skał wyższych. Czasem człowiek po niej dąży, czasem krowy dzwoneczkami u szyi związanemi brzęczące, przesuwały się powoli wśród dołów i przepaści, i z schyloną głową na wzniesionych gór piętrach, żują ostatek jesienną trawę.

Ale nad wszystkie te obrazy uroczystszy i poważniejszy panuje widok. Pasma gór wiecznym lodem skrzepłych ciągnie się po drugiej stronie jeziora: — mgła i pośród najczystszej pogody zaciemnia ich ściany; chmury w fantastycznych kształtach się snują po ich szczytach, to jak czołgające się węże, to jak skrzydlate smoki. Śniegi od wieków na ich barkach złożone, błyszczą przy słońca promieniach jak sztaby ze srebra przykute do piatr skały, kiedy gwiazda jasności stoi na połowie niebios; lecz kiedy zniżona zapowiada zachód czerwonawą barwą swych promieni, wtenczas trzeba przenieść całą duszę do oka i patrzeć i zdumiewać się nad wielkością przyrodzenia. Niczem są rubinu blaski przy jasnościach rozlewających się po górach, które otaczają jezioro genewskie, kiedy je barwa zachodu okrywa. Chmury zdają się z płynnego złota ulane; wierzchołki gór purpurą i dyamentami strojne, dają wyobrażenie, — o ile to może istnieć na ziemi, — tronu Przedwiecznego. Obłoki, podobne do tęczowych skrzydeł serafów, to się roztapiają i nikną powoli w czystym błękicie, to znowu gromadząc się razem, rozwijają pyszny baldachim nad skał szczytami. Do tego dodać potrzeba ukazujące się zewsząd domki wiejskie, Genewę w oddali, lasy i gaje — a utworzy się obraz, który łatwiej uczuć niż opisać.

Za stopniowem zniżaniem się słońca, słabną iskrzące się barwy na szczytach i z purpurowego koloru przechodzą do różowej farby. Wtenczas oko zmęczone mile odpoczywa po tylu świetnościach i każda góra wydaje się narzeczoną, strojną w ślubne suknie kratowane śnieżnemi pasami i uwieńczone różami. Zmrok zapadający miesza z sobą odrębne wprzód kształty, i kolory rozmaite zmieniają się w szarą barwę, pięknie przy wodach Le-manu odbijającą. Księżyc wschodzi powoli, a wtenczas odnawiają się pyszne dnia widoki, ale słabiej odznaczone. Nie tak rażące światło jaśnieje nad okolicą, miłszy czułemu sercu blask rozprasza nocne cienie, zatrzymując

wszystkie złudzenia i piękności mroku. Góry i skały, jak gdyby przez sen widziane, zdają się z upodobaniem przeglądać się w nurtach Lemanu, którego zwierciadła leżą spokojnie i dopóty za sobą zdziwione przyciągają oko, dopóki w mglistej nie znikną oddali. Urocz Helwecyi wdzięki, opuszczają nieco z swojej wzniosłości i powagi zstępując do rzędu widoków, między którymi już nie drży, nie uwielbia, ale rozpiływa się serce. Księżyc rozsyła srebrne promienie, by uwieńczyć gór szczyty niepewną jasnością. Chmury się zwolna przesuwają i mieszając się do śniegów, zdają się między nimi roztopiać. Błękity niebieskie i wody jeziora, połączone przestrzenią nieznaczną i słabym tylko oświeconą blaskiem, zdają się jedną składać krainę, w której i wielkie wznoszą się ogromy i lekkie snują się chmury, podobne do statków żeglujących w otchłani białych śniegów i niebieskich obszarów.

Urywki z Listów Zygmunta Krasińskiego.

„Młodość jest Boską rzeczywiście sferą, jest zapowiedzią tego, co ludzkości kiedyś danem być ma; jest rajskim marzeniem, ale marzeniem dopiero. Młodość jeszcze się nie rozbiła o rzeczywistość, jeszcze jest pełna nadziei i wiary; ale nadzieja i wiara są płonne, dopóki ich rzeczywistość nie sprawdzi. Wiara i nadzieja są lekkimi cnotami, póki przebywają w marzeniu — ale ciężką cnotą jest miłość“.

Tak Konstanty gdzieś napisał: „ciężką cnotą jest miłość“. Nie piękniejszego o miłości nie powiedziano nigdy — ona dopiero sprawdza w rzeczywistości to, co wiara i nadzieja zapowiadały; ona dopiero żąda od nas tego, co tamte obiecywały nam. Jeżeli młodość nie roz-

¹⁾ Konstanty Danielewicz, kolega uniwersytecki, przyjaciel i towarzysz Z. K.

biła się jeszcze o rzeczywistość, to też z drugiej strony nie dała jeszcze o sobie w rzeczywistości świadectwa; jestto piękny poranek, ale sąd dnia wyrzec się może dopiero u schyłku jego. Nie ubliżajmy młodości, niech wie, że w rękę swoich posiada skarby społeczeństwa, niech wie, że jest jego nadzieją; ale niech nie zapomina też o tem, że życie jej powinno być miłością tego, czego się spodziewała, że koniec jej powinien oddać przyszłym pokoleniom wiarę, którą w początku tętnęła. Biada człowiekowi, narodowi, ludzkości, jeżeli młodość w nich umiera, ale biada im także, jeżeli wiecznie jednostronnie żyją jako młodość, to jest jako: zapowiedź, nadzieja, marzenia!

W istocie, za dni naszych świat nadewszystko młodość wynosił pod obłoki; śpiewał o niej, mocą ją uznawał pierwszą, a starością pogardzał; ale nadejdzie czas, w którym może najpiękniejszym wiekiem stanie się starość — właśnie starość taka, co nietylko, że nie straciła wiary młodości, ale tę ze stanu błędnego nadziei, — przeprowadziła do stanu widomego rzeczywistości.

— To jeszcze powiem, że bez wielkiej energii — i wielkiej miłości niema, — „bo miłość jest ciężką cnotą“ — więc dla przeprowadzenia jej przez życie całe, nie lada energii potrzeba.

Ona wymaga ofiar bez liczby i końca; wcześniej czy później ona zażąda największych poświęceń; a jakże poświęcić się, jeśli marmurowych posągów hartu i blasku zarazem niema się w duszy swojej. Taka miłość na ziemi jedyną podporą, jedynem życiem wśród podłości i zbrodni, wśród mąk i trwóg, wśród niepewności i szaleńców świata. Tylko na Bogu się oprzeć, tylko na ukochanych, — a zresztą na niczem, bo wszystko zdradzi, wszystko się usunie, wszystko się odwróci, wszystko sztydzić będzie i odmówi pomocy, ratunku, sprawiedliwości. Ale kto kocha, ten silny; komu serce nie umrze w piersiach, ten

czoło nadstawi gromom losu spokojne i dziarskie, bo w nim pała iskra życia. A nędzną byłaby miłość, któraby nie przetrwała wszelkich boleści: nie sztuka kochać, gdy za kochanie co chwilla wzrok przytomny i słowo obecne nagradzają; ale kiedy czas, przestrzeń, ból, niesprawiedliwość, gorzka ironia dzielą: wtedy kto kocha ten kocha, a wcześniej czy później muszą mu oddać sprawiedliwość.

Nie inaczej się dzieje i w historyi ludzkości z tymi, którzy ludzkość nad wszystko ukochali. Płacono im zrazu gwoździami, cierniami, octem, żółcią, później nieskończoną miłością. I oni też w danej chwili, wiele bólu obecnej ludzkości sprawili, i oni też ją przywodzili do rozpacz, przymuszali ją płakać, pościć, bić się w piersi, najśłodszych ułud ją pozbawiali, a sami jakżeż nieszczęśliwi byli! Tylko ojciec, który jest w niebiesiech, wiedział, do czego to wszystko prowadzi... To, co nie przeszło przez żadną próbę, choćby najśliczniejszymi tęczami pryskało, nie wie samo o sobie czy żyje; to — co dotknęło się próby a nie wytrzymało jej, tem samem umarło: to tylko prawdziwie żyje, co próbę odbyło i z niej pod wyższą jeszcze postacią się wydostało. I ta prawda tyczy się wszelkiego uczucia, wszelkiej idei, wszelkiej powszechności, wszelkiego indywiduum; jednym tylko prawem wszechświat rządzony — lecz wszechświat z wielu części i cząstek się składa, a każda według właściwości swojej podlega temu samemu i jednemu prawu. Niechajże więc ukochani błogosławieni będą i za szczęście dane, i za sprawiony czasem ból: jedno i drugie wspólnem życiem jest, jedno i drugie miłością; miłość albowiem ma się do szczęścia jak duch do ciała i duszy — jest wyższą od obojga, a oboje wiecznie są jej członkami, narzędziami, częstkami składowymi. Biada tym, co z jednej strony ciało za całego człowieka, a z drugiej szczęście za całą miłość poczytują; częstkę oni za całość

biorą i prędko też życie ich wymiera — bo tylko całość nieśmiertelna jest i być może.

Samotność dobrem mi jest nieocenionem. Gdy to piszę, z okien widzę wielki widnokrąg już nagi, już szary, lasy zdaleka już płowe; pogoda cicha, światło słońca blade, żegnające się z tą ziemią, bo za dni kilka chmury śnieżne roztoczą się na długi czas między nią a niem. Jesienny to dzień prawdziwie smętny i spokojny; jakieś umieranie rozlane wszędzie, ale chrześcijańskie, pełne wiary i zdania się na wolę odchodzącego słońca, tego zbawiciela i pana natury. Taką śmiercią chciałbym kiedyś skonać, w taki dzień jesienny podobny dzisiejszemu, ale ukryte są ścieżki Pańskie, co wiedzą człowieka od modlitwy do jej urzeczywistnienia.

Chodziłem wczoraj po ogrodzie i przypatrywałem się jak wszystko widnokreźnie zagasa i kona, poczynawszy od drzew, które sypią liście żółkłe, aż do słońca coraz mniej krążącego na niebie. I widziałem, że wszystko w naturze umiera z instynktem zmartwychwstania: słońce wie, że wróci na wiosnę przyszlą; drzewa cicho płaczą i szumią, lecz nie było w nich rozpacz; lekko zewsząd podnosiły się mgły i błękit niebios otulały, jakby chciały zachować go do pory odbłękitnienia. Wrony tylko czasem przelatujące krakały obrzydłe; w ich krzykach nie znalazłem nadziei, one jedne wątpią zupełnie; to są filozofy przemądre, poważne, flegmatyczne a szpetne, lubiące się zbierać tam, gdzie leży zgnilizna i karmić się pozorami śmierci w świetle. Ale prócz wron, wszystko wiedziało, że życie powszechne nie ustanie, i że znów będzie na wiosnę tym polom, tym wodom i niebu temu. Dziwne uczucie, w najwyższym znaczeniu religijne, mnie ogarnęło; byłbym w tej chwili zapragnął spowiednika, którymby się mógł wypowiadać ze wszystkich bólów żywota mego... Święta, błogosławiona samotność.

XVII.

Monachium 25 Decembra 1841.

Sam, zupełnie sam wczoraj wilią jadłem u Otta, gdzie zawsze jadam. Skończyło się na dwóch forellach i naleśniku jednym; a bez opłatka, — a bez siana pod obrusem, — bez nikogo.

Gdym kończył, już pierwsza gwiazda zaglądała przez okno, a wkrótce potem i duży księżyc przyszedł. W noc księżycową, bardzo srebrną, roily się tłumy czarne po ulicy; wszyscy spieszyli na mszę. Jam znów około 10-tej wyszedł od siebie i szedłem do Konstantego. A oto! wszystkie dzwony miasta zaczęły wołać do siebie dobrą nowinę, że się Chrystus narodził, i z moździerzy też pukano i z dział strzelano za miastem. A mnie było gorzko, że był sam, — sam taki jeden na tej ulicy, w tem świetle miesięcznem. Nie wiem czemu bardziej sam, o tej chwili zstępującego Boga na ziemi, niż innych dni życia? Bo ta chwila, która ma się do całej ludzkości razem, wymaga zgromadzenia się jej członków; nie jest to chwila samotności! I gdy te dzwony grzmieć zaczęły, jak one w noc dnia zadusznego, co tak szły za mną, wszędzie po tych ciemnych polach, aż mi się w sercu cudownie tęskno, nieopisanie tęskno stało do dnia tego i chwili onej, w której Chrystus na tym planecie się rodził. A gdym spojrzał w niebo i w te wszystkie światy, w drogę mleczną, w ogrom, w bezmiar — aż zadrżałem, bom uczuł jakby drugi raz — oto — szedł z niebios ku ziemi i miał stanąć na niej! powiadam Ci, coś nadziemskiego mnie zdjęło. Spojrzałem na kręcących się koło mnie ludzi, co biegli do kościołów grzmiących, zdało mi się, że widzę w nich wszystkich jednego Ducha.

Wyjątki z Listów z Podróży.

Padalicy.

Któż nie wie, iż na ziemię własną patrzymy zwykle innem okiem jak na cudzą; że widzimy ją przez uczucie, przez serce, i tego pryzmatu nie przynosim nigdy na miejsca nam obce? Z latami, co przeszły na rodzinnych błoniach; ze słońcem, co nas oświecało, z powietrzem, co dmuchało nam w lica; z lasami, co szumiały nam do uszu niewysłowioną piosnką zadumy; słowem — z tem wszystkim, co nas wykarmiło i z nami rośło, jest pewna święta pokrewność uczuć, coś — czego nie oddamy za najpiękniejsze widoki Szwajcaryi, ani klimat włoski! Nie bierzemy w tej chwili uczucia tego w znaczeniu jego najwyższem i mówim niejako o jego pierwszych zawiązkach, o tem dziecięcem przywiązaniu, które nas łączy instynktownie z piastunką i domem. Przywykliśmy widzieć kraj nasz obleczonym w tę majestatyczną a świętą szatę pustyni, gdzie jeszcze poezya zdaje się uosabiać ducha Bożego, gospodarzącego w jego lasach i stepach; gdzie człowiek podrzędną miał rolę, a jak wyraził się jeden z naszych poetów „niewidome siły jego samego pilnowały, jak dziecka“. W takim stosunku człowieka do przyrody, czegoż tu nie tworzyła wyobraźnia, jakimiż dziwami nie zaludniała kraju! Złotym deszczem pieśni i bajek ludowych oblewały nas w kolebce; przeobrażały się na cudackie postacie w dziecięcej wyobraźni; potem gadały niewysłowioną mową do serca młodzieńczego, aż rozwidnione dojrzałym umysłem oblekły się w idealne kontury poezyi. Kto lata swe najpiękniejszego, bo młodego życia, przekołysał w tych przemianach, żadna już siła niwelującej cywilizacyi nie zatrze w nim tych wspomnień i nie zmusi go ukochać ją, jak tamte. W wagonie na żelaznej drodze, w pałacu wystawy powszechnej, wśród rozmaitych cudów przemysłu i sztuki, jak skoro gwar nużący zmysły, opuści cię na chwilę, ta „mizina“,

serdeczna struna zadrumka w sercu i robi ci się tęskno za tamtym obrazem!

Tom I, str. 48.

Śliczna to droga z Żytomierza do Zwiała! Lasy, błonia, wioski, zmieniają się w kolej jedne za drugimi, a wszystkie inny mają wyraz od ukraińskich. Nie mogiły już ani stepy, ale sine taśmy boru wszędzie tu obramiają widnokrąg. Co chwila najeżdżasz na jeziora drzemające malowniczo wśród lasów, obszyte łożą i wodnem zielskiem, oplecione nierozplątana siecią powojów. Tam młode brzozy tulą się pod ścianą gęstej jak płot sośniny; tam burzany i kwiaty oplotły ogromny tułów zwałonego dębu i koralowemi główkami zaglądają bojaźliwie do wnętrza; inne po gałęzi suchej wspięły się na sam wierzchołek, i jak motyle świecą się ku słońcu, gdy tymczasem z pod próchniejących bioder olbrzyma, przegląda łysa głowa grzyba. Tam drożyna wyjrzała z lasu, stoczyła się wdzięcznie na łąkę, zadrypała się i zamoczyła po kółkach i faszynach grobelki i znów pobiegła szybko przez ukwiecone błonia, a oto rozstały się lasy, i poleska wieś siedzi sobie cicho wpośród trzebieży.

Zerdziowe płoty opasały jej ogrody, częstokoły obramiły chaty, słomiane dachy siedzib mieszają się z sobą i w miarę zbliżania zbiegają się, rozstępują, rosną, aż scharakteryzuje je cerkiewka, dom obywatela o białych ścianach i karczma siedząca przy drodze. Tu las zbliżył się do przyczółka wioski; tam dał miejsca na kawałek łąnu, a tam znowu rozstał się i przyjął w ciemne swe łono zieloną i potoczystą łąkę, która Bóg wie, jak daleko się ściele. Na takie wioski i okolice patrzałem dzień cały, widziałem je w blasku słońca, o zmroku wieczornym i przy promieniach księżyca. Stósownie do wyrazu miejscowości, obudzają w podróżnym rozmaite myśli. Tam, w tych zaroślach, jakież miejsce cietrzewi i słomek! w tych oczeretach lisy być muszą, na tych jarzę-

binach wieszają się zapewne co rana jemieluchy i jarząbki, a te sine masy boru, — a te szerokie knieje na łośie i dziki! Wieś poleska, to jedyna jaką znam ustron dla cichego, a kochającego serca; to nieoceniony zakątek dla hodowania uczuć rzewnych; tu je można wy-czerpać do dna, przesiąknąć niemi, zachorować od zbytku. Wszystko tu kocha się, kwitnie, cieszy tym niekłóconym pokojem życia, jakie daje tylko pustynia.

Tom I, str. 52.

O czwartej popołudniu wyjechałem z Warszawy, a o dwunastej w nocy stanąłem w debarkaderze częstochowskim, ubiegłszy w ciągu ośmiu godzin 32 mil polskich. Odebrawszy mój podróżny tłumoczek, wynająłem doróżkarza, który mnie odwiózł do miasteczka leżącego o ćwierć mili od debarkaderu, pod górą częstochowską.

Noc była pogodna; księżyc nie wiem dobrze czy już był zaszedł, czy jeszcze nie wschodził, dość że nie świecił i li przy blasku gwiazd odrysował się przedemną zarys góry i mury klasztorne. Na tle ich matowem pełgała z prawej strony lampka, którą palą ustawicznie przed zewnętrznym ołtarzem Matki Boskiej i wyznaję, iż owo tajemnicze światelko oblekało dla mnie to miejsce cudowne w urok pełny religijnego charakteru. Wieża klasztorna bieląla cokolwiek, a krzyż na jej kopule ozłacał się na rąbkach i wysoko górował nad okolicą, jakby zadzierzgniętą zasłoną czarną. Ponad tym płaskim pejzażem zalanym jedną masą cieni, widniała przedemną ogromna tafla nieba, po którym szybko chodziły chmury i rozwełniając się na środku, zgniatały się potem w masę brunatną i ciężką na krańcach horyzontu.

Tom I, str. 137.

Przecisnąłem się nie bez trudu do kaplicy z cudownym obrazem Matki Boskiej. Już ściemniało zupełnie

i tylko świece pełgały przed ołtarzem i w rękach modlących się. Kaplica, w której znajduje się cudowny obraz Matki Boskiej jest przedzieloną na dwie części wysoką, posrebrzaną kratą mosiężną.

Długo rozpatrywałem się w obrazie i ozdobach gotaczających, potem modlić się zacząłem i nareszcie pogrążyłem się w myślach, które pod wpływem obecnej chwili zaczęły mnie jakimś fantastycznymi nakrywać skrzydłami. Widok rojącego się dokoła mnie ludu zaczął robić na mnie szczególne wrażenie... Kościół i wnętrze tej kaplicy zdały mi się zupełnie innemi od tych, jakie przywykłem widzieć dotąd. Świece i lampy pod ciemnymi łukami sklepienia malowniczo oświecały grupy modlących się wieśniaków. Głos kapłana ginał w tym tłumie, a natomiast z rozmaitych punktów, z głębi ciemnych kątów, leciały przed ołtarz śpiewy pielgrzymów, rozlegał się szept modlitw, płynęły cicho pacierze i westchnienia. Zlewało się to wszystko w monotony i wrażliwy szum jeden, i nakształt wiosennego, ciepłego deszczu w nocy biło o sklepienia świątyni. Wsłuchawszy się, odróżniało ucho jak z lewej strony ołtarza odzywały się co chwila monotonne, litaniove wołania wieśniaczek: „Synu Maryi“ i tą tęskną, melancholijną nutą pokrywały wszystkie inne śpiewy. Nie zapomnę, o! nigdy nie zapomnę tej nuty i tej litanii! Za kratą, grupa wieśniaków w szarych siermięgach z podniesionemi rękami klęcząc, wtórowała im zgodnie; obok mnie leżeli krzyżem dwaj starcy o białych włosach i klęczała kobieta pod lampą, od której światło kładło mocne cienie na wychudłą jej twarz i spracowane ręce; nieopodal, kilkunastu parobków oparłszy palce o marmurową tablicę czyjegoś nagrobku, szeptali „Wierzę w Boga“, a pomiędzy tym tłumem tak dziwnie i malarsko zgrupowanym, tak gorąco pochwyconym i jakby skryształizowanym przez ducha modlitwy, tu i tam stali jak posągi Górale, Krakusy, Szlązacy i przesuwały się w głębinach białe postacie Paulinów,

przestępując leżących krzyżem, obchodząc klęczących, niby duchy zwiedzające podczas nocy pobożowisko.

Ten oryginalny wyraz modlitwy przed obrazem Boga Rodzicy, ta świątynia iście ludowa, gdzie kapłan i msza tonęli w masie, ta gorąca prośba posyłana do stóp ołtarza melancholijnem, rozdzierającym serce wołaniem ludu, ludu, o którym wiesz jak wierzy: — wszystko to robi wrażenie tak silne, że lzy tylko i modlitwa ulgę ci istotną przynieść mogą...

I długo jeszcze potem oparty o kratę, wpatrywałem się w tę gromadę pobożnych i zachwycałem się tym cudownym obrazem zbiorowej modlitwy, który zdarzyło mi się widzieć po raz pierwszy w życiu i uczuć, i podzielić ją raz pierwszy!..

Ten sam lud, na który gniewałem się z rana za gwarne nachodzenie kościoła, który nie umiał przyzwolicie jak my pod dozorem kościelnych szwajcarów, stanąć przed ołtarzem i modnym sposobem przeszeptać pacierza, — tu cały zamienił się w modlitwę i — o Boże! z jakąż wiarą patrzył się w obraz Boga Rodzicy i sprawowaną rękę wyciągał do Niej, żebrząc opieki.

Tak czytelniku! ze wszystkich osobliwości Jasnogóry, ze wszystkich jej skarbów i pamiątek, tę wiarę czystą a silną polskiego ludu, rozumiem być osobliwością najwyższą, którą żeby pojąć, żeby ją uczuć i podzielić, umyślnie tu przyjechać trzeba. Raz poczuwszy ją sercem, potrafimy zrozumieć wiele tajemniczych zagadnień historii naszej, źródło istotnej naszej siły, a może i szczęścia na przyszłość!.. Podczas gdy cały świat wyziewa jej ducha lub okazałymi formami stara się wyłącznie uderzać na zmysły, — szczęśliwym się czuję, że oto w tej kaplicy, w tej gromadce ubogiego ludu, Wiara Ojców naszych żyje w całej swej pierwotnej prostocie i czystości, i istotna potęga cudu, rozplamienia się w symbol Nadziei i Miłości. Mamyż żądać bardziej widomych łask i dowodów opieki? Czujemyż potrzebę dotykać trędowa-

tych i chromych lub ślepych, ażeby w zeznania wiarogodne mnożyć prawdy i tradycye Kościoła? gdy oto tu, prawie codziennie i w naszych oczach, spełnia się cud wielki, chrześcijański, — cud Wiary i Modlitwy!

Tom I, str. 147.

Montmorency.

Listy Padalicy.

Był to śliczny wiosenny poranek, kiedyśmy wyjechali do Montmorency. Kółko nasze było niewielkie ale serdeczne, przyjaeielskie. Otaczają go sady i winnice, a domki malowniczo lepią się na pochyłości góry. Kiedy wam mówię o jakiej wiosce francuskiej i opisuję jej położenie, nie dopełniajcie tego opisu stosunkiem do miejscowości naszych. Nasza wioska a tutejsza, zupełnie odmienny mają wyraz. Sadyby nasze zwykle są rozrzucone malowniczo nad brzegiem stawu lub ruczaju; chatki leżą odosobnione, obejścia ich umajone w sady, słomiane dachy przegładają tu i owdzie z masy zieleni, co je nakrywa jak parasolem, a białe facyaty domków ożywiają ten sielski krajobraz: tu wsie jak miasteczka są spojone dom z domem, ściany murowane i piętrowe; zamiast naszych chróścianych płotów i częstokolów, parkany z kamienia lub cegły, obejścia ciasne, ulice wąskie, słowem już — wsie wyglądają na miasta i są właściwie miastami, tylko na drobną skalę. Kiedy się te facyaty domów poubierają w kwiaty; parkany oplotą w powoje i troskliwie opatrzą w wiejskie ozdoby każdy drobny kawałeczek ziemi; kiedy się to umiecie, przystroi i ozdobi gustem i opatrzeniem, jak to umieją robić Francuzi — ma to wdzięk i powabny wyraz, ale dla nas nie przypomina nic naszego; owszem, przypomina te pejzaże z ruinami zamków, które ze sztychów przeszły już na transparenta, tabakierki i tace.

Uwagi powyższe dadzą się zastosować i do Montmorency. Kościółek, co go zdobi, stoi na prześlicznem miejscu, skąd szeroki odsłania się krajobraz. We środku, na lewo od drzwi głównych we framudze frontowej ściany, leżą obok siebie zwłoki Ursyna i walecznego Kniaziewicza. Nasz Oleszczyński wyciosał dla nich z marmuru pomnik pełen prostoty i prawdziwie artystycznego natchnienia. Wyobraża on anioła zlatującego na węzłowiach tych starców z rozpostartemi rękoma, jakby niósł im z nieba pokój, łzę i westchnienie. Co to za postać! ile tam poezji i prawdziwego uczucia! ile tam myśli wcielono w te szlachetnie a tak prosto zarysowane kontury!

Za miastem, idąc w górę, znajduje się cmentarz kościoła opasany murem. W szeregu prostych grobowców polskich, leży głaz kryjący zwłoki Mickiewicza: Skromny napis i kilka gałązek cyprysu pokrywa kamień. Ma to być grobowiec tymczasowy. Później mają przenieść zwłoki do kościoła, Oleszczyński ma wykonać pomnik i stosowny umieszczać nad nim napis. Lecz czemuż pomnik ten nie będzie w kraju, na ziemi rodzinnej! Tadeusz i autor Tadeusza, to są dwie tak wielkie i tak ściśle narodowe postacie, że dla nich trzeba rzucić po garstce własnej ziemi i nasze, sławiańskie, usypać na ich prochach mogiły. Dla wieszczki, co był poetą w najwyższem znaczeniu tego wyrazu, co umiał przetopić na wiekopomne słowa cały złoty pokład uczuć, łez i cnót narodowych, dla wieszczki takiego, powiadam, nie o marmury kararyjskie starać się potrzeba. Albo dać mu rodzinną ziemię na zwłoki i nasze niebo na pokrycie, albo ten prosty i ubogi zostawić kamień na nich, — prosty i ubogi jak był on i całe jego życie...

Któż dziś niema marmurów, nagrobków, szumnych nadpisów i kamiennych sklepień w kościołach? Magnaci i bankierowie zdobią się bodaj czy nie w najlepsze, a godził się przymierzać go do nich? Nie dla tego go czcimy, że był genialny jak Goethe, potężny jak Bajron,

wielki jak Milton, lub głęboki jak Dante; nie, — nie mierzym go według modły krytycznej; ale oceniamy według siły tego ducha, przez który uszlachetnił swych czytelników. W nim się uwidomił naród z całym bogactwem cnót jego rodzinnych i wielkich. Oddziaływał on na nas nie harmonijnem brzmieniem wierszy, nie mądrym sformułkowaniem okresów, ale tą jakąś siłą, co jak bóstwo w ziemskie oblekła się szaty. Żaden krytyk, dziś nawet, nie odszuka w jego dziełach tej siły, gdy próbować ją zechce na oselce rozumu; ale z uchem przyłożonem do ziemi dosłyszysz wyraźnie jej pulsacyi. Jakże opiszą takiego człowieka marmury i nadpisy, bodaj najlepsze? Kiedy pewien podróżny przeczytał napuszony nekrolog na grobie Rafała, zawołał: „Czemuż nie napisano po prostu: *„Tu leży Rafael“* — powiemy podobnie o Mickiewiczu: Czemuż nie przestaniemy na tym prostym głazie, co go widzimy w Montmorency?

Otoczywszy grobowiec, przeszliśmy pod wpływ myśli nie smutnych, ale wzruszających. Płakać, że umarł, — żałować, że nie żyje przez wieki, nikt z nas nie był w usposobieniu. Owionął nas żal nie ten, co się we łzy rozpada, co pojmuje boleść rozłączenia; ale ten cichy, który porównałbym do dni spokojnych jesieni, osiadających niekiedy na kraj cały; do tych momentów uroczystych, które według wyrażenia poety, zwiastują przelot anioła milczenia.

W wędrowce mojej po obczyźnie na ileżto już patrzałem grobów! Bodajby najtkliwsze serce, jużby się wyekspensowało z czułości i nie odbierało wrażeń. A jednakże głaz Mickiewicza, owa pięćdziesiątka ziemi, pod którą w proch się obraca to serce, robi na nas wrażenie nieznanne dotąd, bo promienie jego geniuszu przesnuły nas i przez ich pryzmat patrzymy dziś na ten kamień.

.

Wyjątki z Listów Kremiera.

O wspomnieniach.

Młodości porannej wspomnienie, to zielnik stary, bo w niem wszystko przechowano z dawnych lat; co serce niegdyś ukochało, co szczęśna podała chwila, lub przygoda ciemna w tęsknej zrodziła godzinie, toć spoczywa wszystko oznaczone w duszy głębi to listkiem róży, to gałązką cyprysową, to ułamkiem wawrzynu lub fiołkiem cichym. A zmarły róże jak miłości młode; zbladły zawczesne tryumfy młodzieńcze jak wawrzynu listki; a uczucia wonne duszy żółkły jak fiołek biedny i umilkły w piersiach pogrzebione żywcem; dochowały się same jedne pamiątki cyprysowe, owe niezabudki młodych łez. Młodości lata — one rajske ogrody strojone kwiatów rodem, pojone niebios rosą, one dziś głuchym rozłożystym cmentarzem; wśród jesiennej szarugi życia, na grobie czarodziejskiej ułudy, wśród mroźnego świata tchu, stała posągiem troska blada.

One radośne kwiaty wszystkie oddały niby dusze swoje; a te ich dusze uniosły się w górę i dziś przyświecają nam gwiazd ogrodem; więc też człowiek w tęsknocie swojej tak chętnie okiem w gwiazdach tonie i powierza im serca boleści i łamania swoje; a gwiazdy cichą stopką po niebie chodząc, słuchają tych żalów jego, w serce chore pociechą świecą i płonąca dróżką swoją na niebios przestrzeni wodzą pielgrzyma po zamroczonej ścieżce ziemskiego żywota.

Świecą w chore serce gwiazdki niebiańskie, rozjaśniając ciemne ducha tęsknice! Więc patrz! w miejsce zmarłych miłości róż, laurów zawodnych, a wonnych ogrodów marzeń, zapłoną w sercu firmamentem światła, których nie przyćmią nigdy ziemskie burze, ani przygaszą wichry jesienne żywota. Poznasz, że jedynie co docze-

sne, umarło; co zacne, wiekuiste, uniosłeś z sobą po wszystkich twój wiek.

Tak; komu zacnego ojca uśmiech był jutrznią ducha, a nieskażona cnota wzorem; kto jego błogosławiącą modlitwę wziął posagiem w świat; z kim za dziecięcych lat matka miłości pełna prawila o kochaniu ludzi, o bojażni Bożej, o zmarłych braciszczach, co dziś już aniołkami proszą za pacholątkiem pozostałem na ziemi, by było dobre i pobożne; kogo wypiaستowały zacność i święty obyczaj domowy; ten zaiste nie będzie samotnym na świecie, bo nieśmiertelna jest spuścizna miłości rodzinnej i cnoty ojcowskiego domu. Choć mu nie jedno w sercu zgaśnie; choć mu życie zbiednieje, a nie jedno uczucie lodem zajdzie, nie będzie samotnym na świecie. W chwilach szarych, ekliwych, cofnie się w siebie, zamknie się w sercu własnem jakby w przenaświetszej świątnicy istoty swojej; w cichocie uroczystej; sam na sam z Bogiem będąc, tajemniczej treści ducha swojego da posłuchanie, — i pojawi mu się postać ojca, co napoi pociechą i posili otuchą w sobie; — i stanie przed nim matka i pochwali, i przytuli, zcałuje boleści trud ze znękanego czoła. A te postacie ich, wolne i swobodne od ziemskiej niemocy, odziane będą nieskończonym niebiańskim wdziękiem — i wstaną z martwych najdroższe młodości kwiaty, a wszystkie jej radośne obrazy wypłyną z przepaścistych duszy głębin; zbudują się znowu stare ściany ojcowskiego domu i znowu zahuczą ochotą wesolą towarzysze z chłopięcych lat, a roztoczą się barwą tęczową malowane wizerunki gajów, łąk, potoków, onych świadków dawnych młodzieńczych marzeń. A te wszystkie obrazy, te wszystkie postacie ochuchane czarodziejskim urokiem, zabrzmia światłem i cieniem, barwą i harmonią jakby z innego świata wysłanniki. Wszak w chwilach takowych i to nawet życie rzeczywiste, obecne nam, co tak ubogie, tak puste, co nie dostało przyrzeczeniom szczęścia, co nie dotrzymało słowa młodości

nadziejom, i to nawet życie zrzuci z siebie żebracze szaty, i uśmiechem, jakby czarnoksiężniczka w bajce, okaże ci w głębokim podziemnym szybie górskim gorzące skarby i klejnoty błyszczące, których się dobie-rzesz, bylebyś je w imię Boże zaklął miłością i zaczął a niestrudzoną nigdy pracą. I tak — pogodzisz się ze światem.

Lecz powiedz, skąd tym dawno zmarłym postaciom ten wdzięk nadziemski i ta uroda jakby od aniołów po-życzona? Skąd im ta wieczna młodość, co nigdy nie sta-rzeje, choć się zjawia w najgłębszej życia twojego je-sieni? Skąd tym obrazom ta czarodziejska barwa, co nie spłowiła, nie przygasła, choć one tak długie lata prze-leżały w otehlani pamięci twojej? Wszak gdy wzrokiem serca obaczysz twojej Matki wizerunek święty i to jej ostatnie pożegnalne spojrzenie, co utonęło na zawsze wie-kuistości promieniem w duszy twojej, już i sam siebie widzieć będziesz w ówczesnej młodocianej, prawie pa-cholejącej postaci; tak to dawno, tak bardzo dawno od owej boleści pełnej a uroczystej chwili. Wszak i grono szkolnych towarzyszy od tak wielu lat przebrzmiało gdzieś echem po świecie; — ten spoczął w małej jeszcze tru-mience, tamtego znów wysoko podrzucił świecisty los, ów przepadł gdzieś w mroku; owemu znowu dawno na skon „zadzwończyły konie kopytami, a wojacy ostrogami — a wypła oczy wrona z dalekich stron“ (Stara pieśń).

Pytasz skąd te dziwy? — pytaj się własnych piersi twoich; wszak to ty sam te obrazy odziałeś pięknnością, ty sam w nie tchnąłeś anielskie wdzięki poczęte we wła-snym duchu twoim. Tyś sam własnymi oczarowany czary. Ot patrz, w cichej istocie duszy naszej składa zewnętrzny świat wizerunki swoje; wmykają się w nią tłumne po-stacie, zrodzone w rzeczywistości ziemskiej, więc też nie dziw, że te postacie a obrazy tak są niby prozaiczne, powszednie, bez barwy, blasku i wdzięku; one tam gdzieś na dnie ciemnej otehlani duszy leżą zapomniane, przy-

prószone. Gdy atoli życie uderzy w nas brzemieniem swoim, gdy urazi dawne, bolejące jeszcze rany, lub gdy dźwięki radosne świata rozbudzą dawne, oniemiałe w sercu wesela: wtedy odpowiednie im wizerunki zadygocą w sobie, wtedy duch nawróci ku sobie i wstępuje w głębie swojego wnętrza; wtedy on zajaśnieje płomieniem jakby z nieba spadłym, a owe wizerunki i postacie zapomniane, przyćmione jakby na kryształowych szklach malowane figury latarni magicznej, przepromienione teraz poświęcą czarodziejską ducha twojego, zjawią się zewnątrz ciebie i przesuwając się będą poprzód oczy istoty twojej wiekuistej; będziesz je widział pływające we falach nieskończonej niebiańskiej piękności. Tak — jest to twoja własna sprawa; te uroki jakby z nad gwiazd zrodzone, to duch twój własny, który się z nich do siebie samego uśmiecha niebiańskim obliczem; on to we własnych zrodzeniach swoich tak się rozmiłował rzewnie i siebie w nich uwielbił i do nich serdecznie się modlił. Nie pytaj przeto już skąd przyszła tym postaciom owa piękność nadświatna, skąd one tak anielskie, tak przezzystego uroku; — oto w duszy rzewnie i uroczysto. Te przeto wszystkie obrazy są jedynie naczyniem ducha twojego, jego szatą widomą, mową niebian przetłomaczoną na język ziemski.

Tom II, str. 5.

O wrodzonej poezyi.

Każdy lud na dnie serca swojego przechowuje wrodzoną sobie poezję; z tych głębin najskrytszych jego istoty wypływają mu na jaw i marzenia, i żale, i pociechy jego; a póki lud jest samym sobą, póki jest świadkiem siebie, póty też i ta wewnętrzna poezya nie umiera, a żyje życiem pełnem, choć ją głuszą światowe hałasy, choć ją tłumią burze zewnętrzne i wichry straszliwe. Ta poezya jest ona fantazya powszechna, wszędzie rozlana, wszędzie obecna, drgająca po wszystkich latach i wie-

kach; a ta fantazyja choć każdemu ludowi jest posagiem w świat i otuchą w życie, przecież w każdym ludzie jest inna a inna; ona tak mu własną, jak mu własna krew, i uczucie i myśl. Więc choć powiewy przyniosą pieśni uroczę ze stron dalekich, ze stron obcych; choć z krain wiecznej wiosny przyniosą dźwięki cudowne ale cudze, toć przecież w sercach cicho, spokojnie i chłodno, przecież tęskno w duszy; przywiane z daleka pieśni a dźwięki uleczą jak woń zbladłej róży, jako liść laurowy oderwany od gałązki rodzinnej.

Gdy atoli z własnej kości, z własnej duszy, z własnych borów i gór i z własnego nieba urodzi się wieszcz, a z najgłębszych piersi zaśpiewa pieśń, — wtedy i w sercach wszystkich i w duszy każdej śpiewno, wrząco, uroczysto, świątecznie; i każda dusza, każde serce odezwie się wszechmocnym dźwiękiem i zawtoruje mistrzowi, a tęsknoty i marzenia staną się jawem w pieśni.

Atoli chwile te rzadkie są i drogie w dziejach ludów; najczęściej wloką się ich dni i lata w cikliwej życia prozie; lecz i w tych szarych, powszednich chwilach lud każdy, choć nieświadom tej poezyi swojej, byleby był zdrów na sercu i myśli, znajdzie tę poezyę swoją, tę fantazyę sobie właściwą w swoich dziejach przedświatowych; w niej się dopatrzy rozplynnych postaci pradziadowych lat; z tych starych wieków dosłyszcy głosów niby wołania dzwonka z za boru, co wzywa wśród mglistego mroku na nabożeństwo poranne. Przecież i każdy pojedynczy człowiek ma te bajeczne dzieje żywota swojego; one mu dzwonią wspomnieniem lubem z poranku młodości, z dziecięcych lat; on niemi się pieści i bawi, niemi się chłodzi i krzepi, gdy mu te wspomnienia przyniosą i baję i powieści, co mu tak błyszczą, tak świecą, jako złote jabłuszka, jako obrazki świeciste. Wtedy znów cudem fantazyi zmartwychwstaną mu czasy dawno zapadłe, postaci dawno zmarłe.

Dzieci, zwłaszcza na północy, żyją wśród czarów,

uroków i marzeń, póki im anioł nie zamknie bramy do rajskich ogrodów uludy; a co wspomnień człowiek uniesie z tej życia wiosny, toć już jego własnością, a skarbem złoży się do grobu; a choć życie zziębi go i zmrozi, w sercu będzie wiecznie młodo i tkliwo.

Tom II, str. 195.

O miłości do natury.

Miłość do natury i jej pojawów stanie się dla każdego człowieka i mistrza i niemistrza jednym z aniołów stróżów, co go wiodą przez życie i świat, dodając otuchy i pociechy wśród chwil smętnych i opuszczonych na pielgrzymce jego żywota.

Gdy młodzieniec pokocha z całego ciepła serca tę naturę i zrozumie mowę martwych kamieni i skał, gdy pozna żywoty robaczek brzęczących po ziołach i orłów tatrzańskich loty; gdy się nauczy mowy lasów ojczystych, co mu prawią tajemnice w gaworze swoich drzew; gdy się nauczy witać po imieniu te kwiaty; co mu rosną po łąkach ojczystych i po mogiłach i grobach; gdy zdoła czytać w tych hieroglifach, co mu się jawią na niebie w rozlotnych kształtach obłoków lub w mglistych postaciach gór na widnokręgu; gdy młodzieniec całą naturę zamknie w sercu swoim; już ta natura odda mu stokrotnie te miłości jego; ona ostudzi palące biedy życia i ukoji zadane od ludzi serca rany, ona mu będzie księgą do nabożeństwa, na której zamodli się duch jego Panu. Ta miłość do natury będzie młodzieńcowi obroną od myśli niedobrych, utwierdzeniem w enocie. Szepty borów stron rodzinnych, kwiaty na grobach ojcowskich, co słuchały uczuć młodocianych, gdy w głębi duszy swojej zaślubił się zacności i prawdzie, będą mu talizmanem przez życie, chroniącym serce od skazy.

Tom I, str. 84.

Widok z Wawelu.

Czyli znasz widok z Wawelu ku stronie Bielan naszych? Czyli wpatrywałeś się kiedy w ten obraz pełen bogactwa i czarodziejskich uroków? Natura tu zaiste w swych szatach niedzielnych przybrała się w co miała najstrojniejszego, a tak jej też dobrze i ładnie w tych sukniach świetnie wyszywanych i lśniących świeżością i barwą, iż kto ją raz obaczy, już ona mu się na wieki w sercu zapisze.

Tu z nieba spadły wszystkie natury piękności i otoczyły siwy Kraków gęstym wiankiem nigdy niezwiędłych kwiatów. Tu dziwnie się splatają powaby różnaitości pełne, bo przy sobie znajdziesz i zuchwałe butne góry czarnym borem poważne, — i wzgórza łagodne, urosłe w kształty pulchne i miękkie; i wyteżone rozłogiem niezmiernym błonia majowe, i gołe ściany skalne, dąbrowy bukietami po równinach porozrzucane, kraj rozwinięty kobiercem haftowanym w warcabnicę zbożnych łanów. Rusza się i migoce rozbiegły ród topoli srebrnych, powiewnych wierzb, sosien dumających i męzkiego hartu dębów.

Osiadły też tu ciżbą wioski i pałace; klasztory i dworki, strzechy i wieże, a radując się pełnem sercem, oddychają tym cudnym Bożym światem. Natura tak pełną garścią obsypała tę Obiecaną Ziemię czarami swojemi, iżbyś mógł trzy, sześć, nie wiem ile, osobnych obrazów z wiboku tego wykroić, a każdy byłby inny, a każdy cudnego wdzięku; byłoby nas stać nie jedną jałową stolicę ubrać, ozdobić, a jeszczebyśmy nie zubożeli wcale. Tu drzewa i ptaki, — potoki i zwierzęta, góry, ludzie, i dzwony śpiewają weselem: ale już primadonną tej wielkiej opery Natury jest Wisła, co od lat tysiąców falami swemi nuci nam tę samą, jej niesprzykrzoną nigdy, a nam zawsze drogą pieśń swoją.

Wielki Piątek.

Oniemiały dzwony krakowskie; całe miasto przybrało na się postać uroczystą, świąteczną; ulice spokojne i ciche, choć lud cały jakby wypuszczony z objęcia zimy, głęboko odetchnawszy, wyroił się na świat otwarty, rozlewając się po świątyniach naszych, by po staremu cześć oddał w grobie złożonemu Bogu. Słońce przetarło oczy swoje i jasnym spojrzeniem rozplynęło po niebie, budząc ze snu twardego ziemię, a w serce ludzi nadzieją świecąc.

Bóg umarł — a potęga przyrodzenia uśpiona jak w trumnie; ale wnet z grobu anioł w bieli kamień odwali, a nad światem pieśń skowronka niby dzwonek poranny natury ogłosi mu przebudzenie i świt.

Bóg umarł, i duch nasz nieśmiertelny tęskni sobie w tym ziemskim żywocie, a doczesność ciśnie go ciężej kamienia grobowego; ciemno, chłodno mu w cielesności świecie, póki też na niego nie przyjdzie zbawienia chwila, w której i jemu anioł w bieli ciemności otworzy, a wtedy spadną z niego i uciechy tej ziemi, i jej biedy, i jej płacze, i będą zwinięte i na boku złożone, jak te chusty grobowe w onej wielkiej zmartwychwstania nocy.

Wielkie i święte rocznice, jakby gościem drogim z dawnych czasów, odwiedzają każdy rok naszego żywota i jakby Bożem imieniem pukają rok rocznie do wnętrza serca naszego, cucąc w niem tęskne obrazy upłynionej młodości, a zarazem zwracając myśl do głębin własnej naszej istoty. Są one jakby słupce milowe ziemskiej pielgrzymki człowieka; wzywają go: by się policzył z życiem, ze światem, i z sobą; by się obaczył, ile mu znów kwiatów zmarło na smętnej życia ścieżce, ile znowu zwiędło w sercu nadziei, ile ułud złocistych zagaśło. Ale im samotniej, im smętniej i ciszej w duszy, im więcej traci wagi doczesność, tem jaśniej wiekuistość zaziera we wnętrze człowieka i rozświeca je swym pro-

mieniem. Wtedy pokój głęboki jakby harmonią niebiańską wpływa w tajne piersi przybytki; ziemskie gwary, śmiechy i boleści milkną, a w sercu świątecznie, uroczysto; jakby na ołtarzu Bożym zapali się w niem płomień nieskończonej miłości i jakby organy zabrzmi samotne duszy nabożeństwo.

Tom I, str. 173.

Kościół krakowski.

Z drugiej strony Sukiennic w głębokich cieniach przyklęknął do ziemi skromny kościółek świętego Wojciecha. On nie patrzy na blaski cudownej nocy, zamknął się w sobie; boć w jego sercu goreje inna a nie pożyczana gwiazda; tam jaśniej światłość wiekuista, widna dla oczów duchowych; z niego wyszedł dzień jasny, Boży i rozświecił serca ludzi. Z tego kościoła wyszło niegdyś wołanie Anioła, głosząc ludowi śpiącemu jeszcze we śnie pogańskim, że wybiła godzina wiecznego żywota. Jakoż we wnętrzu tego kościółka zamknięty kamień, z którego niegdyś męczennik święty siał w lud wiarę zbawienia. Wkoło świątniczki wianek zielony topoli, tych cyprysów i mirtów naszej północy. Spadają i odradzają się ich liście, a świątniczka cicha, niezmienna nigdy, zawsze jedna i ta sama; ona żyje wiosną nigdy nieskończoną. Schną z kolei podstarzałe jej drzewa, a pokolenia po pokoleniach same odradzając się, dochowują starej czci i na miejsce zwiędłych, sadzają młode drzewa do wianka Patrona.

Ponad rynek i miasto, — ponad kraj wokoło unosi się poważnie, uroczysto kościół Maryacki; on jest całego ludu i kilku wieków modlitwą skamieniałą. Cegła, olbrzymie ciosy, metal twardy, straciły tu ciężkość swoją; materya bezwładna, tu uskrzydłona pobożności uczuciem, zrywa się z ziemi ku obłokom, ku gwiazdom. Wznosi się przybytek Matki Dziewicy na tle głębokiem nieba;

on ku nam zwrócił stronę cieniem zalaną; stąd postać jego podobna do tajemnicy wiary, co niby okryta urokiem świętym, a przecież różwidniona serca poczuciem, jest wiekuistości zwiastowaniem! Wzbija się wieża jakby uniesiona cherubina lotem; pozostawiła siostrzycę swoją niższą bliżej ziemi, bliżej doczesności i jej spraw, sama zaś ulatuje formą tak wdzięczną, tak lekką, a przecież tak poważną, a wzbija się sama jedna wśród topieli światłości nocy i w nich się nurzy, i płynie, i pali, jakby kagańcem na wysokościach. U góry unosi z sobą wieńiec wieżyczek lekkich, budując z nich w koło siebie jakby twierdzę napowietrzną wiary. Znowu wyżej i wyżej piętrzy się lekkie budowanie i dosięga promienistej korony, którą ludzie uczcili Boga — Rodzicę. Wystrzeżliła już wieża powyżej korony i u podgwieżdżnych szczytów niesie błyszczącą w księżycu kulę, świata godło; nad kulą, nad światem chorągiew, miłosierdzia sztandar; na niej imię Maryi Pośrednicy Ziemi i Nieba! Świątynia czuwa nad miastem jako Oředowniczka jego; w niej złożone jego nadzieje, i miłości, i ciche marzenia; w niej nas krakowian uświęcają chrztem na żywot, w niej wiążą ślubem „aż do śmierci“, w niej nas Bogu oddają. W tym Przybytku zamknięte Alfa i Omega wszystkiej naszej ziemskiej wędrówki.

Kościół oblekł się szatą uroczystą nocnych cieni; wieża tylko ubrała się w blaski promienne; po dachu rozpląnęła się rosa niebiańska, a po rosie tej księżyc rozlał srebrną polewę swoją. Patrz na te przypory pełne potęgi, które podparły kościół koło wielkiego ołtarza; każda z nich od szczytu wykwitła, jakby w hlią śnieżną, w drobniuchną eteryczną świątynickę gotycką: ścianki jej przejrzyste z marmurowej koronki, — cała ta kapliczka zwita z kwiatów, z liści, słupków i wdzięcznym spletem przerosła dach, i bieli się, i świeci na wysokości jakby lekki sen dziecięcia.

W Kapliczce próżno; w niej nie zamieszkał żaden

wizerunek święty; ale jest tam Gospodyn, jest! tylko nie widny z dołu; tam w tych śnieżnych, eterycznych, kwiecistych kapliczkach siadają Aniołkowie na straży małych dziattek naszych. Te aniołki tam czekają na dzieci, co umierają na dole, na ziemi. Gdy dziecię chore, matka chodzi po izbie i huśta na rękach kochanie swoje; chodzi biedna, huśta i płacze i wstrzymuje tchy i przemaga łązy, by nie przebudzić śpiącej dzieciny; tak! matka chodzi, huśta, do serca je tuli, a nie wie, że już umarło, że aniołek z bieluchnej kapliczki już całuje i pieści jej dziecię, ulatując z braciszkiem aniołkiem do nieba.

Tom III, str. 160.

Noc księżycowa.

Cicho, spokojnie w izbie; — noc głęboka — słychać tylko stukające sekundy, jak ze starego zegaru uciekają do wieczności; małe pacholátko śpi w kolebce, a tu księżyc milczkiem wmyka się przez okno do izby i świeci w kolebkę, aż się drobne chłopię poruszy, skrzywi, ziewnie. Matka jednak czuwa zazdrośną miłością, zrywa się i osłania kołyskę; bo ta smutna, martwa księżycowa twarz patrzy się tak strasznie na dziecinę, a ono w tej jasności smętnej takie blade, jakby umarłe; trwoży się matka, by ta księżycowa twarz nie zcałowała rumieńców jej dziecinie i nie wyssała oczek niebieskich.

Co do mnie, jestem mu rad z całej duszy, bo widzisz, ja mam z dwóch powodów serdeczną słabość do niego. Zważ tylko — księżyc jest dla nas istną przypominajką; jakoż, gdy mu się czasem zdarzy, że tę pełniutką, dobroduszną twarz swoją zwróci do biednej ziemi naszej i jasnym spojrzeniem wyleje na nią czarodziejskie blaski swoje, już wtedy dziwnie się coś w duszy i płacze i roi. Te promienie jego drgają, dźwięczą niby srebrne struny arfy anielskiej, — a dźwięczą i drgają i grają, jakby na ukołysanie boleści dawnych, i usypiają

pokojem, choć na chwilę, myśli ekliwe, smętne, i koją wszystko, co w duszy kwili, i cierpi, i płacze. Patrz — ten księżyc światłością swoją otulił ziemię śpiącą i, jakby zarównem kochaniem, jasnością uroczą ustroił i mogiły i świątnice, żyjących i umarłych. On mogiłom i świątnicom, żyjącym i umarłym, na srebrnych strunach promieni swoich przygrywa pieśń o innych światach, kędy niema łez i lęku skonania. A tak, gdy wśród tej pieśni jego, w sercu i w myśli uśnie troska dzienna, gdy choć na chwilę spojrzysz w siebie i utoniesz we wspomnieniach weselszych, szczęśliwszych żywota twojego, a te wspomnienia popieszczą się z tobą, chłodząc bolejące miejsca twojego serca. I patrzysz w koło siebie, a tu chmara geniuszów nocnych, skocznych, lekkich, krząta się, zwija, i lata i biega; ciała ich przejrzyste i niby utkane z promieni księżycowych i z wonnego tchu nocnych kwiatów; i zwija się, i śpieszy, i lata, i biega czeredka, i dźwiga kulisy, kurtyny, i przywleka malowane pałace, kolumny, ciągnie wizerunki krzewów i drzew, i ustawia, i szykuje, i jakby murarze, cieśle, malarze, buduje, muruje, rysuje i stroi, — a już i gotowa scena z dawnych lat i teatr gotowy. Robotniki, dziwnie grzecznie skłoniwszy się, uciekają, a z głębi duszy twojej występują aktorzy, niby lunatyki księżycem obudzone, i odgrywają ci dramat z dawnych wspomnień drogich; i patrzysz, i weselisz się, i poklaskujesz wdzięcznej komedyi, której sam jesteś widzem i autorem. Tak — niesieni na falach księżycowych światłości, płyniemy w oddalone czasy i raz jeszcze, choć na chwilkę nawracamy do uczty weselnej, którą nas raczą rozkosze niegdyś doznane, a zmarłe dziś w życiu! A księżyc czegoś mruga i niby mówi: „nieprawdaż? tak samo ci się uśmiechałem — tam! wtedy — pamiętasz?” Tak jest, — ile razy taka noc cudowna, jasna, już nam stają przed oczy wrażenia, jakie odebraliśmy, gdy równie świat się ubierał w te czary jasności nocy magicznej. Powiedz

tedy, jakże tu nie kochać onego czarodzieja, co choć zmyśla i ludzi, jednakże pieści a koi.

Tom III, str. 154.

Wiosna.

Gdy słońce opuści tamtę nam odwrotną kulę naszego planety, gdy pożegna nieskończone jej oceanów przestworza, co oblały owe samotne, ostre kończyny trzech dzielnic świata; gdy jego tarcza, ta pani światłodowcza, życia i ciepła mistrzyni, roztoczy wiosenne spojrzenie swoje po naszej północnej połowie ziemi, już wtedy ogrzane jej promieniem duchy natury obudzą się po długim śnie zimowym, i — przeciągając się, leniuszki ziewną, spojrzą wokoło siebie i zabiorą się ochoczo, rzeżko, do wydzielonej im pańszczyzny. Jedni z tych duchów wyrobników mają się łąk, gajów, i gór, i roli, i chuchają na wszystko co rosnące, kwitnące, więc: na drzewa, na kwiaty, na trawki i posiew zbożny, i przędą cieniutko włókienka, i tkają listeczki misterne, i malują kwiatki barwami, i tchną na nie wonią, a wnet Karpaty, co w zimie odziane bielą, niby w chusty śmiertelne, ubrane w zielone śliczne sukienki, na powitanie posyłają nam w doliny potoki i rzeki swoje, którym było tak tęskno za Wisłą, a teraz w jej objęciu śpieszą na Bałtyckie brzegi. A przedwieczne mogiły odmłodziły wiosną i z wysokości swojej patrzą kwiatkami na błonia i gaje, i na grody stare. Ba! wszak i na jednej z zsiwiałych baszt krakowskich, na jej samym szczycie kołysze się krzew kwiecisty, jakby jej buket ślubny.

—...A cóż dopiero dzieje się w sercu młodem, co samo wiosenne, śpiewne, kwieciste! Dziewczyna, młodziuchny podrostek, trzyma fijołki w ręku, oddycha ich wonią i duszą rada im się wypowiedać, ale jej słów braknie; ona doprawdy myśli, że te fijołki w jej piersiach urosły, że to są wróżby, że to one senne obrazy, co jej się w nocy

przysniły; że to owe marzenia, co ją dniem pieściły, rozbierając serce rzewną, tkliwą tęsknotą — nieskończonem prorocstwem. Ona stanęła i patrzy w kwiaty i słucha; a ducha przyrody po krzewach, po gajach, ukryły słowiki, co wyśpiewują zakochane serenady swoje, i nucą zalecanki tęskne, aż się też i dziewczynie zdaje, że to one w jej sercu śpiewają i nucą, a te pieśni ledwie jej duszy nie rozsadzają. Nadleciał też i mały wietrzniak, siadł tuż przy niej na kwiatku i rozwinął skrzydełka swoje, i pokazuje jej hieroglify na skrzydełkach popisane, a ona duma, i myśli, i darmo się sili, by to pismo tajemne, dziwaczne, czarnoksiężkie przeczytać: i duma, — i myśli, i tęskni. Któż jej rozwiąże owe wróżby i przecucia, owe wonne i śpiewające proroki? Kto jej przeczyta i wyjaśni zagadkowe hieroglify popisane na skrzydełku motylem?

Tom III, str. 437.

Babia góra.

Znasz Babią górę, Tatrów sąsiadę, co się szarzy i garbi na rąbku krakowskiego nieba; ta góra — to od czasu do czasu gospoda onej starej czarownicy, co ją zimą zowią, co tak nienawistna wszystkiemu, co młode i piękne, skoczne i radosne, kochające i kochane. Ona tam milczkiem siedzi przyzwyczajona i czyha na chwilę sposobną; więc znienacka, zanim się spodziewiesz, okryje się płachtą z brudnej, ciężkiej mgły, zjedzie na doliny nasze i w jednej nocy pozabija wonie i kwiatki, poszarpie liście i zioła, pogasi światła i barwy. Daremnie broni natura te swoje dzieci łube, wnet i ona urzeczona od starej złoŃnicy, zaśnie ciężką śpiączką. I śpi, i marzy natura; śni o swoich kwiatkach i barwach, woniach i światłach, a śpi, póki jej nie przebudzi powiew wiosny młodej.

Teraz zima broi na dworze i ziębi; słuchaj, jak szumi i jęczy, i straszy! A tęskno ci w izbie i samotno, i ekliwo. bo nam podobno gorzej jeszcze niż naturze, drogi bracie

mój; przecież do niej wróca światła i kwiaty, wróca i barwy i wonie, ale duszę naszą urzekła inna jeszcze czarownica i uniosła światła i kwiaty, co nam świeciły i kwitły niegdyś na wiosnę żywota naszego, a te światła i kwiaty podobno zwiędły już niepowrotnie, na zawsze. Lecz nie dajmy się czarom złowrogim! brońmy się urzeczeniom, nie myśląc o nich; bo wiesz, choć ci czasem samotno i ekliwo, zaproś w gościnę inną czarodziejkę, dobroczynną, co ci pokaże sztuczki magiczne, gry dziwne, wymyślne, i tak cię zajmie, zabawi, że ani się spostrzeżesz, a już wieczór zimowy, co tak długi i tęskny, przeminał, i zapomnisz na chwilę o światłach, o kwiatach, co zgasły, co zwiędły niepowrotnie. Ta wróżka, to wymyślna, kapryśna poetów i mistrzów pani; te biedaki są jej oddane w jęctwo i w służby potulne; a dla nas zaś ludzi powszednich ta ich pani jest nadworną zabaw naszych mistrzynią! Ale pozwólno jej stroić sztuczki, pozwól gadać, bajać, i zmyślać, a wnet się tak spoufali, że tych jej figlów nie będzie ni końca ni miary; ona drwinkami za gościnę i twoje dobroduszne przyjęcie zapłaci. Ona, jak prawią, umie i zadać niekiedy kropki na odmłodzenie, z fabryki onego hrabicza francuzkiego hulaszceży pamięci, a jeśli zagra na skrzypkach, to ci poruszy w sercu skoczne, lekkoduche figurki z dawnych lat. Więc nie gniewaj się, pofolguj tej bałamutnej psotnicy, pozwól broić tej wróżce figlarnej; boć to ona jest *fantazyą*, a ona zaiste ważne piastuje dygnitarstwo w świecie duchowym: — ona nam barwi, co szare, spleśniałe, a złoci, co tak biedne i ubogie w życiu. Wszak ta fantazyja podobna do świerczka w kominie; póki się odzywa, toć znać, że nie przemarł do szczytu, że tam w sercu jeszcze ciepło, że tam choć jeszcze iskra w popiele. Nie broń tej psotnicy lubej progów twoich, owszem, niekiedy pomóż jej dokazywać i broić! A jeźliby ci brakło weny, a jejmość fantazyja miała się zdrzemać na piękne, to zrzuć pychę z serca i siadaj między dziatwą, poigraj z pacholećmi, a fantazyja znów

się rozbudzi w tobie, a odświeżysz się na sercu, na myśli, i uspokoisz nie jedne bolejące serca rany. Bo dziatwa, to iście pany na zamkach czarnoksiężkich; ona to w królestwie cudów i dziwów jakby w domu swoim. Dla nich nie istnieje porządkny w świecie ład, w ich duszy złoćisto, skoczno, chichotno, a tak dziwnie jak na tym ich sadzie godowym krakowskim, co u nas w każdą wigilią Bożego Narodzenia, niby bajeczka czarodziejska, z okrzykiem radości od pacholąt witany. Patrz, co się dzieje w ich duszy, gdy sosienka przyniesiona z bielańskiego boru, zabłyśnie w jabłuszka, orzechy złożone, gdy na gałązkach jej zamiast szyszek zabuśtają się wiarusy wąsate, war-koczne Marynki krakowskie z cukru, i skaczą uwiązane dzieciątka, i rybki ich z Wisły sąsiadki, i świecą barwiste stoczki, a w pudłach i pudełkach pełno dziarskich ułanów i groźnych piechorów. Posłuchaj, co się tam migoce, mieni w tych główkach małych. W oczach, w myśli przesuwają się świętek, co sobie drwi z rozsądku, drwi z powszechnego ładu świata; więc też one tak echiwe gadek o niestworzonych rzeczach. I dlatego właśnie, gdyś sam znudzony drobną, wymokłą prozą życia, siadaj między dziatwą i praw im historyjkę.

Tom II, str. 351.

Cmentarz rodzinnego miasta.

Nie wiem, czyliby się kto znalazł, coby przeżywszy już znaczniejszą część swojego życia, nie doświadczył czasem tych chwil niewypowiedzianej, rzewnej tęsknoty, kiedy się nam przykrzy w tem życiu powszedniem; tych chwil,— w których serce zachodzi bólami całej naszej przeszłości i nabrzmiewa niby łzami cierpień bez końca. Są to chwile tak smętne i szare, że nam aż ciężko, dławno, parno na tym Bożym świecie, co przecież tak piękny, a cudów pełny. Są to chwile, w których dobrze pomówić z umarłymi; wtedy dobrze utonąć w duszy, wskrzesić pamięć zgasłych

ojców, przyjaciół, krewnych, — i rozmówić się w myśli od serca z nimi; wtedy dobrze nawiedzić mogiły i groby i przenieść się w dawno upłynione lata, a często umarli ulecą zbolełe dusze żywych.

Śmierć — to wielka nauka dla żyjących! jakoż kłopotki i zmartwienie codzienne marszczą jedynie wierzchnie duszy fale, lecz gdy znienacka spadnie na ciebie całym brzmieniem skon drogiego człowieka, którego uczucia zrosły się z uczuciami serca twojego, wtedy nieskończone boleści, jakby burze i wichry Boże, roztworzą ci do dna duszy twojej topiele, — i z głębin ich wyrzucą na jaw prawdy jak perły drogie, choć wśród cierpień zrodzone; bo wtedy, co wiekuiste, co nieskończone, stanie w promieniu niebiańskim przed duszą twoją; co ziemskie, doczesne, zblednie, skureczy się w karła, zniknie, uleci. Wtedy poczucie wewnętrzne ci wróży, że cię sam Bóg nawiedził. Czas zagoi wprawdzie głębokie rany serca w blizny; na miejsce wrzającej gwałtownej boleści wstąpią wspomnienia smętku i żalu, a przecież tak pełne słodczy rzewnej. Ale to dopiero wśród grobów owieje cię dech innych światów, tak cichy i spokojny, że ci ukoji troski codzienne i ulży te biedy, biedki zwyczajnego żywota. Takowym uczuciom dziwnie wtórowała sama pora roku na tej wczorajszej wędrówce mojej, po tym krakowskim cmentarzu!..

Głęboka jesień przygasiła już wszystkie natury barwy; sposzarzała te jasne nieba błękity; jej wichry obdarły z krzewów i drzewów bogaty liści strój, co na wiosnę wykluwał się tak uroczo, tak pełen nadziei ku słońcu; dziś, jakby najdroższe serca ludzkiego uczucia, rzucony o ziemię wilgotną, zwalany, sponiewierany, poszedł na pomiotłę i gry — mroźnym, jesiennym zamieciom. Mgła morska, gęsta, kłębamii przewalała się po świecie, w niej jakby w morzu tonęły domy, wieże, kościoły; one teraz, jakby własne mary swoje, traciły zarysy rozplływając się w kształty zamazane, omdlałe. Da-

leko jeszcze za miasto dopływały zegarów głosy, — i stary Kraków uderzył w swe kościelne dzwony i harmonią ich tonów zaśpiewał tren żałoby, tak pełen grozy, tak przeciągły, głęboki i smętny. W końcu i pieśń oniemiała, umarła.

Wśród samotności a głuchego opuszczenia, niedaleko przed bramą cmentarza zaszedł mi drogę pogrzeb. Z grubej mgły występował zwolna, niby z obłoków, ubogi wózek o jednym zbiedzonym koniu; na wózku z prostych desek trumna, a na trumnie krzyż czarny rozmazany słotą; obok siedł woźnica, — on był sam całym konwojem pogrzebowym. Mgła coraz gęstsza już obłoniła nawet najbliższe przedmioty i zamknęła nas zewsząd oponą swoją; tak tedy umarli, i woźnica, i ja, składaliśmy sobie we trzech świat osobny, własny i cichy. Czasem tylko wózek zaskrzypiał, — czasem trumna stukła, czasem zaklekołały nad nami suche gałęzie drzew. Tak w końcu stanął wózek u wrót cmentarza; dołów przygotowanych było pod dostatkiem; więc w rychle zadudniła trumna w głębi, więc kilka łopat ziemi, a już nasz wędrowiec stał się jednym z gospodarzy na tej świętej roli Bożej. — Blizko niego stos łąści żółkłych, nawianych wśród grobów: one, chwyczone wiatrem, nagle się zerwały, skreśliły się w słup, a słup wierząc się i szumiąc poleciał daleko ponad mogiły, niby oznajmując im nowego przybylcę; świerki zaś, te warty grobowe, co im tak bujno na naszym cmentarzu, zatrzęsły się w sobie zimnym dreszczem, zamruczały i wnet rozgadały nowinę po całym cmentarzu. A wokoło już nie było widać istoty żyjącej. Głucha cisza zaległa tę nieprzejrzaną przestrzeń; niekiedy tylko tu lub owdzie zgrzytły drzewczki blaszane na starych pochylonych krzyżach; niekiedy na grobie sykły ziola zwiedniałe powiewem poruszone, westchnął zwiedniały listek, poruszył się na grobie; niekiedy coś stęknęło pod ziemią: zapewne załamały się dawne spróchniałe deski. W środku, jakby na rozstajnych drogach, czerniała się kaplica drewniana; ona choć biedna, z desek sklecona,

jest jakby stolicą świętą tych grobów ubogich i tych pomników okazałych.

Gdym wracając przechodził to nieboszczyków państwo, nie było już widać duszy żywej; zdawało się, jak gdyby te długie rzędy grobów jedne po drugich z kolei wybiegały naprzeciw mnie z pod zasłony wieczornego już mroku i mgły; jak gdyby te szyki czarnych krzyżów, pomników kamiennych, zachodziły długim, nieprzejrzanym szeregiem, niby wojska kroczące śpiesznie na przegląd Boży, a ostateczny sąd. Były też mogiły bez krzyża i napisu; widać, że mieszkańcy ich wlekli krzyż przez cały żywot swój, — i na nim też legli w grobowym dole; lecz imiona ich łzawem zaprawdę pismem wyryte, trwają w pamięci tych, których zostawili na ziemi. — Obejdzie się już bez pomników; wszędzie ta ziemia jest święta. Cmentarz rodzinnego miasta, toć to jest kronika tej cichej historii rodzin, tych dramatów, co to odbywają się na szczupłej skromnej scenie domowej, nieznaney od świata, a przecież tak często są pełne rzewności, tak bogate w serdeczną treść, iżbyś nią mógł napęłnić księgi całe.

Tom II, str. 254.

Wyjątki z „Mogil“ Kraszewskiego.

—...I nie czułem jak padłem, nie wiem, jakem tam leżał, nie pomnę jak powstałem, aż otwierając oczy, ujrzałem istotę w bieli i promieniach, która białem ramieniem objąwszy mnie, tuliła głowę zbolalą i z cicha szeptała słowo pociechy, pieśnią spokoju płynące mi do duszy.

A gdym się obejrzał odrywając źrenicę od blasku oczu, które mi świeciły, nie byłem już na ziemi. Widziałem ją jeszcze u stóp moich rozciągniętą szeroko, daleko, owianą mgłami, ale krzyki nie dolatywały uszu moich, i z za chmur świeciło na nią słońce godne poranka.

Cisza wielka owiała nas, a głowie mojej tak było słodko spoczywać na ramieniu anioła, przytulonej do czy-

stej piersi, w której nie ziemskiego nie było, żem ust nie umiał otworzyć, by snu uroczego nie przerwać. A nie był to sen, ale jaw zachwytu. — Boleść podniosła mnie nad ziemię, a anioł, który trzymał mnie nad nią w swoich objęciach, i słowo jego ziemskie nie powtórzone, powoli balsam lały na rany długiego żywota i potargane myśli sploty, i rozrانیone serce.

Długom tak spoczywał w objęciach anioła, a nie słyhać nie było tylko szelest skrzydeł jego srebrzystych, tylko słodki szept ust jego, tylko oddech śpiwny, i szatę, którą powiew lekki poruszał, a szata szmerem się swym modliła.

Miedzy niebem a ziemią, nie ubłogosławiony jeszcze, ciałem śmiertelnem i nieoczyszczonem podnieść się nie mogąc wyżej, czułem już spokój szczęścia lepszej krainy, której byłem bliżej, i widziałem cały zastęp białych aniołów, unoszących się w różne strony koło mnie... Z uśmiechem lecieli z niebios na ziemię, a z ziemi ku niebu.

IX.

Jak w ulu pszczoły robocze, cicho a żywo przesuwaly się białe postacie, posłańcy Boży... i oko moje rozeznawało powoli braci tego, którego ręka podtrzymywała mnie nad ziemią w osłupieniu potrzebnem biednej zbolalej duszy mojej.

Wszyscy braciszczkowie witali się z uśmiechem i spytakając, czystym na chwilę łączyli pocałunkiem. Kładąc sobie ręce na ramionach, wszyscy podobni byli do siebie, a blask niebios jaśniał na ich obliczach, i szczęście z nich promieniało i spokój ich otaczał. Jeden niósł w objęciu białych ramion duszę przeznaczoną do jasnego spoczynku u nóg Bożych i przyciskał ją do piersi, jak matka tuli dziecinę, skroń jej ocierał z potów śmiertelnych, lzy ustami osuszał, krew szaty dotknięciem omywał.

Inny na promyku leciał z naczyniem rany goją-

cego napoju, gdzieś ku czarnej naszej dolinie, a spieszno mu było i oczy jego pół płakały, pół uśmiechały się radością.

Inni polewali ze złotych konewek świeżo zasiane pola deszczem urodzaju, rosą użyznienia, inni szaty swe białe rozpościerali osłaniając łąny od burzy, inni odgarniali niewidome duchy złoczyńce mieczem ognistym i krzyżem jasnym, ci ściągali promienie, tamci rzucali cień chłodny.

Inni nieruchomi zdawali się oczekiwać rozkazów, patrząc po morzach i lądach, po lasach i polach z założonemi na krzyż rękami, ze zwieszonemi głowy, tuląc się po dwu do siebie od chłodu, którym na nich wiała ziemia.

Jeden niósł matce sen o dziecięciu, co śpiewało chwałę Bożą i śpiewając, w niebiosach po niej tęskniło, a sam Bóg mu się litował; — drugi z obrazem matki na szacie, leciał ku dziecku do nieba.

Inny z ziemi westchnienie boleści do krzyża Chrystusowego, rozpiętego w niebiosach, dźwigał co żywiej, podnosząc się wysoko, a szata biała migiała na nim długą wstęgą.

Trzeci prośby i modlitwy zebrawszy w połę dalmatyki, jak żniwiarz z pola wracający, spieszył z niemi do Bożej stodołki, a oko jego spoglądało z litością na szare i czarne, na świecące i starte prośby ust ludzkich, z których mało było czystych i całych. Jedne podziurawiły namiętności, drugie splamiły łzy ziemskie, inne w proch się rozsypały, tak były lekkie i błahe.

Anioł nad jednemi płakał, nad drugimi wzdychał z litością, a ciężko mu z niemi było, i zginał się pod ich brzemieniem, aż zbliżył się do strumienia łaski i obmył w nich modlitwy, i poniósł je czyste i świecące.

Byli, co niesli palmy zielone na ziemię i krzyże na ziemię, i krople pociechy.

Był jeden, co promyk nieba jak kwiat jasny piastował w rękę, aby nim czyjaś boleść oświecić i wonią niebios ją orzeźwić.

Był, — co łązę, jak perła czystą, niósł na dłoni do góry.

Był, — co pot pocziwej pracy do Boga odnosił; inni nieśli słowa dobre na czystych kartach złotemi głoskami pisane. I spojrzawszy na ten ruch posłańców, ziemia mi się mniej straszna, i życie nie tak nierozwikłaną zagadką wydało, gdym zastęp duchów zobaczył — i zapytałem Anioła: zawsze ci jest tak?

X.

Usta jego uśmiechały się z politowaniem marzycielskiem.

— Biedne dziecię rzekł całując wypłakane powieki moje, jakże ci gorzko musiało być w życiu, gdyś tak zwątpił o Bożej mądrości i opiece! przez jakie przeszedłeś próby? ileś cierpiał po cichu i niesprawiedliwie.

— Ja rzekłem — ja? a cóżem ja jeden? małuczki pyłek na małej ziemi naszej... jedno nie wśród tego tłumu, co cierpi cały! serce zaszło mi goryczą wszystkich ludzi razem, zwątpilem o świecie, pojąć świata naszego nie mogąc. Tyle w nim złego, tyle brudu... tyle czerni, lez tyle... a tak krótko trwa wszystko?

— Wolalłabyś, by boleść dłuższą była?

— Ale jedna ona nie ustaje nigdy, — a co najszlachetniejszego, najlepszego, co jaśniejszego, to znika i ginie w chwili jednej... powiedz mi, dlaczego wszystko ściera się i ginie.

— Aby żyło i odrodziło się w niebiosach. Dziecię moje, ty się uskarżasz na ziemię, ty tęsknisz nad jej znikomością... a sam ten ból twój jest nieba pragnieniem i stopniem do mego. Dziecię moje, z ziemi na ziemię patrząc, mgły ją zasłaniają; stąd na nią patrz ze mną, a inaczej ją z-barczysz. Wszystko tam znikomością, ale nie cała ona tak żałobą pokryta, tak bólem przesiąkła i ciemnościami osnuta. Są i tu chwile jasne, są i tu ludzie bieli, ale nie żądam nieba bez chmury i z ludzi czystych

aniołów. O! niema u was ani szczęścia bez goryczy, ani istot, w którychby sercu nie czerniała plama grzechu... chciałżeś od ziemi co tylko niebiosą dać mogą? Chodź ze mną, dziecko moje, a inaczej świat zobaczysz; ja cię prowadzić będę.

XI.

A gdy to mówił anioł, podniosłem głowę nieco; porzucił mnie uśmiechem, uczułem siłę w sobie, i po boleści nastąpiło jakby odetchnienie spoczynku; powieki jeszcze nie oschły, serce bić jeszcze nie przestało, ale gwałtowne cierpienie ustępowało zwolna, i z rezygnacją spojrzałem teraz na kolebkę naszą, na cmentarzysko... Skrzydła Anioła poruszyły się i poczęliśmy się zbliżać ku ziemi; a on wskazał mi ręką znajomą okolicę.

Wszystko tu zmienne, przechodzące, niestałe, smutek wieje od chłodnego oblicza matki waszej, ale nie rozpacz... Patrz, jak z więzienia tego ulatują dusze wyzwolone, jak tu wszystko splata się, spaja, słońce i burze, uśmiech i smutek, nie niema trwałego, ale i boleść nie żyje na wieki. Całe życie wasze to chwilka, i gdy zamkniesz powieki, błyskiem ci się wyda, co sądziłeś wiecznością, gdyś cierpiał. Nie maszże, czem się pociezyć choć chwilę? Z tych serc skalanych, strzelają niebieskie uczuć kwiaty; w najzepsutszym jest jeszcze białe ziarnko poprawy... tęsknoty... zgryzoty... A taż właśnie młodość cała jeszcze niebiosami woniejąca, a też serca i oczy płaczące-towarzyszów podróży? a toż przywiązanie ofiar pełne? nie sąż-to obrazy złociste, którym się i anielskie radują serca? A boleści wiele i kału wiele... ale możnaż rozpaczać o ziemi... i odpychać to pobojuwisko pogardą? Nie — dziecko moje... niebo jej strzeże... czuwa nad nią... a żadna łza nie ginie, żaden się jęk nie rozprasza.

Widziałeś ten rój duchów, ulatujący nad nią w obłokach? Oko ledwie może ich dojrzeć w chwilach, gdy cała

dusza oderwana od świata wpłynie w rozszerzoną zrenicę, jak w białej jasności słońca nie widzi siedmiu tęczy kolorów, póki mu ich łza nie rozłoży na siedm wstęg oddzielnych. Ale duchy są wszędzie; otaczają was, wspierają, przynoszą myśli, dźwigają tęsknie wasze i zawołane stają w pomoc niewidome. Człowiek sobie to przypisuje co im winien... i woła: skąd mi ta siła? i pyta skąd mi myśl taka?

Otwórz oczy twe i patrzaj, jaki rój istot różnobarwnych zwija się nad wami. Wasza posługa to ich życie; są to siostry miłosierdzia niebios, jak wasze siostry miłosierdzia są aniołami ziemi... nie żyją dla siebie, służą drugim. Te duchy jasne, zesłańcy niebiescy, słyszycie ich mowę w szumie drzew, ich śpiew w tej pieśni, którą dusza wasza śpiewa w osamotnieniu. Z nimi rozmawiacie, mówiąc z sobą: oni wam odpowiadają pociechy uczuciem na modlitwie, przyciskają powiekę wezbraną, gdy sami płakać nie możecie, by z niej łza wytrysła; zwieszają uśmiech niespodziany na ustach, kołyszają do snu dzieci wasze i towarzyszą starcom znękanym do trumny. Od jednych ulatują, płacząc, w niebiosą, gdy czarni nimi owładną, do drugich zbierają się gromadnie w chwili boleści. Im winniście uczucia szczęścia i spokoju, ten chleb niebieski, który wam po częście przynoszą posłowie niebios; jeden wam kładzie na sercu szczyptę nadziei, drugi zapala miłość, inny gasi gorzkie wspomnienie i goi powoli ranę serca głęboką. Niewdzięczni, odpychacie ich często, a zapieracie zawsze.

Stała się noc gwiazdzista i spokojna... niebo nad naszemi głowami osypało się milionami różnobarwnych światełek, które wisały bliżej i dalej do koła, drząc wśród fal powietrznych promykami, które ich życie zdradzały. Gdźniedzie, jak pasy srebrzyste i drogi, wysypane były po niebie; jak pył dyamentowy uścielał szlak jakiś bez początku i końca rozplywający się w ciemno-

ściach... to znowu po kilka światel błyskało jak znaki drożne tu i owdzie różnemi blaski; — i niebo wyglądało jak tajemnicza karta, na której głoskami ognistemi Bóg wypisał niepojęte słowo bytu. Wśród gromad światel różowych, zielonych, krwawo i sino błyszczących, kiedy-niekiedy jakby na znak życia wśród nieruchomej jednostajności zrywała się ze sklepień niebieskich gwiazda, szalała w przestrzeni, a życie to począwszy, kończyć je musiała gasnąc natychmiast... płacąc śmiercią za trochę swawoli. Smuga ognista zostawała na chwilę, jak warkocz rozpleciony w przestrzeni, rozpływała się, rozwlekała i gasła. Dalej biały obłoczek wędrowny, mieszkaniiec różnych krain, strażnik ziemi, jak nocny wartownik powoli się przesuwiał i ospale szedł gdzieś gnany niewidomą prądów siłą, póki się w powietrzu nie roztopił. Nad widnokręgiem z wyziewów i par ziemi dobywały się jak z morza głębiny powoli wschodzące gwiazdki i postępujące ku górze coraz jaśniej błyskały, jako duch, co się ku niebu podnosi. Widok niebios wśród milczenia był majestatyczny i wielki, a ta sieć ognia rozwieszonych na nich, nieprzeliczonemi węzły związana, wprawiała w zadumienie — przestrach... Ni początku, ni liczby, ni końca... Im trwalej zagłębiało się oko, tem więcej tam czytało tajemnic i głosek niepoliczonych, a rachując je, mordowało się i upadało pod ciężarem nieskończoności.

.....
Nie wiem, co się ze mną stało, alem się zbudził, gdy na wschodzie jaśniała jutrzienka różowa, której krąg światła roztaczał się powoli krwawiąc obłoki, rozlewając strugami po chmurach, rozpromieniając i roznosząc przebudzenie do życia stworzeniu. Wśród ciszy nocnej powstał szmer tej jutrzni dnia, a żeśmy się spuścili ponad samą ziemię i kąpali w jej ciepłym wyziewie, doszły do nas dzwony poranne, szelest lasów, co się budziły gałęzmi, strumienie wiatru przelatującego ponad polami na dzień

dobry i świergot niespokojny ptasząt, i nakoniec jęk boleści ludzkiej.

— Spójrz, rzekł anioł, jako się cieszy wszystko stworzenie, jako raduje życie; jeden tylko człowiek mający przecucie lepszej ojczyzny, otoczon nawet szczęściem, tęskni i płacze, spogląda w niebo i pragnie. Dla tych istot niema śmierci, bo jej nie widzą, ani przeczuwają; niema postrachu przyszłości, bo ich byt cały zamyka się w garści ziemi i prochu: — w człowieku drga dusza nieśmiertelna i czyni go wiekuistym wygnańcem. — Rzuca się on, nie wie jako i czego ma pragnąć, a jęczy i pragnie; przychodzi do źródeł z pragnieniem i odchodzi nienasycony; kosztuje wszelkiego owocu, a głód mu dokucza; próbuje miejsc wszystkich, i wszędzie mu tęskno, — i zawsze czemś boleje. Najnieszczęśliwszy ze stworzeń, gdyby się byt jego kończył na ziemi, ale w tem znamieniu boleści Bóg mu dał objaw żywota i szczęścia, powiedział mu, że tu nie koniec jego doli, że bez rozwiązania w niebie życie dlań zawsze zagadką...

Niepokój duszy — jest pokoju niebios zwiastunem.

A! uradowałem się matce ziemi, bom jeszcze częstką do niej należał, i przyrośłym się czułem do tej kolebki i grobu. Zabiło mi serce żywo, uśmiechnąłem się na widok spokoju, jakim ta chwila jaśniała.

Ohrasz wielki i piękny stał przed oczyma mojemu.

Mgły ciemne i obłoki czarne kupami rozegnał wiatr, pędząc na drugą półkulę; rzedniały coraz i rozpierzchły się powoli, stały wpółprzezroczyste, a niekiedy promyk słońca rozrzucał je drząc w wyziewach i malując je w barwy nieskończonej różnitości. Tysiące tęcz kołami swemi malowanemi porozpinały się nad głowami naszymi, i nikły i znów wytryskały, a mgła coraz to rzadsza, coraz świetlejsza i bielsza, jak przezroczysty rąbek tylko osłaniała nas, i przez nią już widziałem ziemię w jakimś świetle dziwnem, jakby oblaną płynem, który jej obrazy

ruchomemi czynił. Niekiedy złoto, lazur i purpura zakrywała mi ten widok, to znowu rozbijał je lekki wiatr ciepły, i ostatnie wreszcie obsłony spadły, ostatnie obłoczki białe i leciuchne odleciały poza nas, a wielka przestrzeń odsłoniła się przed oczami memi. Ujrzałem znów kolebkę moją, ukochaną dolinę łez i żałoby, ale razem wesela i uśmiechów, i uradowało się serce moje... a łza na oku zawisła.

Pięknaż to była ziemia... jak umie być chwilami, gdy ją oko Boże opromieni... są dla niej dni jasne, w których świeci cudnie. W taki dzień właśnie ujrzałem ją wychodzącą z łona mroków... przyodziła się dla mnie wiosną, zielonością, złotem, lazurem wód, wszystkimi klejnotami, co jej krasę zdołają... a szeroko, szeroko widać ją było rozwiniętą, posłaną jak żywy kobierzec u stóp tronu Bożego. Góry śnieżyste i omszone lasami stały z jednej strony na strażnicy ze swemi ostremi wierzchołki i pomalowanemi potoki grzbietami; strumienie szumiące płynęły z ich wierzchowin ku dolinom zasypałym gładzami, i wonnemi porośłemi rośliny. Dalej ciągnęły się łąki falujące zielonemi wzgórzami i płaszczyny rozległe, poprzecinane pasami lasów, porozdzielane sznurami rzek, ubrylantowane jeziorami jasnymi. Maluczkie stąd widać było dzieło człowieka wśród potężnego obrazu ręki Bożej; ale im bardziej zbliżaliśmy się ku ziemi, tem widniejszy był na niej pan i mieszkaniec. Ujrzałem szerokie drogi, któremi chodzi człowiek; miasta dymu pełne, w których mieszka, wioski, w których się tuli, i domostwa rozsypane po wzgórzach i nad wodami, kościoły strzelające ku niebu i wielkie gmachy, i wszystko, co zbudował człowiek.

Westchnąłem mijając widoki różne, które się co chwila odmieniały; tu bitwy zajadłe, tam zajadłą pracę, owdzie spoczynek martwy skostniałych tłumów, zakładane ogrody i sypane mogiły. Wtem duch jakiś biały unoszący się pomiędzy niebem, a ziemią, przesunął się u stóp

naszych i powiewną szaną zabłysnął w powietrzu. A był tak czysty i jasny, żebym go wziął za anioła, ale skrzydeł nie miał srebrzystych, i czarny warkocz rozplatany w powietrzu zdradził niewiastę, którą siła jakaś ciągnęła ku niebu, a druga przy ziemi trzymała. Jakieś uczucie ziemskie przywiązywało ją do doliny łez, choć anioł nie był nad nią czystszy i jaśniejszy. Postrzegłem ją wirowym ruchem okręcającą się w powietrzu ze złożonemi rękami jakby na modlitwie, a potem zstępującą na ziemię.

W kolebce spało dziecko sierotka, i nikt nad niemi nie czuwał... duch matki zstępował ku niemu... Bóg pozwolił jej samej być niewidzialnym aniołem-stróżem dziecięcia, które odlatując rzuciła; — wymodliła sobie niepokoje i boleści dla dziecięcia, które się obawiała powierzyć duchom nawet niebieskim. Wiemyż my, co się wkoło nas i z nami dzieje, kto niewidomie nas wspiera? kto myśl przynosi? kto zasiewa ziarno dobrego, kto popycha, kieruje, wspomaga? W życiu nieraz czujemy siłę, co nami rządzi, której się wypieramy często i zaprzeczamy jej w ostatku.

Cały świat niewidomy nam błędącym w cieniach, widziałem stąd jasno. Nikt z niemi nie dostrzegł tego cienia matki, która porzuciła niebo, by z dzieckiem swoim pozostać, a ofiaręby jej policzono, bo duch jej z ciała uleciał wprzód do Boga i roztopił się w jasności Jego. skosztował szczęścia i spokoju, a jednak powrócił na plac walki i bojaźni, aby stróżować u wezglowia sieroty.

I widziałem życie ducha, co zawisł nad tą kolebką dziecięcy, jego pracę i łzy, rzech każdy policzyłem. — Sierotka opuszczona szła jedna, widząc cień matki nad sobą; ludzie go nie postrzegali. Z drogi dziecięcia kamyki odsuwała dłoń matki, pielęgnowała je, zasłaniała, broniła, a ludzie się dziwili opiece niewidomej wytłomaczyć jej nie mogąc. Było to życie, które pospolite oczy cudem zowią... rzucona bezbronna sierotka, zdawała się przeznaczoną na pastwę wszystkiemu co człowieka prześlą-

duje: — chorobom, wypadkom, zdradzie, prześladowaniu, uciskom; zdawało się, że sterać się musi, że zginąć powinna, że w głowie jej myśl zagaśnie na wieki, w sercu złe tylko rozkrzewi się bujnie... Ale nad dzieckiem z grobu czuwała matka; szedł za niem krok w krok cień jej, i gdy spoczęło, usiadł nad sierotą, szepejąc jej do ucha myśli pocziwe, wlewając uczucia święte. Duch czytał w sercu, odgarniał, co w niem złego wyrosło, wypieślał chwasty, a ludzie dziwili się podrastającej dziecinie, która kwitła pięknej, niż inne ziemskimi pielęgnowane rękoma. I poczytywano cudem, co było zagrobową miłością macierzyńską i poświęceniem.

Duch macierzy nie opuszczał dziecięcia, czuwał nad niem nieustannie, szedł krok w krok, ludzi odpychał, serca skłaniał, siły szkodliwe rozbijał, bronił, ogarniał i zsyłał moc Bożą na podźwignienie.

— Patrz, rzekł anioł, to najwyższa, najczystsza miłość za ziemi; bo w niej największe poświęcenie, niema nad nią świętszej, ani trwalszej, ani silniejszej, — jedno serce matki tak kochać umie, jak Bóg kocha dzieci swoje; jedna to miłość, co nie rachuje na odpłatę, nie chce nic dla siebie, nie pragnie chluby, nie targuje się z ofiarami; cicha, łagodna, niezmożona, wielka, trwa do końca. Niewdzięcznością odplacona, płacze, ale przebacza; odepchnięta, powraca; zdradzona, wzmacnia się, życie traci i z za życia jeszcze promienieje. Dlatego błogosławieństwo matki jest siłą wielką, a przekleństwo macierzyńskie śmiertelnem.

Ludzie przywykli upatrywać moc i potęgę w tem tylko, co ciała dotyka: nie rachują tajemnych sił, co ich otaczają. Takiemi dźwigniami są miłość, modlitwa, słowa błogosławieństwa i przekleństwa słowa, uczucie silne ku jednemu wymierzone przedmiotowi. Znacież ich moc i potęgę! widzicie cuda czasem, i te zakryte dla was drogi, któremi spływają na człowieka szczęście i niedola. Często słowo jedno mocniejszym jest od rąk stu ludzi; jedno

wejrzenie zabija i żywi, jedna wola silna rozprasza luf skupia. Niebaczni, szafujecie tem, co macie najdroższego nie znając skarbów swoich; zdaje się wam, że rychlej może podścignąć dłoń niż dusza, a gdy Pan mówił, że wiara góry przenosić może, choć tajemnicę wam odkrył. Wyście Mu nie uwierzyli. Myślicie o podobieństwie, a w słowach Jego prawda, której skutki widzieliście dokoła, — przyczyny nie nauczyliście się dotąd.

Wyjątki z pism Gabryeli.

Obraz wioski polskiej.

Cieężko mi było i duszno, a wkoło nas rozwijał się precudny, prawdziwie polskiej wioski krajobraz. Precchylone ku wieczorowi słońce z poza rozigranych obłoków rzucało smugi to światła, to cienia, na całą, jak serce pocziwego człowieka, okolicę. Z jednej strony gościńca woniała świeżo skoszona łąka; nad dużym stawem, czyli nad małym, jak tu mówią, jeziorom, roje komarów i drobnych muszek cieniutką piosnkę dzwoniło, a chrabaszcze warczącym basem jej wtórowały, lub raz po raz uderzając ciężkim swoim lotem o drzew nadbrzeżnych gałęzie, głuchy takt biły, niby owej zmieszanej, miliony brzęków, muzyce. Z drugiej strony, rozległą przestrzeń wielcy artyści nasi, chłopci rolnicy, pokratowali w różnowzorowe, jakby umyślnie dobierane kobierce. Między ciemno-zieloną pszenicą, a jasno-zielonem żytem, kilka morgów gryki bielutkim śniegiem przypruszać się zaczynało; wzdłuż złocistego rzepaku wstażka lnu błękitnego jak niebo kwitnęła; przy dużym płacie różowej koniczyzny, płat jeszcze większy górującego nad młodym owsem habru się szafirował, a tu i owdzie, jak tło uwydatniające jaskrawość innych przedmiotów, łany całe świeżo zaoranego gruntu ciemniły się owym sobie tylko właściwym, prawdziwie pożywnym kolorem, co im daje podobieństwo

do wielkiej skiby razowego chleba, a na wyżywienie wszystkich działek Bożych odkrajanej. Za łąkami, za polami, część widnokregu łączyła się ze stropem dotykającego ją nieba, a część znowu, jak półkole dworskiego płaszcza wystrojonej księżniczki, w wypustkę szmaragdową majowej brzeziny objęte, strzepiło się jeszcze sutą, aksamitną, sosnowego lasu falbaną. Od tej brzeziny, od tego lasu, echo w zmiekczonej tonach niosło ku nam nawoływania pastuchów i przeciągłe ligawki zadęcia. Wszystko to razem składało się w jakąś piękność swobodną, choć uroczystą.

Tom IV, str. 26.

O pięknie natury.

Pierwszy raz przyszło mi na myśl, że piękność natury wcale od pewnej, umówionej piękności krajobrazów nie zawisła. Kto wie, czy ta właśnie, co się nigdy pędzłem pochwycić nie da, czy ta z powietrza i przestrzeni złożona jedynie, najgłębszych wrażeń duszy nie zostawia? Cóż było nad Liwcem do widzenia? Świeżo pożęte rżysko, skoszone łąki, wązka i dość błotniska rzeka: a jednak ogarnęła mnie dziwna, bezprzyczynna, od ludzi i zdarzeń niezależna błogość; uciecha jakaś młoda i czerstwa wprost do serca płynęła. Im mniej przedmiotów nas otacza, tem wierniej wszystkie ich szczegóły na mózgu się odbijają i w precudownych pryzmatach tęczą. — Po stokroć niegdyś widywane przedmioty nagle: „zobaczyłem“, zrozumiałem, uczułem piękniemi. Oh! bo piękność jest we wszystkim, co wyszło z ręki Bożej, tylko nam do jej ujęcia talentu, lub też pewnego przysposobienia brakuje. Gdzie góry, skały, wąwozy, potoki, tam wszysej już wiedzą, że myśl głębiej spromienić trzeba i ducha odpowiednio wrażeniom nastrajają; lecz gdzie owych uprzywilejowanych składowych części nie dostaje, tam bacność mniej pilna, zastanowienie się mniej samemu sobie przy-

tomne, i tam częstokroć, bezświadomie przyjętych wpływów, źródła nawet nie znamy. Serce drży nam miłością ku ziemi pod naszymi stopami rozestanej, lecz wyobraźnia, jakby nie wiedziała wcale, że kochamy każdy jej zagon falujący po niwie, każdą jej morgę odmiennem zbożem zasianą, odmiennym smugiem światła lub cienia pokrytą. Jest nam spokojnie wśród boleści, pogodnie wśród wichrów, ogarniamy czasem wiekiistość jakąś bezbrzeżną wśród najciaśniejszej terażniejszości chwilek, a nie pamiętamy, ile się na te jasne duchowe błyskawice złożyło, i takich uroczystych sierpniowych wieczorów, i takiej gwarnej ciszy na ziemi, i takiego pogodnego błękitu na niebie.

Tom VI, str. 78.

Siła uczucia i wyobraźni.

Pamiętam, było to po śmierci ojca i po przebytej chorobie; nie zupełnie, jak widać, otrząsnęłam się z jej skutków: co dusza czuła, to bezkarniej na jaw się wybijało.

Całe domowe towarzystwo siedziało w bawialnych pokojach, a mnie drzemiacą na sofce zostawiono spokojnie w odległym, na ogród wychodzącym, gabineciku. Gdy się zbudziłam, głęboka cichość panowała dokoła; przez okno otwarte lały się wszystkie promienie lipcowej pełni dorastającego księżyca; ze świeżym chłodem wieczoru falowała w powietrzu jakaś woń upajająca róż pod oknem kwitnących, i te, liści na drzewach ogrodowych i trawników rosą zwilżonych, te zapachy, te promienie, ta cichość nadewszystko, oczarowała mnie zwolna, dałam się jej zamagnetyzować: wszystkie myśli niewolnicze wypuściłam na swobodę i sama z siebie uciekłam daleko.

Zdawało mi się, jakobym występowała poza własne ciało, ja druga, ja prawdziwsza, zarysem kształtów zupełnie sobie podobna, tak blada, i tak czarno ubrana, ale giętsza, lżejsza, sprężystsza, bogatsza skarbami uczuć

i władz niepojętych, doskonalsza nadprzyrodzonem zmysłów rozwinięciem. Czułam się wszędzie obecną, piłam nektar z kielicha floxa, kołysałam się na białej jaśminu gałązce, płynęłam z tchnieniem wiatru nad ciemnym szpalerem, ale mi było smutno, smutno, bo chciałam mieć ojca przy sobie, bo i ojciec tęsknił do mnie, a był daleko, wysoko, wyżej niż księżyc, niż gwiazdy. To, co przedstawiam w obrazach, dla mnie nigdy obrazem nie było; nie złudzenia wzroku, lecz w poczuciu mojem rozgrywające się opowiadałam fenomena: istotnie — przytomność rozsądkowa nie opuściła mię ani na jedną chwilę; wiedziałam, że leżę na sofce, że o kilka pokojów odemnie matka herbatę nalewa, jednak żyłam pod dziwnem wrażeniem innych miejsc, innych zdarzeń. Jak pajak na wiotkiej nici, którą z własnej piersi ciągnie, tak ja na smutku moim zawisłam w przestrzeni, i wzmagalam się, wzmagalam, by do góry ciągnąć, a mój smutek, moja nić pajęczna, to był niby srebrny promień księżyca między mem sercem i niebem drgający. Ojciec zstępował do mnie na tym promieniu, ja się do niego zbliżałam i byliśmy już razem, razem przez siłę wzajemnej tęsknoty, przez miłość naszą, przez promień księżyca. Gdyby mnie ojciec mniej kochać począł, lub gdybym ja go coraz więcej kochać nie mogła, tobyśmy się rozłączyć musieli; czułam postrach takiej groźby w przyszłości; jasna przedza chwiała się czasem pod niewidzialnych postaci brzemieniem, lecz we mnie czucie potężniało i nie ojca ściągałam ku sobie, tylko sama za ojcem wzbijałam się coraz wyżej; wtem niespodzianie chmura przeciągnęła; wszystkie promienie księżyca wstrząsnęły się od razu i doświadczyłam rozpaczliwego zwątpienia: zaczęłam się osuwać, czułam, że ziemia blisko, że ojciec znów daleko i gorzkie łzy twarz mi zalały...

Wyjątki z Poganki.

Życie rodzinne.

Już wiecie pod jakim wpływem, — w jaką atmosferę niejako, dostałem się na tę ziemię, — zstąpiwszy według dawnych, wstąpiwszy według nowszych, — a odrodziwszy się według najpodobniejszych do prawdy mniemań. Jak mnie tak długo usypiano, pieściono, kołysano bez mojej wiedzy, jak ja rozwijałem się w tem cieple uczuć, w tej pogodzie szczęścia, — jak mi cała treść mojej istoty nasiąkała niejako tą pieśnią miłości różno i wszechstronnej, oh! gdybym mógł pamiętać! — ale ja nie — nie nie pamiętam, — a jednak to było już życie moje, — to była już przyczyna jakaś późniejszych następstw, chwila rodzicielka wszystkich chwil, wszystkich lat moich. Kiedy się pierwszy raz poczułem i obejrzałem na świecie, znalazłem już jej owoc w głębi ducha mego i stał mi się tem, co nazywają skłonnościami, charakterem, naturą.

Każdy mnie kochał, — ja się ocknałem kochając każdego, ale to kochając tak niezbędną koniecznością organizmu, jak się oddycha, je, — pije; — przed kochaniem nie było dla mnie przeszłości, jak przed Bogiem nie było początku; lecz nie dosyć na tem: — ci wszyscy moi poza mną kochali jeszcze wszystko w różnych objawach, — w różnych jej kształtach, a było coś pięknego, świętego w wyborze tych kształtów i tych objawów: każdy coś kochał na swoją własność szczególną.

Moja najstarsza siostra Julcia kochała dumki ukraińskie; — a mój brat Adam kochał niebieskie oczy córki blizkiego sąsiada; — a mój brat Józef kochał ziemię, której uprawą się trudnił; a moja siostra Ludwina kochała wodę bieżącą i kwiaty niezerwane; — a mój brat Karol kochał psa, konia i strzelbę dwururkę, — a moja siostra Bronisia kochała gwiazdy i niebo, — a mój brat Cypryan kochał obrazy, — a moja siostra Terenia kochała powie-

ści, a mój ojciec kochał książki, a moja matka kochała ludzi, — i tak dla mnie pierwsze wrażenia z ich wszystkich ulubionych wrażeń się złożyły.

Nie pamiętam, która to już była rocznica mych urodzin; przypadała, jak widać, w tej chwili rozwijania się, kiedy człowiek zaczyna głowę podnosić i w niebo spoglądać. Późnym wieczorem siedziałem na kamieniu pod szeroką, cienistą lipą na samym środku dziedzińca rosnącą. Bronisława siedziała przy mnie, milczeliśmy oboje; ale powietrze, ziemia, niebo całe, odzywały się do nas jakimś wyraźnym, choć nie wyrażonym głosem rojących nad trawami owadów, hukających żab po stawach, drżących w chłodzie listków drzewa. Księżyc znowu był w pełni, gwiazdy wszystkie tak przed nim zbladły, że gdzieś zdała od niego ze dwie ich ledwie świeciło, a białe chmurki goniły się po ciemnozielonej przestrzeni, jak rozigrane trzody białorunych owiec niewidzialnego pasterza, albo jak stada śnieżnych gołąbków, albo też rozkładały się w srebrne pióra żeglujących po wodzie łabędzi, — unoszących się orłów. — Czasem nawet przepłynęła jakaś łódka z tajemniczymi postaciami; czasem niby anioł w długiej powłóczystej szacie, bo i czegoż ja tam nie widziałem! aż siostra wzięła mię za rękę.

— Beniaminie, rzekła, czy słyszysz?

— Oh! słucham ciągle siostrzyczko, wszakże to łąki i drzewa tak grają.

— Beniaminie, czy widzisz? spytała znowu i wskazała do góry.

— Oh patrzę ciągle siostrzyczko, bo to piękniejsze niż wszystkie Cypryana obrazki.

— Beniaminie, a czy czujesz co w twojej własnej piersi? i przyłożyła mi rękę do serca.

— Ja czuję, odpowiedziałem po chwili, że tak mi dobrze, jak kiedy Julcia śpiewa, jak kiedy mię mama na kolana weźmie, jak kiedy mię Karolek na swoją Zittę

wsadzi, — i lepiej jeszcze, bo mi jest tak dobrze, jak wtedy kiedy nie ze zmartwienia płaczę, i kiedy w radości śmiać się nie mogę, jak kiedy chciałbym was wszystkich jednym objęciem uściskać i wszystkiemu jednym rzutem oka zapanować. A to wszystko razem jest... ja ci nie umiem powiedzieć, czym to jest siostrzyczko...

— A ja ci powiem, Beniaminie, — tylko pamiętaj na całe życie swoje: — to, co słyszysz w tej chwili, — co widzisz przed sobą, co czujesz w sobie: — to wszystko — śpiewne, piękne, jasne, szczęśliwe, to wszystko jest Bóg...

I zachowałem słowa Bronisławy, jako sama kazała na całe życie moje; i przerzuciłem wiele ksiąg mądrych i niemądrych, — kłamstw i prawd nasłuchiłem się wiele, namarzyłem więcej jeszcze; lecz w każdej chwili i po każdym przejściu, wracały mi te w dzieciństwie od siostry usłyszane wyrazy. Na nich rozwinął się ciąg ducha mojego: zaprzeczyłem sobie samemu, nie zaprzeczyłem im.

Byłem zmartwiony a bolejący, — lecz choć nie czułem, wiedziałem przynajmniej zawsze, że wszystko śpiewne, piękne, jasne i szczęśliwe, — to Bóg; że mądrość — to Bóg; że szczęście to Bóg; że miłość — to Bóg...

O moim ojcu jużście słyszeli; mój ojciec — taki poważny, taki uczony, — taki dobry i łagodny.

W szczupłym domku nie było osobnego pokoiku na jego księgi i papiery; lecz kiedy zasiadł do czytania, to bez nakazu, bez przymusu, prostym rzeczy i zwyczajów układem, tak wszystko cicho dokoła, że mógłbyś brzęczenie muchy usłyszeć. — Ja w tem wzrosłem — i nie pamiętam nawet, żeby mi kto w podobnych razach spokojność zalecał. — Kiedy ojciec książkę roztworzył, matka szła na palcach przez pokój, siostry i bracia wychodzili najczęściej, lub które sobie nieruchomie z robótką w kątku zasiadała.

Ale wy moi drodzy dziwicie się zapewne czemu do-

tychczas o matce mojej nic nie nadmienilem jeszcze. Ah! bo dla mnie w każdym wspomnieniu, ona tak była obecna, tak ją czułem przy sobie, że mi się zdało, jakbym ciągle o niej tylko, albo do niej mówił. — Matka... Czy wy wiecie dla czego ja z takim uszanowaniem z drogi ustępuję i głowy uchylam, gdy koło mnie przejdzie w podęszłym wieku kobieta? — czy wiecie wy dlaczego nieraz w kościele, a nadewszystko w jakim ubogim, małym, wiejskim kościółku, mnie się łyzy w oczach zakręca, gdy postrzęę zdala przed stopniami ołtarza klęczącą postać kobiety? Czy wy wiecie dlaczego nigdy nie przejdę koło żebraka, bym do niego z jałmużną ręki nie wyciągnął; — koło smutnego, — bym z chęcią pociechy myśli ku niemu nie zwrócił, koło płaczącego na drodze dziecka, — bym go wyrazem pieczyoty nie utulił, na ręce nie wziął, w zimie przy własnej piersi nie rozgrzał, lub w lecie od przejeżdżających wozów z niebezpiecznego miejsca nie usunął? czy wiecie wy dlaczego? oto dlatego, bo miałem matkę!.. bo w każdej chwili podobnej zawsze ją widzę przed sobą, tklivą, anielską, błogosławiącą... tak wszystko czyniącą, jak ja przy niej czynić nawykłem.

Z książki Pamiątek.

Wpływ wielkich boleści.

Dla wybranych Pańskich, dla serc czystych i żywo czujących, śmierć ukochanych jest chwilą boleści wielkiej, straszliwej, ale nie może być nigdy całego życia zmartwieniem. Przez tę chwilę śmierci oni na dalsze trwanie swoje tu na ziemi wradzają się do naszej istoty; — gdyby umarli nie zostawił po sobie nikogo, coby go uprzytomnił wspomnieniem; nikogo, coby miał pamięć jego jako natchnienie, przyczynę, dopełnienie wszystkich zdarzeń późniejszych: toby taki umarły drugą śmiercią umarł wśród ludzi i pozostałby mu tylko wieczność nieokreślona,

nieznana. Lecz on odżywa ciągiem miłości — i on nie zginie, i nie nie zginie, póki my żyjemy, — bo póki żyjemy, póty kochamy, a póki kochamy, póty wszystko ukochane trwa, prawdą i rzeczywistością jest.

Umarli nasi trwają w nas; — każde spełnione dobro; każde poczucie piękna, każda przez nas osiągnięta doskonałość ich doskonalili, ich wznosi, ich wzbogaca, a ciąg żałoby naszej jest dalszym ciągiem zaczętej przez nich pracy, dalszym ciągiem ich cnót, ich myśli, ich duchowego życia. Ja takim stosunkiem, taką modlitwą nasz związek z umarłymi najlepiej pojmuję, a ja mam prawo mówić o tem, bo ja na dwóch płakałem już grobach, bo ja straciłem ojca...

Gdyby człowiekowi nie było dano smucić się, toby nie miał tyle łez do krwi swej wsączonych; ale on może, więc — musi płakać; bo może, więc musi oddychać; bo może, więc musi widzieć; — bo może — więc musi żyć, gdyż zawsze musi to, co może. Ale martwego cierpienia, płonnej boleści niema w prawie Bożem, tylko się czasem zdarza — w złości ludzkiej woli. Boleść święta, boleść z nieba idąca, nie marnieje w cześć skargi, nie kamienieje w bezużyteczność; — nie jest ani namiętnością, ani grzechem, ani złem żadnem; ona tylko między dobrem, co minęło, i między dobrem, co ma przyjść, kolebką dla ducha naszego, zawisnęła. Z tej kolebki zawsze geniusz myśli lub anioł cnoty się wykołysze. Smutno było Mojżeszowi na puszczy, nim krzak cudu rozgorzał; smutno Chrystusowi w Ogrójcu, nim ludzkość męką swoją zbawił; — smutno nam wszystkim wysokim i drobnym, póki mamy w przeczuciu jakieś myśli niewcielone, póki siły nie skierowane, póki czyny zamiarem jeszcze drżące. Tobie — dziecku jeszcze wiekiem i postacią, może na przygotowanie jedynie innych, potężniejszych zdolności, tak wielka zdolność cierpienia w samym wstępie do życia

wydzieloną została. Powiedz, czy nigdy nie zadrżało ci serce objawem pięknej, wielkiej przyszłości?..

I taki żal nie będzie nieszczęściem; przypomniemy sobie zawsze, że ci, którychśmy ukochali, naszą pamięcią i naszym życiem żyją. Wtedy nie skalamy serc naszych bezcelnem rozkwileniem, nie zmarnujemy naszych myśli na ciągle powtarzanie przeszłości, ale miłość, w której oni przez nas kochają, roztoczymy na okoł po świecie i z bogacimy wszystkiem, co piękne, dobre, szlachetne; ale myśl, w której oni przez nas pojmują, wypełnimy światłem, poznaniem, mądrością, — i będziemy, czem oni być chcieli, — i w godne czyny przesnujemy dalszy wątek ich własnych wydarzeń.

Z Książki Pamiętek.

Wiara kobiety.

Nie mówcie do mnie, wy, których usta brzmia ciągle słowem wiary, a jeszcze imieniem Boga nie zabrzmiały: nie chcę waszego przekonania, nie chcę waszej wiary. Ja nie umiem długiem dowodzeniem przeświadczać was, że są potrzebne kościoły na ziemi, — duchy światłości w niebie: — ale czuć umiem i czuję, żebym żyć nie chciała i w najszcześniejszej stronie świata, gdzieby mi drzwi przybytku Pańskiego otworem nie stały; gdzieby nie mogła ufną prośbą niebu się pomodlić o żadaną pomyślność, o odwrócenie przeczuwanego nieszczęścia; nie chciałabym wiedzieć o przyszłości, któraby mi nie świeciła koroną Świętych, ku którejbym iść musiała bez anioła stróża niepokalanego przewodnika mej duszy; — nie chciałabym nieba, na którego wysokościach nie byłoby ani tronu Boga, ani promiennych cherubinów, ani Matki Dziewicy z Synem swoim na ręku, uśmiechającej się litością i pociechą do nas kobiet, co jak Ona kochać i siedm mieczów bo-

leści w sercu nosić musimy; oh! nie mówcie do mnie; — ja chcę wierzyć tą wiarą, której mnie matka nauczyła; chcę się modlić tą modlitwą, którą w dzieciństwie na kolanach za jej głosem powtarzałam z uwagą, — zostawcie mi moją wiarę i modlitwę moją! zostawcie mi religią cudów, pieśni i wonnych kadzideł, co z przed ołtarzy ku Bogu ducha naszego czystym obłokiem unosi, — zostawcie mi ją — ja was słuchać nie chcę!

Z Podróży kobiety.



SPIS RZECZY.

Wstęp. O sztuce pisania.

	Str.
Określenie znaczenia wyrazu: sztuka	1
Powody do starania się o piękne wysłowienie	2
Znaczenie retoryki — dawniej a dzisiaj	4
Działanie i korzyści wykształcenia naukowego a estetycznego	5

O stylu.

Określenie pierwotnego i dzisiejszego znaczenia nazwy: stylu	7
Rodzaje stylu dawniej i dziś rozróżniane	8
Podział ze względu na indywidualność pisarza, charakter narodu, przedmiot i epokę	9
Rodzaje stylu ze względu na przedmiot	14
Różnice stylu obrazowego od poetycznego	17
Różnice poetycznego od lirycznego	21
Użycie stylu krasomówczego i sarkastycznego	29

O głównych warunkach dobrego stylu 34

Logika i jasność	34
Znajomość przedmiotu	36
Podział mowy i pisma na okresy	36
Sposób łączenia zdań w okresy	38
Wadliwość w użyciu zaimka względnego w okresie	40
Warunki dobrze ułożonego okresu	41
Miara długości okresu: użycie peryodycznego i ucinowego	45

	Str.
O znajomości języka	50
Warunki znajomości języka	51
Obliczenie bogactwa języka	51
Właściwość nazwy i pisowni wyrazu	55
Czystość języka; wyrazy obce, ale już przyjęte za własne	59
Poprawność języka, — błędy przeciw poprawności	63
Cechy języka	67
O wewnętrznych stylu przymiotach	72
Znaczenie każdego przymiotu dla myśli i uczucia	72
Zwięzłość stylu obok jego piękności	79
Harmonia i spiewność — jej zasady	83
Harmonia naśladownicza	87
O wadach stylu	89
Źródło wad stylu	90
O ozdobach stylu	96
Określenie wyrazu ozdoba stylu, i cel ich użycia	96
Rozróżnienie jednej ozdoby od drugiej	97
Indywidualność ze względu na uczucie i formę	110
Charakterystyczność w powieściopisarstwie	112
O postaciach retorycznych	114
Źródło postaci retorycznych, — ich podział	114
Powód używania wyrazów w przenośnem znaczeniu	116
Różnice porównania od metafory	119
Znaczenie alegoryi	121
Cecha metonimii	124
Piękne użycie antytezy	126
Potrzeba użycia omówienia	127
Sposoby i powody stopniowania wyobraźni	128
Naturalna skłonność do użycia personifikacyi	129
Postacie wyływające z uczucia	131
Określenie właściwego użycia: pytania, powtórzenia, opuszczenia	131
Przemilczenie jako silniejsze wyrażenie myśli	136
Warunek dobrego użycia hyperboli	139
Różne postacie ironii	140
Znaczenie i użycie przekleństwa i błagania w poezyi	143
Rozróżnienie prozopei od personifikacyi	145

	Str.
O prozie i jej rodzajach	147
Określenie znaczenia prozy i poezyi	147
Przedmioty prozy i cel pism prozą nazwanych	148
List: treść, forma listu; użycie formy listu	149
Dogodność użycia formy rozmów	151
Znaczenie życiorysów	152
Pamiętniki jako wspomnienia — i jako: forma	153
Znaczenie historyi, jej początek, zadanie, warunki	154
Rodzaje uważane w opisywanych podróżach	156
Znaczenie przysłów narodowych; myśli i zdania pisarzy zna- komitych	157
Zakres i stanowisko powieści w literaturze	159
Rodzaje powieści, — warunki i cel każdego rodzaju	161
Znaczenie powieści ludowych	164
Podział stylu ze względu na epokę	165
Charakterystyka stylu i ducha pism każdej epoki	166
Wyjątki ze Zwierciadła Reja	171
Wyjątki z Dworzanina Górnickiego	172
Wyjątki z mowy ks. Skargi	173
Wyjątek z mowy ks. Skargi	177
Wzory stylu epoki panegirycznej z wieku XVII	184
Wzory stylu epoki klasycyzmu	191
Wyjątki z Doświadczyńskiego — Krasickiego	192
Wyjątek z pamiętników Karpińskiego	195
O języku polskim — wyjątek z pism Jana Śniadeckiego	199
Wyjątek z powieści Niemcewicza: Jan z Tęczyna	203
Wzory stylu epoki odrodzenia w wieku XIX	209
Ofiara pierwszego kwiatka	209
Powietrze. Krakowowej	210
Listy brata i siostry z Tańskich Hoffmanowej	212
Jan Zamoyski na kazaniu ks. Mościckiego Hoffmanowej	214
Pasieczna z listu ks. Antoniewicza	218
Pożar puszczy W. Pola	221
Ze stepu W. Pola	224
egzamin w gimnazjum Krzemienieckiem Detiuka	226
Tezoro Leman Zyg. Krasieńskiego	229
Wzorki z listów Zyg. Krasieńskiego	232
Wyjątki z listów z podróży Padalicy	237
Wyjątki z listów Kremiera	245
Wyjątki z „Mogil” Kraszewskiego	263
Wyjątki z pism Gabryeli	274

29

Biblioteka Śląska

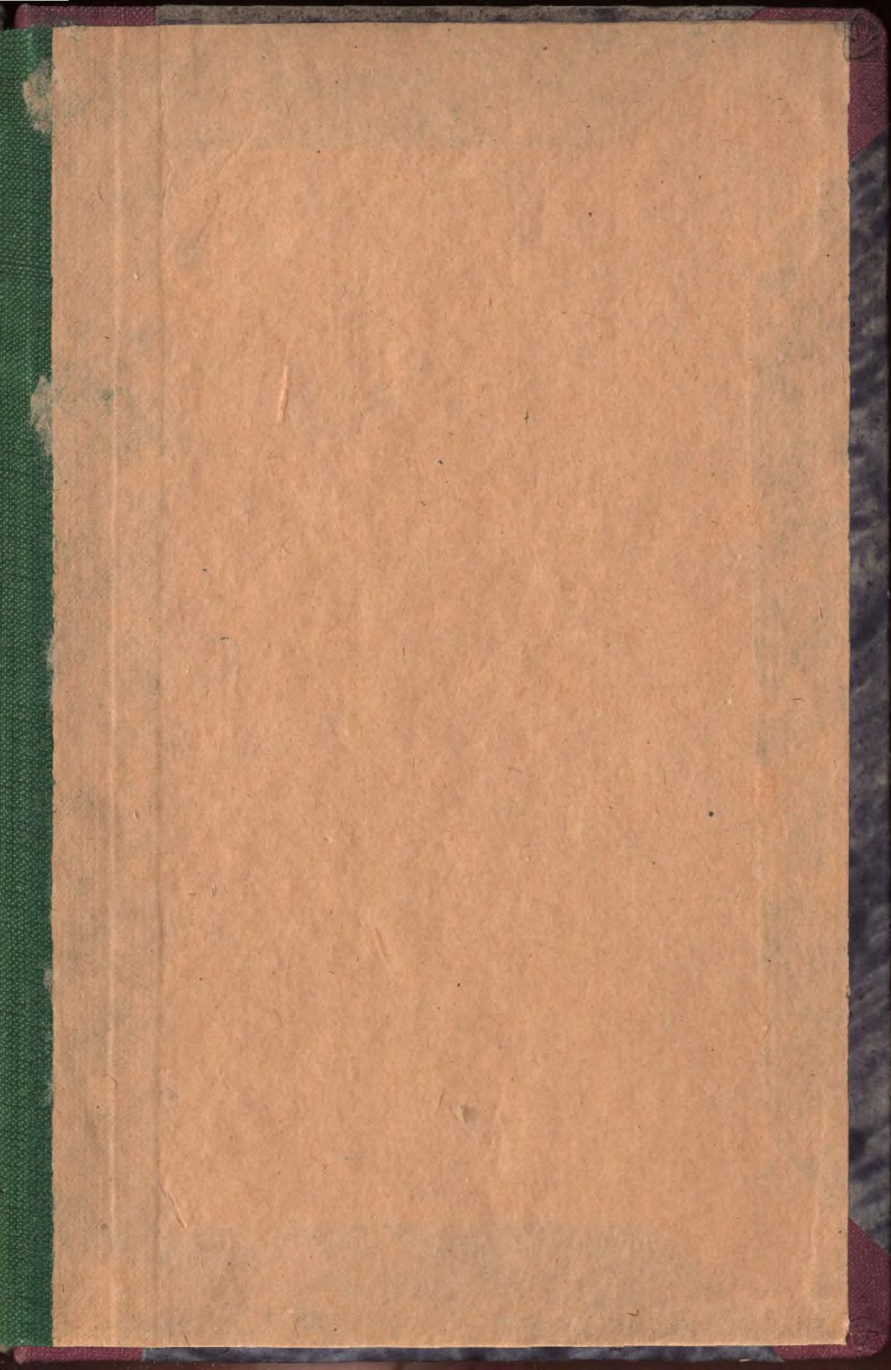
160870

I

kdd — 496/63 90000 szt.







Biblioteka Śląska w Katowicach
Id: 0030000618161



I 160870

J. Kamocka * TEORIA STYLU